



# SEMPER FIDELIS

PL ISSN 00866-9414

LIPIEC – WRZESIEŃ 3 (135) 2014

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH. WROCŁAW



*Dr Jerzy Klepacki w otoczeniu gości, obok Prezes Związku Żołnierzy AK Okręgu Bydgoskiego, z drugiej strony Prezes TMLiKPW w Bydgoszczy i Komendant Szpitala Wojskowego, obok – Wicewojewoda (patrz str. 28)*

# Spis treści

Helena Wiewiórska i Weronika Pukrop – Kresowianie na Obczyźnie. Najmłodszy Żołnierz gen. Andersa. Amerykański żołnierz z polskim sercem .....	1
Stanisław Materniak – Ku pamięci i przestrodze! .....	4
Jerzy Duda – Obrona Lwowa w latach 1918–1919. Miasto walczy o wolność .....	7
Małgorzata Ziemska – Do czytelników powieści Bolesława Zielińskiego .....	10
Aleksander Smoliński – Artyleria konna Wojska Polskiego w walkach o Lwów i Małopolskę Wschodnią w okresie od grudnia 1918 roku do wczesnej wiosny 1919 r. (II) .....	13
Zdzisław J. Zieliński – Tramwaje lwowskie (III) .....	16
Jerzy Duda – Żołnierski los. Podpułownik Władysław Gawdyn .....	19
Jarosław Tadeusz Leszczyński – W dolinie rzeki Hnizdeczyny .....	22
<b>UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW</b>	
Jarosław Tadeusz Leszczyński – VIII Pielgrzymka TMLiKPW z Kielc do Stopnicy .....	24
Jerzy Duda – Opolski Stół Odyseusza .....	25
Stanisława Potaczek – <i>Sen o Podolu</i> – wiersz .....	26
Jerzy Duda – V Opolskie Dni Kresowe. Czerwiec 2014 .....	27
Danuta Śliwińska – Czerwiec 2014 r. w TMLiKPW w Bydgoszczy .....	28
Antoni Wilgusiewicz – XXV-lecie działalności Katowickiego Oddziału TMLiKPW .....	31
Mieczysław Kostur – XVIII Dni Kultury Kresowej – Świdwin 2014 .....	32
Wanda Butowska, Hanna Dobias-Telesińska – XVII Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu i jubileusz XXV-lecia poznańskiego Oddziału TMLiKPW .....	33
Hanna Dobias-Telesińska – Spotkanie w „Salonie Lwowskim” .....	35
Stanisława Zięcik – Jubileusz 25-lecia TMLiKPW w Bolesławcu .....	37
Daria Chłopiczka, Adrianna Gabrych – Michał Wojdyła prezes Oddziału Bolesławiec .....	38
Zdzisław Mirecki – Adam Waclaw Kowalski (Fragment książki „Ocalić od zapomnienia – wspomnienia Bolesławieckich Kresowian”) .....	40
VI Edycja Konkursu Powiatowego „Lwów – zawsze wierny” (Przedruk z: „Życie Częstochowy” z dn. 6–8.06.2014 r.) .....	42
Janusz Sekulski – Polski Holokaust – Zagłada .....	42
Janusz Sekulski – Zawsze wierni Polsce .....	43
73. rocznica mordu Profesorów Lwowskich – uroczystości we Wrocławiu .....	44
Bogusława Romaniewska – Minęło 25 lat – Dni Lwowa w Tarnowie 2014 .....	44
Elżbieta Kuśmiderska, Marianna Parczyńska – 10 lat w TMLiKPW – Klub w Urzędowie .....	46
Elżbieta Kuśmiderska, Marianna Parczyńska – Jubileusz 10-lecia TMLiKPW. Klub w Urzędowie .....	48
Elżbieta Kuśmiderska, Marianna Parczyńska – Wspomnienia po latach .....	50
Abp Andrzej Szeptycki – patron renegatów i ludobójców? .....	51
Małgorzata Ziemska – W służbie pamięci o kresowej Ojczyźnie (o zielonogórskiej wystawie ze zbiorów Tadeusza Marcinkowskiego) .....	54
Tadeusz Józków – Michał Citków – żołnierz spod Zadwórze .....	59
Bogusława Romaniewska – Ratujemy groby zasłużonych .....	60
Bogusława Romaniewska – Pomogliśmy dzieciom Rodaków spędzić beztrudny czas .....	61
Mirosław Witek – Prośba .....	62
Poszukiwania .....	62
Tadeusz Zbigniew Nowogrodzki – Życie na morzu (IX) (Fragment książki „Ze Lwowa na morza i oceany”) .....	63
Komunikat o Kalendarzu Lwowskim na rok 2015 .....	63
Informacja .....	63
Pismo z Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej do Andrzeja Kamńskiego Prezesa TMLiKPW .....	64

*Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.*

*Nakład: 850 egzemplarzy*

*Redaktor naczelny:* Andrzej KAMINSKI  
*Redaguje Kolegium:* Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI  
*Właściciel tytułu i adres redakcji:* Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-011 Wrocław, ul. Kościuszki 35/B/E, druga oficyna; tel./fax 71/344-88-93;  
**Nowe konto:** PKO-BP O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631

*Materiałów niezamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.*

## Najmłodszy Żołnierz gen. Andersa. Amerykański żołnierz z polskim sercem

Na początku września 2012 r. otrzymałam wiadomość od długoletniego przewodnika warszawskiego p. Jerzego N., że w czasie Świąt Lotnictwa w Warszawie spotkał Człowieka Niezwykłego i poleca mi, aby o Nim napisać. Już z krótkiej notatki informacyjnej dowiaduję się, że prof. dr Krzysztof Flizak to Człowiek bardzo Niezwykły. Urodzony na Kresach, Sybirak, najmłodszy żołnierz gen. Andersa 7. Dywizji 23. Pułku Piechoty w Kermine – Uzbekistan 1942 r., Kapitan 8. Armii Stanów Zjednoczonych 101. Dywizji Powietrznodesantowej w wojnie w Korei, ranny 25 maja 1953 roku w Bitwie o Kumwha w „Iron Triangle”.

Szybko nawiązuję kontakt e-mailowy i dowiaduję się o źródłach, z których mogę czerpać informacje o p. Kapitanie. Ja jednak moim starym zwyczajem wolę słuchać bezpośrednio świadków naszej historii, których poszukiwałam w różnych krajach świata, więc staram się o spotkanie z Panem Kapitanem. Nie jest to jednak łatwa sprawa, bo chociaż Pan Kapitan przebywa często w Warszawie, do której przylatuje z Florydy, gdzie mieszka na stałe i tęskni do ukochanej Ojczyzny, to trudno się wcisnąć w grafik spotkań i uroczystości patriotycznych, w których z wielkim entuzjazmem bierze udział. Wreszcie po prawie dwóch latach oczekiwania 24 maja br. spotykam p. Kapitana w Warszawie, aby wysłuchać jakże niezwyklej historii naszego Rodaka.

Pan Kapitan Krzysztof Flizak urodził się w Równem na Kresach, gdzie jego ojciec Tadeusz Flizak z Podolina pod Turbaczem służył w Korpusie Ochrony Pogranicza i ożenił się z Olgą Martynowicz – Wołynianką. Wybuch II wojny światowej zastał rodzinę w Dokszycach nad Berezyną, gdzie ojciec został służbowo przeniesiony i przed samym wybuchem wojny mianowany komendantem niewielkiej strażnicy granicznej na południe od Puszczy Hołubickiej. Kiedy po wkroczeniu Sowietów 17 IX 1939 r. zaczęły się aresztowania żołnierzy Korpusu Pogranicza – młody sierżant Tadeusz Flizak zdążył polecić żonie, aby z siedmioletnim Krzysztofem i pięcioletnią Jolantą wyjechała w okolice Horodenki w województwie stanisławowskim, gdzie jego kuzyn Władysław ze znanego rodu Potaczków z Podobina pod Turbaczem – legionista, prowadził duże gospodarstwo osadnicze w Dąbkach. Tam miał ich odszukać ojciec, który żegnając się z żoną i z dziećmi planował ucieczkę z aresztu. Dzieci nie zdawały sobie sprawy z tego, że na zawsze żegnają swój rodzinny dom i zaczynają wojenną tułaczkę. Kiedy dotarli w okolice Lwowa i zobaczyli zbombardowane miejscowości i zabitych ludzi, przerażone dzieci zaczynały rozumieć okrucieństwo wojny. Stryj Władysław przyjął serdecznie pod dach swego domu rodzinę kuzyna. Niestety już 10 lutego 1940 r. NKWD z listą wywózki na Sybir zabrało osadnika kresowego Władysława Potaczka, jego żonę i czwórkę dzieci. Żony sierżanta Tadeusza Flizaka i jego

dzieci Krzysztofa i Jolanty nie było na liście wywózki, ale mama znająca biegle język rosyjski prosiła komendanta, aby ich zabrano razem z rodziną stryja, jednak komendant kazał im wracać na gospodarstwo wystawiając zaświadczenie, że nie uciekli z transportu, co chyba uratowało im życie, bo po powrocie na gospodarstwo zastali tam rabujących Ukraińców i dopiero dokument z pieczęcią komendanta nieco ich onieśmielił. Wywózka mamy z Krzysztofem i Jolantą zgodnie z listą NKWD nastąpiła 4 miesiące później, 29 czerwca 1940 r. Upchnięci w wagonie na 60 osób z dziurą w podłodze zamiast toalety, zaczęli swą koszmarną drogę na wschód i gdyby nie suchary przygotowane po pierwszych wywózkach przez przezorną mamę pewnie umarliby z głodu jak wielu w tej podróży. Po 6 tygodniach dotarli do Swierdłowskiej Oblaści w rejon nad Tawdą. Mężczyzn skierowano do wyrębu lasu, a mama szyla na maszynie Singer, której ciężką głowicę Krzys dźwigał do pociągu dziwiąc się po co mama zabiera maszynę do szycia, a właśnie piękne stroje uszyte przez mamę dla żony komendanta posiołka ratowały ich od głodu. Krzysowi wyznaczono zajęcie przy spalaniu pni drzewnych Tawdą – musiał pilnować, aby nie tworzyły się zatopy. Z opowiadań Sybiraków wiem, że było to bardzo niebezpieczne zajęcie, ale Krzys nabrał wprawy w przeskakowaniu na bele i operowaniu długim kijem. W lecie bardzo dokuczały muszki i komary, w zimie Krzysztof zachorował na szkarlatynę, która go bardzo osłabiła. Dotrwali tak do umowy Sikorski-Majski. Po zaatakowaniu Związku Sowieckiego przez Niemcy, tzw. amnestia stała się szansą na wydostanie się z nieludzkiej ziemi. Aby dostać się jednak do południowych republik, gdzie tworzyła się Polska Armia trzeba było zorganizować sobie transport, na co potrzebne były pieniądze. Na szczęście piękne stroje uszyte przez mamę dla żony komendanta posiołka były docenione, więc mogli mieć małe poletko ziemniaków, które Krzysio dźwigał na targ w workach. W ten sposób uzbierali pieniądze na podróż do Polskiej Armii. Znowu zaczęła się straszna podróż, w której ginęło tak wielu. Już sama różnica temperatur między północą a południem zbierała żniwo, dziesiątkując przez choroby zakaźne takie jak dyzenteria, tyfus i inne. Zatrzymywali się w kołchozach, aby zdobyć coś do jedzenia, pracowali przy zbiorach bawełny kalecząc sobie ręce. Gdy siostra Krzysia zachorowała mama była przerażona, że straci dziecko. Sama się nią opiekowała, bo o ojcu od czasu aresztowania nie wiedzieli nic. Pod koniec zimy Krzys postanawia szukać ojca w Polskiej Armii. Przez 3 dni jedzie „na gapę” różnymi pociągami o głodzie i chłodzie nocy w tym rejonie w przeciwieństwie do gorących dni. Dociera wreszcie do Kermine, gdzie przed wejściem do posterunku Polskiej Armii poznaje kolegę swego ojca z czasów przedwojennych. Krzysztof

przedstawia się i mówi, że szuka ojca, który na zawołanie kolegi „Tadek chodź tutaj” wychodzi z namiotu, widzi po dwóch latach swojego syna tak zmienionego, że go nie poznaje, zwłaszcza, że jego ubranie stanowiły rozlatujące się łachmany. Czasami dzieją się rzeczy, o których nie śniło się filozofom – sierżant Tadeusz Flizak był w Kermine tylko przejazdem, aby kolega po-



*Prof. dr Krzysztof Flizak – kapitan Armii Stanów Zjednoczonych w stanie spoczynku.  
Warszawa, 24 V 2014 r.*

świadczył jego tożsamość, bo tak jak wielu zwolnionych w czasie „amnestii” nie miał żadnych dokumentów. Na tę właśnie chwilę pobytu ojca w Kermine trafił jego syn Krzysztof. Przypadek? Teraz jako rodzina wojskowa mogą opuścić z wojskiem Kraj Rad. Jako pierwsze opuszczają Związek Sowiecki matka i siostra Krzysia. Krzysztof dodaje sobie lat, aby być przyjętym do tworzonych Kompanii Młodzieżowych Polskiej Armii. Kapitan Sarnowski, znajomy ojca sprzed wojny, do którego trafił drobnej postury Krzysztof Flizak nie robił trudności pomny na polecenie gen. Andersa, aby zabierać ile się da dzieci i młodzieży z sowieckiego jarzma. Na statku Mołotow w warunkach dla nas niewyobrażalnych po przepłynięciu przez Morze Kaspijskie dobijają do portu w Pahlevi w Persji w marcu 1942 roku. Pan Kapitan Krzysztof Flizak do dziś pamięta namiot dezynfekcyjny, zrzucenie syberyjskich łachmanów, brytyjskie mundury wojskowe – za duże dla naszych wychudzonych junaków. Ale to nie było ważne – tu czuli się już wolni. Potem zakwaterowanie w hangarze lotniska w Teheranie, obozy przejściowe. W Iraku 10-letni Krzysztof zachorował na krwawą dyzenterię. Jest w szpitalu wojskowym w Habbaniyi i jak opowiada nie bał się śmierci, ale tego, że będzie pochowany na pustyni i jego ciało zjedzą szakale. Z rodziną nie miał

znovu kontaktu, w szpitalu czuwa nad nim ciemnoskóry „osobnik” z długą brodą i w turbanie, którego Krzysztof panicznie się bał i dopiero kiedy zjawił się polski oficer i wytłumaczył chłopcu, że to nie diabeł, lecz brytyjski lekarz wojskowy – Hindus z sybbskiej wspólnoty religijnej, który chce go wyleczyć, Krzysztof pokonał lęk i chorobę, a życzliwy Sikh pomagał mu potem w poszukiwaniu ojca w wojskowych jednostkach polskich, wożąc chłopca po pustyni swoim zielonym motocyklem. W Palestynie (rok później) Krzysztof zostaje uczniem Junackiej Szkoły Kadetów. Pan Kapitan z wdzięcznością wspomina wspaniałą organizację Szkół Wojskowych. W wojennych warunkach robiono wszystko, aby młodzież nadrobiła stracony czas nauki. Wspaniali nauczyciele zaangażowani patrioci oddawali w wychowywanie młodzieży serce, a wiem z doświadczenia, że uczniowie cenią to najbardziej. Historię i literaturę ojczystą poznawał Krzysztof właśnie w Wojskowej Szkole Kadetów i do dziś pamięta i potrafi wyrecytować wiele wierszy z naszej ojczystej poezji.

W 1947 roku Wojskowe Szkoły przeniesiono do Anglii. Rodzina przetrwała wojnę. Krzysztof odnajduje ojca, który ostatnim transportem opuścił Związek Sowiecki, przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż odnajduje też mamę i siostrę, które przebywały w Afryce w osiedlu Masindi (Uganda) i przyjechały do Anglii w 1948 r. Krzysztof zdaje maturę w Anglii, dostaje się na wyższe studia Politechniki w Londynie specjalność inżynier-mechanik. Nie była to jednak jego wymarzona dziedzina. W kwietniu 1951 roku wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych i po zejściu z pokładu Queen Mary z paroma dolarami w kieszeni i dwiema walizkami książek, zapytany przez urzędnika imigracyjnego USA, czy tym zawojuje Amerykę odpowiedział „You'll see, Sir” (zobaczy Pan). I tak się stało...

Z dumą ze swego Rodaka spoglądam na osiągnięcia naukowe, zawodowe, wojskowe, które zdobywał w Stanach Zjednoczonych.

### **Krzysztof Flizak**

Psycholog; urodzony 19 sierpnia 1932 roku w Równem na Wołyniu, syn Tadeusza i Olgi z domu Martynowicz; żonaty z Marią Matuszewską

W okresie II wojny światowej więziony na Syberię, skąd po 2 latach z II Korpusem Polskim opuścił terytorium ZSRR. Absolwent Junackiej Szkoły Kadetów w Palestynie 1945–1947.

Studia: politechnika w Huddersfield (Inżynieria mechaniczna) 1949–50, Battersea Polytechnic w Londynie (inżynieria mechaniczna 1950–51, University of Wisconsin w Milwaukee (pedagogika i socjologia) 1955–59, University w Sztokholmie (psychologia i socjologia) 1961–61, University of Wisconsin w Madison (psychologia i socjologia) 1962–63, doktorat na University of Wisconsin w Madison 1963–65. Uczestnik wojny koreańskiej (kapitan) w słynnej jednostce spadochornowej 187. Airborne Regimental Combat Team w 8 Armii USA w czasie Wojny Koreańskiej (1952–53), gdzie był ranny podczas akcji bojowej w Kumhwa. Inżynier w American Motors Corporation w Milwaukee 1954–55; nauczyciel szkół średnich w Milwaukee 1959–61; asystent badań

naukowych na uniwersytecie w Sztokholmie 1961–63 oraz University of Wisconsin w Madison 1963–64; instruktor uniwersytecki w School of Education, University of Wisconsin w Madison 1964–65; profesor psychologii Educational and Clinical Psychology, Wayne State University w Detroit 1965–67; profesor psychologii i dyrektor Teacher Education Research Center, State University of New York w Fredonia 1967–69, starszy pracownik naukowy oraz dyrektor badań naukowych i rozwoju programów w American Institutes for Research w Pittsburghu 1969–71; dyrektor badań naukowych i rozwoju programów w State Department of Public Instructions w Madison 1971–73; dyrektor naczelny Danmar Professional Services Inc. w Clearwater 1975; dyrektor naczelny i przewodniczący rady zarządu Polish American Agricultural Foundation w Clearwater 1985–95; profesor psychologii i metod badań naukowych University of South Florida w Tampa 1985–95.



*Kapitan Armii USA Krzysztof Flizak, weteran Wojny Koreańskiej salutuje swym poległym kolegom ze 187. Pułkowego Zespołu Bojowego z okazji 55. rocznicy zakończenia Wojny Koreańskiej. 27 VII 2008 r.*

Główne kierunki badań naukowych: psychologia formowania, tworzenia i zdobywania konceptów; badanie struktur organizacyjnych i ich wpływ psychologiczny oraz socjologiczny na członków organizacji; rozwój programów nauki pilotażu początkowego i zaawansowanego. W latach 1970–90 prowadził badania naukowe oraz stworzył program instrukcyjny (objęty tajemnicą państwową) dla Lotnictwa Wojskowego Stanów Zjednoczonych i Lotnictwa Piechoty Morskiej. Autor artykułów i opracowań naukowych. Współautor opracowania naukowego zleconego przez rząd Stanów Zjednoczonych „An Exploratory Assessment of CAP Evaluation Activities” (1969). Uzyskał licencję pilota z uprawnieniami na loty instrumentalne na samoloty jedno- i wielosilnikowe.

Członek: American Psychological Association, American Educational Research Association for Advancement of Science, Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie w Londynie, Disabled American Veterans

Organization w Waszyngtonie, Polish Legion of American Veterans, Aircraft Owners and Pilots Association, American Republican Party.

Pan Kapitan jest najlepszym dowodem na to, że nie powinniśmy mieć kompleksów niższości przed innymi narodami. Tyle osiągnąć i dokonać nasz wspaniały Rodak budzi uczucie narodowej dumy.

Z podziwem patrzę na odznaczenia bojowe za waleczność i odwagę, które zdobył jako wierny potomek swych odważnych przodków spod Turbacza.

Kapitan 101. Dywizji Powietrznodesantowej 8. Armii Stanów Zjednoczonych w wojnie w Korei w słynnej jednostce spadochronowej 187. Samodzielnego Pułku Szturmowo-desantowego.

Purpurowe Serce nadane po akcji bojowej 187. Pułkowego Zespołu Bojowego – ranny 25 maja 1953 roku w Dolnie Kumwha w sektorze Iron Triangle.

Kuźnią charakteru człowieka jest dom rodzinny. Musiał to być bardzo patriotyczny dom, skoro tak mocno zaszczerpił polskość i dumę narodową w sercu Pana Kapitana. Pytany przez swoich kolegów w Armii USA w Korei „Who are You?” (kim jesteś?) odpowiadał z dumą „I'm an American soldier with Polish Heart” („jestem amerykańskim żołnierzem z polskim sercem”). Pan Kapitan podkreśla, że nigdy nie zapomina, iż jest synem Wielkiego Bohaterskiego Narodu i tę dumę zachował do dziś. Panu Kapitanowi zależy, aby polska młodzież miała okazję zapoznania się z tym, co jej Naród doświadczył w czasie II wojny światowej, spotyka się z młodzieżą w Polsce, której jako świadek historii przekazuje swoje doświadczenia i spotyka się z wielkim zainteresowaniem.

Pan Kapitan nie ma już swoich krewnych w Polsce. Rodzinę mamy wymordowali banderowcy na Wołyniu, stryj Sebastian Flizak znany etnograf, który pisał o życiu Górali i jako zasłużony dla regionu Gorczańskiego ma w Mszanie Dolnej ulicę swego imienia, zmarł bezpotomnie, podobnie dwie jego siostry, pochowany na cmentarzu przy kościele w Mszanie Dolnej.

W spotkaniu 24.05.2014 r. w Warszawie bierze udział Weronika, która od dawna interesuje się naszą historią, zwłaszcza okresem II wojny światowej, a ponieważ od października 2014 roku zaczyna studia dziennikarstwa w Leicester w Anglii, wysłuchanie relacji tak cennego świadka pomoże jej w przekazywaniu naszej autentycznej historii koleżankom i kolegom z innych krajów świata, a w przyszłości jako dziennikarka chce opisywać nasze dzieje w zachodnich wydawnictwach w języku angielskim.

Jestem bardzo wdzięczna Panu Profesorowi za spotkanie i poświęcenie swego cennego czasu dla Semper Fidelis. Dziękujemy!

**Wysłuchały:**

**Helena Wiewiórska i Weronika Pukrop**

Stanisław Materniak

## Ku pamięci i przestrodze!

W 70. rocznicę zbrodni dokonanej przez ukraińskich nacjonalistów na ludności polskiej w Kociubińcykach.

Kociubińczyki przed 1939 r. znajdowały się na rubieży Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, na terenie gminy Sidorów, która należała do powiatu mającego swą siedzibę w Kopyczyńcach, a urząd wojewódzki w Tarnopolu.

Wciąż, mimo upływu 70 lat od owych tragicznych marcowych nocy 1944 r., w koszmarnych snach tych, którzy te noce przeżyli, pojawiają się obrazy palących się polskich domów i trudnych do opisania krzyków mordowanych starców, kobiet i dzieci. Miniony czas nie potrafił ich zatrzeć. Widać pozostaną one w pamięci świadków owych tragicznych wydarzeń do końca ich dni.



*Ksiądz Tadeusz Siekierski i Franja Przybyła.  
Kociubińczyki, 1938 r.*

W uroczystościach pogrzebowych nikt nie uczestniczył, bo ich nie było. Grobów pomordowanych nikt nie odwiedza, gdyż nie wiadomo, gdzie zostali pochowani. Szczątki ich ciał przызgarnęła podolska ziemia. Jedynie Kazimierzowi Sadowskiemu udało się po 55 latach odnaleźć, dzięki pomocy jego dobrego byłego sąsiada Ukraińca, miejsce pochowania jego Mamy, Stanisławy Sadowskiej (z domu Dylińskiej), nauczycielki, urodzonej w Krakowie w 1905 r. Miejsce to znajduje się na poboczu starego cmentarza w Kociubińcykach. Pochowana została tam przez sprawiedliwych, zaprzyjaźnionych z rodziną Sadowskich Ukraińców. Ukraińcy ci,

w obawie przed banderowcami, pod osłoną nocy zabrali Stanisławę Sadowską z piwnicy jej domu, gdzie została zamordowana i zanieśli jej zwłoki na cmentarz. Obecnie na tym miejscu stoi skromny pomnik. Postawił



*Pomnik nauczycielki Stanisławy Sadowskiej na starym cmentarzu w Kociubińcykach, zamordowanej przez banderowców na początku marca 1944 roku. Na fotografii syn S. Sadowskiej, Kazimierz Sadowski z sąsiadką K. Głuszko*

go tam syn Kazimierz Sadowski. W ten sposób upamiętnił on miejsce wiecznego spoczynku na podolskiej ziemi kochanej przez niego Mamy.

Banderowska Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) pozostawiła plamę z krwi niewinnej ludności polskiej na kartach historii narodu ukraińskiego, który w swej większości nie miał nic wspólnego z banderowcami. Banderowcy stanowili znikomy odsetek całego narodu ukraińskiego. Rozpoczęli swoją ludobójczą działalność, zakrojoną na szeroką skalę na Wołyniu w lipcu 1943 r., a na początku 1944 r. przystąpiło do mordowania ludności polskiej na terenie Galicji Wschodniej. Natomiast tak zwana zazbruczańska Wielka Ukraina była wolna od banderowskiej działalności. Dopiero od 24 sierpnia 1991 r., dnia proklamowania niepodległego państwa ukraińskiego, po dzień dzisiejszy udało się pogrobowcom Stefana Bandery przekonać i pozyskać garstkę mieszkańców zazbruczańskiej Ukrainy, głównie ludzi młodych, do banderowskiej ideologii. Jednym z nich jest Andrij Tarasenko, rzecznik banderowskiego Prawego Sektora na Majdanie w Kijowie, sterowanego przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i wspieranego przez banderowską partię „Swoboda”.

W wywiadzie dla „Rzeczypospolitej” z 30 stycznia 2014 roku zanegował on dokonaną na Wołyniu przez banderowców rzeź ludności polskiej. Jego zdaniem „To brednia. Dokładnie śledziłem historię OUN i wiem, że to po prostu nieprawda”.

Z tej wypowiedzi wynika że w ukraińskich nacjonalistyczno-banderowskich opracowaniach historycznych

nie ma mowy o popełnionych przez UPA zbrodniach. Przedstawia się w nich banderowców jako nieskazitelnymi bojownikami o niepodległą Ukrainę. Jeżeli Andrij Tarasenko interesuje się historią, a rzecznikowi rzetelna wiedza jest potrzebna, to radzę mu, żeby zajrzał do opracowań niezależnych historyków ukraińskich oraz prac obcojęzycznych.

W dalszej części swego wywiadu Andrij Tarasenko powiedział, że: „Miejsce Ukrainy nie jest w Unii. To byłoby sprzeczne z ideą państwa narodowego”. W taki razie o co Prawemu Sektorowi na Majdanie chodziło? W jakim celu urządził taką zadymę w Kijowie.

Z tego wynika, że Prawy Sektor wykorzystał siłę zgromadzenia wielotysięcznego tłumu do obalenia prezydenta Wiktora Janukowycza, choć nie zależało mu na podpisaniu Umowy Stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Natomiast ci, którzy na serio domagali się podpisania sygnalizowanej wyżej umowy dopięli swego. Po obaleniu prezydenta doprowadzili do podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią. Idea Umowy Stowarzyszeniowej z Unią Europejską stała się motorem rewolucyjnych przemian na Ukrainie.

Prawy Sektor i wspierająca go partia „Swoboda” domagały się obalenia prezydenta nie z tego względu, że tolerował on korupcję i sam w niej uczestniczył, ale dlatego, iż pozbawił Banderę tytułu bohatera Ukrainy. Tytuł ten nadał Banderze poprzednik W. Janukowycza, były prezydent Wiktor Juszczenko sympatyzujący z banderowcami. Liczył on na ich poparcie w wyborach prezydenckich na drugą kadencję. Jednak nie udało się banderowcom zebrać więcej głosów i Juszczenko wybory przegrał.

Prawy Sektor, przy wsparciu całego Majdanu, obalając prezydenta Janukowycza nie liczył się z konsekwencjami, które mogły nastąpić na terenie Ukrainy. W czasie obalenia prezydenta rozwalili strukturę administracyjną państwa, doprowadzili do zawirowania w szeregach milicji i wojska oraz zrazili do siebie i całego Majdanu mieszkańców południowo-Wschodniej części Ukrainy i Krymu. Czerwono-czarne banderowsko-faszystowskie sztandary sprowokowały Rosję do wykorzystania sytuacji na Ukrainie do realizacji swoich mocarstwowych interesów. Ukraina nie była w stanie przeciwstawić się, przy chwiejnej postawie niektórych oficerów, do powstrzymania podjętych przez Rosję działań wojskowych.

Walka o przywrócenie Banderze tytułu bohatera Ukrainy stała się obsesją OUN, partii „Swoboda” i banderowskiego Prawego Sektora na Majdanie. W tej chwili chodzi o to – powiedział A. Tarasenko – „żeby ludność ukraińska jednoczyła się wokół wielkich bohaterów: Mazepy, Petlury i Bandery”.

Z historii wiemy, że bohaterowie ci w ogóle, zwłaszcza dwaj ostatni, do siebie nie pasują i trudno ich ze sobą połączyć. Ataman Semen Petlura był żołnierzem, który w 1920 r. walczył z bolszewicką Rosją o niepodległą Ukrainę. Usunięty przez bolszewików z urzędu premiera rządu ukraińskiego w Kijowie zabiegał o pomoc państwa polskiego. Za poparcie Polski w odzyskaniu z rąk bolszewickich zachodniej Ukrainy zrezy-

gnował na rzecz państwa polskiego z byłej Galicji Wschodniej, zwanej obecnie Zachodnią Ukrainą. Wyrazem tego była umowa z dnia 21 kwietnia 1920 r. zawarta między rządem Rzeczypospolitej Polskiej a rządem Ukraińskiej Republiki Ludowej. Polska występując w obronie Ukrainy reprezentowanej przez rząd premiera Semena Petlury, o mało co nie utraciła odzyskanej w 1918 r. swej niepodległości. Dopiero w sierpniu 1920 r., w bitwie warszawskiej pokonała Armię Czerwoną i wyparła ją poza linię, która na mocy traktatu pokojowego z 18 marca 1921 r. zawartego między Polską i Rosją Sowiecką uznana została za wschodnią granicę państwa polskiego. Rezygnacja S. Petlury z Galicji Wschodniej na rzecz Polski nie miała żadnego znaczenia. Traktować ją należy jako gest dobrej woli.

Natomiast S. Bandera, w porównaniu do S. Petlury, był terrorystą i zbrodniarzem. Prowadził zbrodniczą działalność na terenie państwa polskiego. W 1936 r. sąd we Lwowie skazał go na siedmiokrotną karę dożywotniego więzienia. Wybuch II wojny światowej uratował mu życie. We wrześniu 1939 r. wyszedł z więzienia i stanął na czele tak zwanego Komitetu Rewolucyjnego OUN. Następnie objął kierownictwo jednej z dwóch frakcji OUN zwanej od jego nazwiska „banderowcami”. W 1943 r. pod kierownictwem wspomnianej wyżej frakcji doszło do połączenia oddziałów terrorystyczno-wojskowych w jednolitą Ukraińską Powstańczą Armię. Armia ta już latem 1943 r. przystąpiła do mordowania ludności polskiej na Wołyniu, a później w województwie lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim.

A. Tarasenko w swoim wywiadzie nie wspominał nic o atamanie Bohdanie Chmielnickim i o poecie Tarasie Szewczence. Uczynił to świadomie dlatego, że ich nazwiska mogłyby odsunąć na boczne tory Banderę i wyeliminować go z walki o odzyskanie odebranego mu tytułu bohatera Ukrainy.

Bohdan Chmielnicki i Taras Szewczenko funkcjonują w świadomości ukraińskiego społeczeństwa jako duchowi przywódcy narodu. Są oni niekwestionowanymi bohaterami całej Ukrainy. Świadczą o tym ich portrety, które wiszą na frontowych ścianach w ukraińskich domach. Do nich zwracali się Ukraińcy w trudnych latach ich historii „Wstań Bohdanie, wstań Tarasie, obudź się, na swój naród popatrz się, jak po więzieniach głoduje”. Przy tym warto dodać, że Taras Szewczenko, mówiąc o stosunkach ukraińsko-rosyjskich, przestrzegał rodaków. W jednym ze swoich wierszy napisał: „Kochajtysia ta ne z Moskalamy, bo Moskali źli ludy, robiat tycho z Wamy”.

Bez przywrócenia Banderze tytułu bohatera Ukrainy nie da się narzucić wszystkim Ukraińcom ideologii banderowskiej. Na zachodniej Wielkiej Ukrainie, a w szczególności na południowo-wschodnich jej rubieżach nazwisko Bandery wywołuje wrogi odruch. Kojarzy się ono ze zbrodniarzem i faszystą. Portret Bandery wiszący nad Prawym Sektorem na Majdanie w Kijowie i faszystowskie czerwono-czarne sztandary wpłynęły na pogłębienie nienawiści do Bandery, Prawego Sektora oraz nowego rządu w Kijowie.

Z ostatnich danych wynika, że wpływy banderowców nawet na Zachodniej Ukrainie, w mateczniku Bandery, stopniowo maleją. Wyrazem tego między innymi jest fakt, że nie udało się banderowskiemu radnym w radzie miasta Lwowa przeprowadzić zgłoszonego przez nich wniosku, który został odrzucony większością głosów. Chcieli oni lwowskiemu lotnisku nadać imię Stepana Bandery. Zachodnia Ukraina jest obecnie swego rodzaju banderowskim skansenem, w którym pomniki Bandery straszą zagranicznych turystów.

OUN w dalszym ciągu żywi wrogi stosunek do narodu i państwa polskiego. Świadczy o tym Uchwała Głównego Prowidu tej organizacji z czerwca 1990 r. Uchwała ta głosi, że – cytuję – „Będziemy dążyli wszelkimi środkami i sposobami do odbudowania ukraińskiego charakteru Zakurzonii (Chełmszczyzny i Podlasia). Ukraina nigdy z tych ziem nie zrezygnuje i w odpowiednim czasie o nie się upomni. Jeżeli Polacy będą się upierali, to Ukraina względem nich bez najmniejszego wahania użyje siły zbrojnej”.

Uchwała ta, stanowiąca program działania OUN, jest w dalszym ciągu aktualna. Nawiązał do niej w swoim wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” cytowany wyżej A. Tarasenko. Powiedział on, że „sprawiedliwość nakazywałaby, aby ziemie te wróciły do Ukrainy. Mówię tu, podkreślił on, o Przemysłu i kilkunastu powiatach”. Na zakończenie swego wywiadu A. Tarasenko dodał, że Chełmszczyzna i Podlasie muszą być ukraińskie. „Dlatego musimy odzyskać broń atomową. Mamy na Ukrainie własnych specjalistów, którzy do tego doprowadzą. Wtedy, gdy odejdzie Janukowycz. Aby to osiągnąć, jesteśmy gotowi sięgnąć po wszystkie metody, także radykalne. Tak jak robił to Bandera”. Taką „świetlaną przyszłość” kreślą przed nami pogrobowcy Bandery.

Na razie nie wiadomo, jak i czym zakończą się dla Ukrainy plany banderowskiego Prawego Sektora, OUN i partii „Swoboda”. Krym Ukraina utraciła już na zawsze. Co będzie z południowo-wschodnią częścią Ukrainy, gdzie trwają walki z separatystami wspieranymi przez Rosję? Czas pokaże.

Stosowane przez współczesnych banderowców antydemokratyczne metody działania podzieliły nie tylko dotychczasowych obywateli Ukrainy, ale również samych Ukraińców. Wyrazem tego, nie mówiąc już o Krymie, są walki toczące się na południowo-wschodniej Ukrainie.

Obecnie Ukraina ma wiele ważnych do rozwiązania problemów. Jednym z tych, które uniemożliwiają zamknięcie sprawy granicy państwowej na południowo-wschodniej części kraju jest walka z separatystami. Wszystko wskazuje na to, że trwać ona będzie tak długo, dopóki Rosja wspiera ich będzie. Innym, może mniej ważnym obecnie, ale w przyszłości, po zakończeniu walki z separatystami, może być problem z rodzimymi zachodnioukraińskimi nacjonalistami spod znaku Bandery.

Niektórzy politolodzy uważają, że jeżeli parlament i rząd po zakończeniu walki z separatystami nie zwiną czerwono-czarnych sztandarów, to droga Ukrainy do

Unii Europejskiej, mimo podpisania z nią Umowy Stowarzyszeniowej, zostanie zamknięta.

Uważam że źle by się stało, gdyby dążenia większości narodu ukraińskiego do integracji z Unią Europejską się nie powiodły. Przeciwni tej integracji są, o czym sygnalizowałem wyżej, skrajni nacjonałiści o banderowskim rodowodzie. Naszym narodowym interesem jest wyrwanie Ukrainy spod wpływów imperialnej Rosji. Próbował to uczynić 94 lata temu Marszałek Piłsudski, wspominałem o tym już przy okazji walki z bolszewikami w 1920 r.

Nie spełniły się oczekiwania banderowskiego Prawego Sektora na Majdanie. Działacze tego Sektora wraz z jego szefem Dmytrem Jaroszem sądzili, że nowo wybrany 25 maja br. prezydent przyjdzie na Majdan, nisko pokłoni się i poprosi o uznanie jego władzy nad krajem. Tymczasem prezydent Petro Poroszenko w swym programowym wystąpieniu przed ukraińskim parlamentem użył 1919 słów, ale ani razu nie wspomniał o Majdanie. Podobnie postąpił nowo wybrany mer Kijowa Witalij Kłyčko.

Wraz z wyborem nowego prezydenta kraju i mera Kijowa zakończył się kilkumiesięczny okres istnienia dwuwładzy. Szkoda tylko, że nie dotarło to do świadomości działaczy partyjnych rezydujących na Majdanie. Dalsze istnienie Majdanu nie poprawia wizerunku państwa i stołecznego miasta dużego kraju. Stąd też została podjęta decyzja o likwidacji Majdanu. Wreszcie może skończy się, mówią mieszkańcy Zachodniej Ukrainy, zbieranie pieniędzy pod presją miejscowych aktywistów partyjnych na utrzymanie Majdanu. Czy decyzja o likwidacji Majdanu, ze względu na opór zasiedziały tam rezydentów, zostanie zrealizowana, czas pokaże.

Dedykuję ten tekst pod rozważkę polskim politykom, zwłaszcza tym, którzy tak emocjonalnie przemawiali na Majdanie w Kijowie pod banderowskimi czerwono-czarnymi sztandarami, choć były tam też sztandary narodowe niebiesko-żółte. Wstyd mi za tych, którzy przeproszali uczestników Majdanu, głównie banderowców z Prawego Sektora, gdyż oni grali tam wtedy pierwsze skrzypce. Przeproszali rzekomo za niedyplomatyczną wypowiedź naszego Ministra Spraw Zagranicznych, bo jakoby zbyt głośno i ostro przemówił banderowskim działaczom z Prawego Sektora do ich rozumu. Przecież Ministrowi chodziło o to, żeby położyć kres dalszemu rozlewowi krwi.

Nie wolno poniżać się przed tymi, którzy hołdują zbrodniczym czynom swych poprzedników, za które nas nie przeprosili, a dzisiaj grożą i domagają się rewizji ustalonej po zakończeniu II wojny światowej wschodniej granicy państwa polskiego. Tego nie można przemilczać i udawać, że niczego nie wiemy, nic się nie stało, ale stać się może, jeżeli OUN dojdzie do władzy. Wyraźnie w swoich wypowiedziach oraz w programach politycznych o tym deklaruje.

Pochodzę z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej i wiem, o czym mówię. □

Jerzy Duda

## Obrona Lwowa w latach 1918–1919

### Miasto walczy o wolność\*

W lipcu 2014 roku na całym świecie uroczystie obchodzono setną rocznicę wybuchu I wojny światowej, uczestniczyły w niej 33 państwa, zamieszkałe przez 1,5 miliarda ludzi, państwa te wysłały do boju 70 milionów żołnierzy. W tej wojnie wzięli udział Polacy, walczyli na wielu frontach, bardzo często przeciwko sobie, bo przecież Polski nie było. Do swoich armii młodych Polaków wcielali zaborcy, stojący na wrogich wobec siebie pozycjach.

Wojna była wyniszczająca, przeorała zniewolone ziemie polskie, z północy na południe, i z wschodu na zachód. Życie swoje oddało prawie 400 tys. polskich żołnierzy, walczących w bitewnych szeregach, i więcej niż drugie tyle cywilów – bezpośrednich ofiar działań wojennych.<sup>1)</sup> Ale ta straszna wojna przyniosła jednocześnie wyzwolenie Polski, po 123 latach zaborów.

Tę wielką radość zakłóciło niejasne, haniebne stanowisko zwycięskich mocarstw. Ratyfikowany 28 czerwca 1918 roku traktat wersalski nie wyznaczył wyraźnych granic naszej Ojczyzny. Oto Polska dźwigająca się z pogorzelska wojny światowej okazała się państwem bez ustalonego terytorium, bez międzynarodowego uznania, zmuszona została do orężnego wyrąbywania swoich granic. Ich ukształtowanie wymagało wielkiego trudu, zaangażowania w sześć konfliktów zbrojnych, które pochłonęły kolejne ćwierć miliona polskich żołnierzy. Ten egzamin bojowy Polacy zdali celująco!

Szczególne napięcie towarzyszyło walkom o wschodnią granicę odrodzonej II Rzeczypospolitej Polski. Stanisław Sławomir Nicieja o granicach Polski tak powiedział: „...Polska jako duży kraj europejski tym się wyróżniała na przestrzeni tysiąca lat swej historii, że miała pulsujące granice. Francja, Włochy, Hiszpania od wieków zajmują te same terytoria, natomiast granice Polski zmieniały się wielokrotnie. Inny kształt miała Polska w czasach piastowskich, inny za Jagiellonów, jeszcze inny za panowania Wazów. Był czas, że sięgała od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego: była wówczas terytorialnie cztery razy większa niż dziś...”<sup>2)</sup>

Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej zapłonęły zanim jeszcze skończyły się walki na frontach I wojny światowej. Już w marcu 1917 roku w wyniku porozumienia ukraińskich partii socjalistycznych utworzona została Ukraińska Centralna Rada, która domagała się autonomii terytorialnej dla Ukrainy. Wkrótce potem, 20 listopada 1917 roku obwołano powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej. Ta decyzja nie była zgodna z interesami powstającego państwa sowieckiego, skierowane na Ukrainę wojska bolszewickie w lutym 1918 roku rozgromiły oddziały podległe Ukraińskiej Centralnej Radzie. Spokój trwał jednak krótko, w listopadzie 1918

wybuchło ukraińskie powstanie, utworzony Dyrektoriat obwieścił powstanie Republiki Zachodniej Ukrainy – ideowo wiernej hasłom Ukraińskiej Centralnej Rady – która wezwała do walki z Polakami zamieszkującymi tereny Galicji.<sup>3)</sup>

Tym burzliwym zdarzeniom rozgrywającym się na wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej piękną książkę poświęciła Rosa Bailly. W przedmowie do „Obrony Lwowa w latach 1918–1919. Miasto walczy o wolność” napisała: „...Możemy odnaleźć całą Polskę na jednej tylko, ostatniej stronie jej dziejów: tę charakterystyczną z powodu usiłowań jednego z jej miast, Lwowa, by pod koniec I wojny światowej pozostać polskim...”

Miasto Lwów jest wielkim bohaterem opowieści francuskiej pisarki (1890–1976), ogromnie dla Polaków i polskiej kultury zasłużonej. Przez całe swoje życie była orędowniczką i propagatorką wszystkiego co z Polską związane. Przełożyła na język francuski dzieła autorstwa m. in.: Zofii Nałkowskiej, Wacława Berenta, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Juliana Tuwima, Leopolda Staffa.

Książka Rose Bailly o Lwowie w języku angielskim ukazała się już w 1956 roku. W języku polskim w tłumaczeniu Waldemara Grosa została wydana dopiero w 2011 roku, ponad pół wieku trzeba było czekać na dzieło pisane sercem, traktujące o dziejach niezwykle go, patriotycznego zrywu Lwowian w okresie kształtowania się granic państwa polskiego, niemal natychmiast po formalnym odzyskaniu przez nie niepodległości w 1918 roku.

Na książkę składa się dziesięć rozdziałów o następujących tytułach:

- I. Lwów i jego mieszkańcy.
- II. Pierwsza wojna światowa.
- III. Przewrót ukraiński.
- IV. Spontaniczna obrona.
- V. Po walkach partyzanckich wojna.
- VI. Najczarniejsze godziny.
- VII. Pomoc i oswobodzenie.
- VIII. Oblężenie.
- IX. Chwała.

Opowieść rozpoczyna się opisem miasta i jego mieszkańców. W latach austriackiej, zaborczej okupacji Lwów był miastem promieniującym na całą Galicję. Wznoszono monumenty upiększające miasto, przypominające wielkich kresowych rodaków, m.in.: Jana Sobieskiego, Adama Mickiewicza, Aleksandra Fredrę, Kornela Ujejskiego. Własnymi rękami ludność Lwowa, na Wzgórzu Zamkowym usypała Kopiec Unii Lubelskiej. Już u zarania XX wieku Uniwersytet Lwowski posiadał 85 polskich katedr, prowadzone tam wykłady przyciągały ponad 3.000 studentów, na Politechnice

Lwowskiej studiowało ponad 2.000 słuchaczy, działały ponadto: Akademia Medycyny Weterynaryjnej, Akademia Handlowa, Szkoła Przemysłowa, a w pobliskich Dublanach Akademia Rolnicza. W swoim obrębie Lwów szczylił się 150 gimnazjami i liceami, a także 30 szkołami technicznymi. Oczy miłośników historii i piękna cieszyły wielkie bogactwo zbiorów zgromadzonych w Muzeum Historycznym Sobieskiego, Muzeum Dzie duszyckich, Muzeum Lubomirskich i t.d. W Ossolineum znajdowało się pół miliona książek, a także wiele tysięcy XVI i XVII-wiecznych rękopisów.

O samych mieszkańcach Lwowa pisze Autorka z nieskrywaną sympatią: „...Lwów objawia całą serdeczność kochających serc. Wszędzie słycać śmiech, dowcipkowanie, piosenki, dźwięki mandoliny lub akordeonu. Ludność, w której najróżniejsze rodzaje krwi są zmieszane, błyszczą genjuszem wszystkich ras. Posiada wszechstronną inteligencję Słowian, biznesową przedsiębiorczość Ormian i Greków, wyobraźnię Węgrów i systematyczność Niemców, jowialną naturę południowców i poczucie humoru Turków. Cechuje ją niezmierną rycerskość Polaków i ich poczucie dostojenstwa...”.

Trudno znaleźć piękniejszy portret obywateli kresowej stolicy – Lwowa.

I oto, w tym mieście w dniu 1 listopada 1918 roku, na jego ulicach pojawiły się pisane cyrylicą odezwy „Do ludności Lwowa!”, obwieszczające, że dzisiaj: „...Ukraińska Rada Narodowa przejmuje miasto Lwów i całe terytorium ukraińskie. Niniejszy nakaz niesie gwarancje pod warunkiem, że ludność pozostanie spokojna i posłuszna...”.

W obliczu śmiertelnego zagrożenia ze strony Ukraińców koniecznym stał się odpór ze strony Polaków, zacząć trzeba było od wyboru dowódcy obrony Lwowa. Został nim, nie przez wszystkich akceptowany, szef organizacji Polskie Kadry Wojskowe w Lwowie – kapitan Czesław Mączyński, na co dzień profesor historii. W jak najszybszym czasie musiał on dokonać rozdziału niewielkich sił, którymi dysponował, utworzyć wzmocnione punkty oporu, a także organizować z masowo napływających ochotników oddziały gotowe do walki z wszechobecnym wrogiem.

Pierwsze działania bojowe rozpoczęły się wczesnym rankiem w Dniu Wszystkich Świętych, w położonym na północ od miasta osiedlu Rzęsna Polska. Wysłany tam z grupą ochotników kapitan Zdzisław Tatar-Trzeźniowski po wyparciu Ukraińców, w imieniu państwa polskiego uroczyście przejął władzę nad miejscowością. W samym Lwowie dzięki śmiałym akcjom udało się zdobyć broń i sprzęt wojenny, m. in. z koszar na Wulce. Do powstańczej bazy w Domu Technika przewieziono osiem ciężarówek karabinów i amunicję. Sukcesem zakończył się także atak na magazyny z bronią na Dworcu Głównym. W sumie zdobyto ponad 12.000 karabinów. W walkach wyróżnili się młodzi oficerowie Roman Abraham i Stanisław Wolak. Wykorzystując najdrobniejsze nawet przerwy w starciach zbrojnych, dowódcy powstania błyskawicznie tworzyli służby pomocnicze. Sekcja Transportu Zmotoryzowanego dyspo-

nowała kilkudziesięciu pojazdami, wykorzystywano je do przewozu powstańców, także tych rannych. Uruchomiono warsztat rusznikarski, utworzono sekcję materiałów wybuchowych. Podjęto udane próby nawiązania łączności z Polską, a nawet z Paryżem. Nie odczuwano braku środków finansowych, i biedni, i bogaci dzielili się z powstańcami wszystkim co posiadali. Hrabia Aleksander Skarbek do dyspozycji powstańców przekazał milion koron.

Niedziela 3 listopada 1918 roku przeszła do historii Lwowa jako „krwawa niedziela”. Po krótkotrwałym okresie spokoju, w całym mieście wybuchły walki. Polakom udało się zdobyć ważne strategicznie wzgórza: w południowej części, w pobliżu starego cmentarza w Parku Stryjskim, i na północy, górującą nad miastem Górę Stracenia. Zaciekle boje toczyły się wokół Peresenkówki. Na Wzgórzach Wulczańskich, mimo przeważających sił ukraińskich udało się Polakom utrzymać zajmowane pozycje. We władaniu powstańców pozostawał tylko Dworzec Główny, na pozostałe dworce bez przerwy napływały dodatkowe oddziały Ukraińców, szczególnie od strony Stanisławowa. Grozę sytuacji powiększały masowo przejeżdżające przez Lwów transporty z zdemobilizowanymi żołnierzami, na szczęście miasto było dla nich tylko etapem, komunikacja kolejowa funkcjonowała w miarę sprawnie.

Młodzi obrońcy ofiarowali miastu wszystko co najlepsze. Niewielkie oddziały korzystając z samochodów przemykały z jednego miejsca walki, do drugiego wzmacniając stałe obsady placówek. Niedostateczną liczebność starano się rekompensować ruchliwością, było to tym ważniejsze, że w szpitalach przebywało już kilkuset rannych, niezdolnych do walki. Systematycznie wysyłano kurierów do innych regionów kraju. Ich zadaniem było przekazanie informacji o dramatycznej sytuacji miasta i jego mieszkańców. Miasto było jednak szczelnie otoczone przez wroże siły, nie miano więc pewności, czy wysłannikom udało się przerwać przez ukraiński kordon. Nie wiadano także, że 4 listopada oddziały ukraińskie weszły do Przemyśla, przerywając wszelką komunikację z Krakowem.

Nieustanne ciężkie boje zmusiły niejako dowództwo obrony Lwowa do zorganizowania samodzielnych jednostek o charakterze stricte wojskowym, powstał m.in. Samodzielny Szwadron Latających Karabinów Maszynowych pod dowództwem kapitana Jerzego Nittmana, był on kierowany w najtrudniejsze miejsca zmagających powstańców. Miasto zostało podzielone na pięć autonomicznych sektorów, powstały oddziały kawalerii i artylerii, za porządek w mieście odpowiedzialność przejęła żandarmeria wojskowa. Nieprzerwanie pracowały szpitale. Ewenementem było utworzenie milicji żydowskiej, która zobowiązując się do neutralności wobec walczących stron strzegła ładu w swojej dzielnicy.

Szczególne nasilenie krwawych walk miało miejsce w połowie listopada. Obrońcy Lwowa byli u kresu sił. Oddziały ukraińskie systematycznie wzmocniano napływającymi ochotnikami. Kierujący obroną Lwowa kapitan Czesław Mączyński, wysłał w dniu 13 listopada

1918 roku do dowódcy Wojska Polskiego w Warszawie list, w którym informował, że: „...Całkowita liczebność naszych sił zbrojnych to 468 oficerów oraz 1.922 oficerów bez stopni i ochotników...”.

Udręczeni czyhającym na każdym kroku niebezpieczeństwem i codziennymi trudnościami mieszkańcy Lwowa domagali się przerwania zbrojnych starć: „...Niech walki wreszcie się skończą! Nie możemy już dłużej wytrzymać...”. Ale także Ukraińcy widząc nieustępliwość i upór obrońców Lwowa zaczęli tracić rozmach. W międzyczasie sukcesem zakończyły się starania hrabiego Aleksandra Skarbka i dziennikarza Bolesława Eustachiewicza o przyspieszenie orężnej pomocy walczącemu i krwawiącemu miastu.

Zgodnie z rozkazem marszałka Józefa Piłsudskiego, 16 listopada 1918 roku, pod wodzą generała Józefa Roji wyruszył, z odsieczą dla Lwowa pierwszy oddział liczący 800 żołnierzy, był wraz z nimi hrabia Aleksander Skarbek. Z kolei z Krakowa dotarł pociąg pancerny, wiozący 1.228 żołnierzy i 140 oficerów, ponadto 8 armat, 78 samochodów ciężarowych i 567 koni. Eszelonem dowodził generał Michał Karaszewicz – Tokarzewski. W czasie gdy oddział krakowski wyładowywał się na Dworcu Głównym, na Łyczaków przybyło 1.100 ochotników ukraińskich, a dalszych 800 dojechało do Persenkówki.

Lwów nadal krwawił, poświęcał polskiej, narodowej sprawie natchnione miłością do Ojczyzny najmłodsze pokolenie. Kilkunastoletni, Jurek Bitschan pozostawił ojcu list: „...Najdroższy Tatusiu! Dzisiaj idę się zaciągnąć. Moim obowiązkiem jest to uczynić, gdyż nie ma dość ludzi do wyzwolenia Lwowa...”

Rankiem 21 listopada oddziały polskie, wzmocnione posiłkami ruszyły do natarcia, nieprzyjaciel okazał się jednak bardzo silny. Próby zdobycia ważnych strategicznie placówek nie powiodły się. Późnym wieczorem tego dnia, na Cmentarzu Łyczakowskim zginął Jurek Bitschan, wkrótce przeszedł do legendy bohaterskiego miasta. To była niepotrzebna śmierć, bo nocą z 21 na 22 listopada, w obawie przed pogromem oddziały ukraińskie opuściły miasto.

Poranek 22 listopada przyniósł wielką radość, ludzie przekazywali z ust do ust, niezwykłą wiadomość, wszędzie płakano i wzajemnie gratulowano sobie sukcesu. Spontanicznie ruszyła żołnierska defilada, żołnierze i ochotnicy bezowocnie usiłowali utrzymać w marszu wojskowy porządek, co chwila jednak czyjeś ręce obejmowały ich za szyje, pocałunki lądowały na ich policzkach. Miasto otoczyło swoich dzielnych synów falą gorącej, żywiołowej miłości.

Miasto było wolne! Mieszkańcy Lwowa obronili je! W atmosferze powszechnego entuzjazmu uwierzono, że zniszczenia zostaną szybko usunięte, okaleczone domy odbudowane. Koniec listopada upłynął w euforii. Rada Miejska odbyła pierwszą sesję w trakcie której przewodniczący uroczyście obwieścił: „...Panowie! Po raz pierwszy od 150 lat mamy naprawdę wolne miasto!...”

Przystąpiono do formowania polskich oddziałów wojskowych. We Lwowie powstała pierwsza dywizja

Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej. Obrońcy Lwowa zostali wcieleni do dwóch pułków strzeleckich. Dowódcą Naczelnej Komendy Wojska Polskiego Wschód został generał Tadeusz Jordan Rozwadowski, pułkownik Czesław Mączyński stanął na czele piechoty.

Aby jednak raz na zawsze uwolnić Lwów od niebezpieczeństwa, należało zlikwidować aktywność Ukraińców w całym regionie. Walki kontynuowano do zwycięskiego końca w kwietniu 1919 roku.

Po dwóch latach od zakończenia walk, na wykupionej obok Cmentarza Łyczakowskiego ziemi, na stoku pochylonym w stronę Pohulanki pojawiło się 2.000 czarnych, drewnianych krzyży, prostych, jak spoczywający pod nimi bohaterowie, ich imiona i nazwiska wypisano na metalowych tabliczkach. Podano wiek poległych – młodych dziewcząt i chłopców. To był początek legendarnego Cmentarza Orłąt Lwowskich.

Prawdziwym zwieńczeniem bohaterskiej walki o polski Lwów był dzień 4 kwietnia 1935 roku. W tym dniu w Warszawie, spośród 15 pól bitewnych, na których toczono krwawe boje o to, by Polska znów znalazła się na mapie Europy i świata Rada Wojenna wybrała „Pole Bitewne Lwowa” jako to, z którego trumna z ciałem Nieznanego Żołnierza powinna spocząć w symbolicznym Grobie Nieznanego Żołnierza Polskiego w Warszawie, świętym miejscu Wojska Polskiego i wszystkich Polaków.

Wszystkie te wydarzenia niezwykle pięknie, z nadzwyczajną wrażliwością opisała Rosa Bailly, dlatego każdy kto chce poznać historię tego niezapomnianego miasta i niezwykłych, dumnych i bohaterskich jego mieszkańców powinien po tę książkę sięgnąć. Przeżyje wielkie chwile!

#### Przypisy:

- 1) Katarzyna Kucharczuk (redakcja): I i II wojna światowa. Polska i Polacy.
- 2) Wielka Encyklopedia Powszechna. Tom 11. Warszawa 1967 Państwowe Wydawnictwa Naukowe. Str. 795.
- 3) Krzysztof Ogiolda: Mój kresowy świat. Wywiad z prof. Stanisławem Sławomirem Nicieją. Nowa Trybuna Opolska z 21 marca 2014 roku.

\* Rose Bailly: Miasto walczy o wolność. Obrona Lwowa w latach 1918–1919. Lublin 2011 Norbertinum. 390 stron + 48 stron (zdjęcia i mapy).

Małgorzata Ziemska

## Do czytelników powieści Bolesława Zielińskiego

Ta historia rozpoczyna się na Kresach Wschodnich, w Łucku – stolicy województwa wołyńskiego, gdzie przed II wojną światową mieszkała rodzina Marcinkowskich. Moja babcia Olimpia Marcinkowska z domu Martyńska, od wielu pokoleń łucczanka, pracowała w Wydziale Statystycznym łuckiego Magistratu. Za prezydentury Bolesława Zielińskiego brała udział w przygotowaniu dwóch ważnych dla upamiętnienia historii miasta publikacji: „Łuck w świetle cyfr i faktów” oraz „Łuck w obrazach”. Dla młodej kancelistki była to ciężka, ale i owocna praca, za którą na pamiątkę otrzymała powieść autorstwa swego przełożonego. „Orli Szpon” Bolesława Zielińskiego stał się jedną z ulubionych książek mojego ojca Tadeusza Marcinkowskiego. Powieść zajmowała poczesne miejsce w biblioteczkce, która znajdowała się w małym domku przy ulicy Zamkowej 26 (u stóp wieży Władyczej zamku Lubarta). Książka nie tylko barwnie opowiadała o przygodach Polaka rodem z Kresów na kontynencie amerykańskim, ale zawierała też pięknie wypisaną przez prezydenta Łucka dedykację dla mojej babci.

Bolesław Zieliński, autor „Orlego Szponu”, był postacią nader ciekawą.<sup>1)</sup> Doktor prawa, pisarz, dziennikarz i publicysta – nie był rodowitym łucczaninem. Pochodził z Galicji. Urodził się 2 lutego 1877 roku w Szczawnem koło Sanoka jako syn Władysława Zielińskiego i Zofii z Csatów Zielińskiej. Już jako student wydziału prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie publikował artykuły w „Przeglądzie we Lwowie” (1898–1899) oraz w „Gazecie Lwowskiej”. Po ukończeniu studiów wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Tu był jednym z redaktorów najstarszej polskojęzycznej gazety codziennej w USA – „Dziennika Związkowego” w Chicago oraz „Rekordu” w Detroit. W Detroit między redagowaniem artykułów a ławnikowaniem w magistracie organizował polskie trupy teatralne<sup>2)</sup>. W czerwcu 1917 roku zawarł związek małżeński. W tymże roku rozpoczął też pracę jako inspektor rekrutacyjny Armii Polskiej w Nowym Jorku (1917–1918).<sup>3)</sup> We wrześniu 1917 roku zajął się redagowaniem wydanej drukiem przez „Sokoła Polskiego” w Pittsburghu, bogato ilustrowanej zdjęciami, broszury „O Armii Polskiej we Francji”, w której gorąco agitował Polaków w Stanach Zjednoczonych do wstępowania w szeregi Armii Polskiej.<sup>4)</sup> Z armią generała Hallera przemierzył szlak bojowy z Francji do Polski. Po odzyskaniu niepodległości pozostał w kraju, a w grudniu 1923 roku został prezydentem Łucka. Jako władca stolicy Wołynia podjął wiele ważnych inicjatyw, ale mieszkańcy miasta cenili go również jako literata i publicystę.

Co najmniej kilka pokoleń młodych łucczan, mieszkańców Lwowa, ale i innych kresowych miast wychowało się na jego powieściach „Orli Szpon” i „Wodna Lilia”, pisanych z myślą o młodzieży. Tematyką indiańską Bolesław Zieliński zainteresował się w trakcie swego pobytu w Ameryce Północnej. Pracując jako oficer rekrutacyjny Armii Polskiej w Nowym Jorku, spotkał jednego z potomków polskiego rodu Zebrzydowskich,

który od kilku wieków mieszkał w Ameryce i wprawdzie dla uproszczenia zmienił nazwisko na Zebrycki, ale dumnie przyznawał się do polskich korzeni. To właśnie on zwrócił uwagę pisarza na niezmiernie ciekawą historię rodzinną, która znajdowała również potwierdzenie w dokumentach przechowywanych w nowojorskiej bibliotece Carnegiego. Przeglądając wskazane materiały, pisarz dowiedział się, że „w siedemnastym stuleciu, w kilkanaście lat po protoplastach Yankesów, przybyli do Ameryki Zebrycki i Liski. O Liskim (niezawodnie Łaskim) słuch zaginął, natomiast rodzina Zebryckich żyje dotychczas w mieście Jersey, leżącym naprzeciwko Nowego Yorku, po drugiej stronie rzeki Hudson. Jest ona jeszcze właścicielką znacznej ilości gruntów, na których stoi trzyczwierćmilionowe miasto, odziedziczonych w prostej linii po owym Zebryckim z Polski i jego małżonce Indiance.”<sup>5)</sup> Tak rozpoczęła się fascynacja pisarza kulturą i tradycjami Indian amerykańskich. Studiując w nowojorskich bibliotekach różnorodne dokumenty, z coraz większą sympatią i zainteresowaniem myślał o pierwotnych mieszkańcach Ameryki Północnej. By poznać lepiej zwyczaje Indian, odwiedził kilka rezerwatów. Był pod wrażeniem szlachetności, skromności i gościnności mieszkańców indiańskich osad. Niewątpliwie wpływ na jego poglądy wywarła też postać Jacka Wheelbarrow, Indianina z plemienia Siuksów, który zgłosił się do punktu rekrutacyjnego w Nowym Jorku, by zapisać się do polskiego wojska. Pisarz osobiście wciągnął go na listę ochotników i wypytał o pobudki takiej decyzji. Czerwonoskóry młodzieniec wyjaśnił, że bardziej od amerykańskich generałów ceni Polaka Tadeusza Kościuszkę, który cały swój majątek, uzyskany w uznaniu zasług w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych, zapisał na wyswobodzenie niewolników murzyńskich. Polski generał, który nie myślał o sobie, ale o najbardziej uciśnionych, którego było stać na taką szlachetność, dla niego stanowił właśnie ideał człowieka. Jack odpłynął z jednym z pierwszych batalionów na francuski front i poległ w pierwszej bitwie na polach Szampanii. Mało kto chyba wie, że w wydarzeniach związanych z naszą historią brał udział Indianin, który oddał życie za wolną Polskę. Pisarz jednak dobrze zapamiętał tego niezwykłego człowieka o „skrzęcych się, czarnych jak węgiel oczach i twarzy wykutej jak z kamienia, a jednak delikatnej i szlachetnej”<sup>6)</sup>. Czuł, że ma do spłacenia dług wdzięczności wobec synów „niszczonego z premedytacją plemienia indiańskiego”. W swoich powieściach pragnął przedstawić bohaterską walkę czerwonoskórych z bezlitosnym, doskonale uzbrojonym najeźdźcą. Zamierzał walczyć z ukazywanym w książkach i filmach stereotypem Indianina jako żadnego krwi dzikusa, bez litości mordującego niewinnych białych osadników. Po Henryku Sienkiewiczze był drugim polskim pisarzem, który w swej twórczości podjął tematykę indiańską, i pierwszym, który uczynił Indian bohaterami powieści.

Dedykowana synowi Bolesławowi książka „Orli Szpon” opowiada o pierwszym Polaku wśród Indian

amerykańskich. Akcja powieści toczy się w XVII wieku. Jej bohaterem jest Marek Zebrzydowski, młody kresowy szlachcic obdarzony przez autora nie tylko szlachetną choć porywczą naturą, ale i ciekawą, barwną biografią, w której została zapisana jakaś część historii mieszkańców dawnych ziem naddnieprzańskich. Marek, gdy miał 16 lat, został schwytany przez Tatarów i zawieszony na Krym, gdzie na targu niewolników sprzedano go handlarzowi czarnomorskiemu. Ciężko pracował przykuty do wiosła na galerze. W końcu jednak zdołał uciec z niewoli tatarskiej. Ukrywając się przed pościgiem, wędrował pieszo przez Macedonię, Bułgarię i Węgry. Wreszcie powrócił szczęśliwie do rodziny. W czasie wojny trzydziestoletniej zaciągnął się do słynnej chorągwi Lisowczyków. Walczył dzielnie, ale też pod wpływem towarzyszy z chorągwi zmienił wiarę. Został kalwinem. Ze zdumieniem, a później narastającą niechęcią przyjęto w domu tę decyzję. Dowiedziawszy się zatem od dawnych swych przyjaciół, iż dysydenci angielscy szukają schronienia za oceanem, postanowił pójść za ich przykładem. Za jeden guz szmaragdowy od kontusza stał się pasażerem małego żaglowca zmierzającego do Ameryki. W czasie burzy statek rozbił się u brzegów kontynentu amerykańskiego, a młodzieniec zginąłby niechybnie w paszczy rekina, gdyby na pomoc nie pospieszyła mu Wodna Lilia, córka wodza Delawarów, obserwująca całe zdarzenie. Wraz z ojcem Lotnym Jeleniem postanowiła zabrać uratowanego młodzieńca do osady indiańskiej. W drodze Marek miał okazję odwdziżyć się Indiance, ocalając jej życie przed atakiem korsarzy. Za okazaną dzielność został przyjęty do plemienia Delawarów. Poprowadził ich do zwycięskiej walki z korsarzami, ale przez swą szlachetność popełnił błąd – darował życie hersztowi rozbójników, który oskarżył go przed holenderskim gubernatorem. Marek jako ten, który sprzymierzył się z czerwioskórny w ataku na białych ludzi, został aresztowany i wkrótce miał zostać stracony. Uwolnili go indiańscy przyjaciele. Musiał teraz uciekać, ale wciąż tropił go herszt korsarzy, który wezwał na pomoc wrogie plemię Huronów. Wędrując wraz z Wodną Lilią ku ziemiom zaprzyjaźnionych Mohikanów, Marek trafił do kościółka angielskiego misjonarza. Tu właśnie odnalazł dawną wiarę ojców. Walczył dzielnie u boku Mohikanów i od Króla Filipa, wodza wszystkich sprzymierzonych nad Atlantykiem Indian, w uznaniu za swą odwagę i siłę otrzymał imię Orli Szpon. Brał też udział w obronie i odbudowie kościółka. Postrzelony przez herszta korsarzy omal nie zginął. W chorobie najczulszą opiekunką była mu Wodna Lilia. Misjonarz widząc, iż młodych połączyła gorąca miłość, po powrocie dzielnego Polaka do zdrowia przyjął oboje do kościoła katolickiego i udzielił im ślubu. Po śmierci Lotnego Jelenia Polak – Marek Zebrzydowski został wodzem Delawarów i panem ich ziemi. Żył w przyjaźni z nowym gubernatorem Nowego Amsterdamu, czyli przyszłego Nowego Yorku. Szczęśliwy w małżeństwie z Wodną Lilią dochował się dwóch synów, których przygody opisuje kolejna powieść, dedykowana tym razem córeczce autora – Janeczce Zielińskiej.

Historyczne tło „Wodnej Lili” stanowi konflikt francusko-angielski, w który wciągnięte zostały plemiona indiańskie. Akcja powieści toczy się po śmierci Marka

Zebrzydowskiego. Gdy zabrakło mądrego wodza, plemię podzieliło się na dwie grupy. Większość, podburzona przez Anglików, wybrała na przywódcę chytrego i okrutnego wojownika o imieniu Bawoli Róg. Nieliczni pozostali przy Wodnej Lili. Opiekowali się nią i chłopcami. Żona Marka starała się wychować swoich synów na dzielnych i szlachetnych ludzi. O ile starszy z chłopców, bardzo podobny do ojca i noszący jego imię Marek, nazywany przez współplemieńców Jasnym Okiem, nie zawiódł matczynych nadziei, to młodszy – Jerzy był człowiekiem złym, podstępny i przebiegły. Nienawidził swojego brata, gdyż marzył, by zostać wodzem Delawarów. Jerzy, nie na darmo nazywany Krwawym Metysem, pragnął zostać wielkim wojownikiem, mordując białych ludzi. Ku rozpaczy matki wraz z Bawolim Rogiem zaplanował i przeprowadził atak na osadę kwaków, którzy od lat żyli w przyjaźni ze wszystkimi indiańskimi plemionami. Wodna Lilia nie zdołała ostrzec osadników, ale zdążyła uratować Janeczkę, córeczkę jednego z nich. Uciekając z dzieckiem przed okrucieństwem pobratymców, trafiła do francuskiego fortu, gdzie – jako żona słynnego z odwagi Polaka – została bardzo gościnnie przyjęta. Kiedy Marek odnalazł matkę, obiecał jej odwieść Janeczkę do rodziny w Filadelfii. Przyrzeczenia tego dotrzymał. Tymczasem Wodna Lilia, pragnąc odwdziżyć się gościnnym Francuzom, obiecała pomóc misjonarzowi ojcu Marquette, którego gubernator wobec spodziewanej wojny z Anglikami wysyłał w daleką podróż w głąb kontynentu dla nawiązania kontaktów z plemionami indiańskimi. W czasie tej wyprawy wędrowcy przeżyli mnóstwo przygód. Rywalizacja między Anglikami i Francuzami wkrótce przerodziła się w krwawą walkę. Po jednej i po drugiej stronie opowiedziały się indiańskie plemiona. Francuzom udało się schwycić Krwawego Metysa. Za zbrodnie dokonane na białych osadnikach skazano go na śmierć. Podczas egzekucji Wodna Lilia zastłoniła Jerzego własną pierśią. To właśnie ona zginęła w nadziei, że gubernator, szanujący bardzo jej męża Polaka, uwłaskawi syna. Tak się też stało. Z kolei Jasne Oko został wkrótce wybrany wodzem Delawarów, a gdy Janeczka dorosła, poprosił ją o rękę. Powieść nie kończy się jednak optymistycznie, zapowiada bowiem walkę białych osadników przeciw Indianom, prawowitym panom kontynentu amerykańskiego.

Dla uważnego czytelnika indiańskie powieści Bolesława Zielińskiego są doskonałą lekcją historii Ameryki Północnej. Autor wplata w akcję książek wiele ważnych wydarzeń z dziejów kontynentu, na przykład przybycie w 1620 roku na statku Mayflower pierwszych kolonistów angielskich, losy wojny angielsko-francuskiej, odkrycia francuskiego misjonarza ojca Marquette. Opisuując przygody Marka Zebrzydowskiego, a później jego dzielnej żony, przedstawia interesujące szczegóły na temat początków istnienia takich miast jak Nowy York, Filadelfia czy Chicago. Wprowadza na karty swoich powieści autentyczne postacie historyczne. To holenderski gubernator van Kieft, rezydujący w Nowym Amsterdamie, oraz jego następca Stuyversant, indiański przywódca Król Filip, przywódca angielskich kwaków William Penn, jeden z najokrutniejszych i najkrwawszych piratów XVII wieku kapitan Kidd, angielski gubernator Fletcher czy francuski gubernator Frontenac.

Choć akcja obydwu powieści toczy się na kontynencie amerykańskim, autor zdaje się doszukiwać analogii między walką Indian z białymi osadnikami a walką Polaków o niepodległość. Współczesnemu czytelnikowi uwagi autora w stylu: „Z oczu Marka bił taki bojowy zapach, jakim chyba tylko Polak poszczycić się może”<sup>7)</sup> lub „Któryż z Polaków nie wzruszyłby się, gdyby na obczyźnie (...) usłyszał głos sygnaturki, wzywającej wiernych na Anioł Pański”<sup>8)</sup> – zapewne wydadzą się nieznośnym dydaktyzmem, ale dla starszego pokolenia są dowodem wzruszającej dumy z bycia Polakiem, przekonania, że Bóg, Honor i Ojczyzna to sprawy najważniejsze.

Opowieści o przygodach Orlego Szponu i Wodnej Lili miały na Kresach wielu nastoletnich czytelników. Mali marzyciele mocno przeżywali przygody dzielnego Polaka. Mali podróżnicy na mapach z atlasu Rommera śledzili trasę wędrówki Marka Zebrzydowskiego, a później jego żony i synów. Trudno zgadnąć, na ilu podwórkach we Lwowie, Stanisławowie, Łucku czy Tarnopolu odgrywano sceny z powieści Zielińskiego, podczas których mali wojownicy dzielili się na dzielnych Delawarów i wrogich Huronów. Kiedy to szczęśliwe, beztrioskie dzieciństwo na Kresach przerwała wojna i okupacja, książka zyskała inny, dodatkowy wymiar.

Mój dziadek Jan Marcinkowski był pracownikiem Sądu Okręgowego w Łucku, uczestnikiem wojny polsko-bolszewickiej, komendantem powiatowym Związku Strzeleckiego, sekretarzem Związku Szlachty Zagrodowej i członkiem Zarządu Stowarzyszenia Urzędników Państwowych w Łucku. Po wkroczeniu Sowietów na Wołyń niespodziewanie dla rodziny wyjechał do Warszawy i równie niespodziewanie – mimo aresztowania przyjaciół ze Związku Strzeleckiego – powrócił na Wołyń. Zatrzymał się u sióstr w Równem. Załatwiał coś, o czym nie mówił najbliższej rodzinie, która cały czas usilnie przestrzegała go przed wyjazdem do Łucka. A jednak, mimo ostrzeżeń, 9 grudnia rano pojawił się w domu przy ulicy Zamkowej 26. Czule przywitał się z żoną Olimpią, z synkiem Tadeuszem, z córką Leokadią i znów cały dzień coś załatwiał, z kimś się spotykał. Dopiero wieczorem najbliżsi mogli nacieszyć się jego obecnością. W nocy z 9 na 10 grudnia 1939 roku rodzinę Marcinkowskich obudziło głośnie walenie do drzwi. Do mieszkania weszli enkawudziści i w obecności świadków, którymi byli sąsiedzi, rozpoczęli rewizję. Przeszukali wszystkie szafy, komody, łóżka, kanapę, zaglądali pod piec, a w pokojach, gdzie nie palono, do pieców. Tu znaleziono odznaczenia i legitymacje oraz jakieś dokumenty. Zabrano również dwa albumy zdjęć i liczne zdjęcia luzem. Dla mojego ojca, który wówczas miał siedem lat, aresztowanie najbliższej osoby było strasznym przeżyciem. On, który z dumą podpisywał się „Tadzio Polak”, on – wychowany na literaturze o swoim imienniku Kościuszcze i narodowym bohaterze Józefie Piłsudskim, on, który tak kochał swego ojca i był z niego bardzo dumny ... Iluż jeszcze małych bohaterów na Kresach przeżywało podobne dramaty?! Mojego dziadka Jana Marcinkowskiego przetrzymywano w łuckim więzieniu. Wiosną 1940 roku więźniów wywieziono w niewiadomym kierunku i ślad po nich zaginął. Tymczasem przed świtem 26 maja 1941 roku, pod dom na Zamkowej 26 znów podjechał samochód

ciężarowy. Przy drzwiach i oknach znów stanęli żołnierze z karabinami. Znów charakterystyczny łomot do drzwi. Do mieszkania weszli dwaj enkawudziści. Kazali ubierać się i zabierać ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy, bo trzeba jechać do innej „obłosti” do pracy, nie wiadomo gdzie. Czas umykał, a wszyscy stali jak oniemiali. Pierwsza oprzytomniała starsza siostra ojca. To właśnie ona zaczęła pakować ubrania i żywność. A mój ojciec?

Jak dziwnymi drogami wędrują myśli nastoletniego chłopca... On przede wszystkim pamiętał, by zabrać ukochaną książkę – „Orli Szpon” Bolesława Zielińskiego. I może w tym odruchu dziecka był jakiś tajemniczy sens. Ojciec pojechał na Sybir w sandałkach, ale za to z ulubioną powieścią w podróżnym tobołku. W Okoniesznikowie w omskiej obłosti, gdzie zesłano rodzinę Marcinkowskich, babcię mnóstwo trudu kosztowało zdobycie walonek dla syna, by w ogóle mógł wychodzić z ziemianki. Na Syberii powieść Bolesława Zielińskiego mój ojciec dosłownie wyczytał na pamięć. Było w niej to, o czym wśród syberyjskich śniegów marzył mały chłopiec: wielka przygoda, szlachetni bohaterowie i coś bardzo ważnego – duma z bycia Polakiem. Słowa: „ale od czego młodość i twarda polska natura” na zesłaniu nabierały nowego znaczenia. Powieść Bolesława Zielińskiego przetrwała szczęśliwie okres deportacji. Została ukradziona w drodze powrotnej z zesłania na stacji w Kremieńczugu. Jakże musiał rozczarować się złodziej, gdy w tobołku zamiast sowitego łupu odkrył tylko zeszyty i książki. Dla ojca „Orli Szpon” stanowił prawdziwy skarb – zawierał dedykację od prezydenta Łucka dla jego mamy, na „niełudzkiej ziemi” przypominał ukochany dom i szczęśliwe dzieciństwo w Łucku, opisując bohaterstwo Polaka Marka Zebrzydowskiego i jego wiernych przyjaciół Indian, pomógł przetrwać ciężki czas na zesłaniu.

Jest pewna miara wdzięczności, którą czuje każdy przyzwoity człowiek. Słuchając syberyjskich wspomnień ojca, zrozumiałam, jak ważna była dla niego powieść Bolesława Zielińskiego. Zainteresowałam się postacią dawnego prezydenta Łucka i przeczytałam jego książki. Może nie był to pisarz tej miary, co Sienkiewicz, a jednak jego książki były ważne dla nastoletnich czytelników z Kresów. Jest pewna miara wdzięczności... Zapomniano o Bolesławie Zielińskim. Wojenna zawierucha zatarła wszelkie ślady po dawnym prezydencie Łucka, który ze stolicy Wołynia w 1926 roku wyjechał do Lwowa. W 1938 roku jeszcze mieszkał w Rzęśnie Polskiej.<sup>9)</sup> A później? Może ktoś z czytelników „Semper Fidelis” będzie potrafił rozwiązać zagadkę dalszych losów Bolesława Zielińskiego. Może ktoś jako mały chłopiec czytał książki prezydenta Łucka. Może odgrywał wraz z przyjaciółmi sceny z jego indiańskich powieści. Może nawet po dziś dzień w swojej bibliotece ma egzemplarze „Orlego Szponu”, „Wodnej Lili” czy „Ostatniego wigwamu”. Niech moja rodzinna historia dla dawnych miłośników twórczości Bolesława Zielińskiego stanie się zaproszeniem, by opowiedzieć o swoich spotkaniach z jego książkami, o swojej rodzinie, domu i kolegach! Niech dzięki pamięci jeszcze raz na zapomnianych kresowych podwórkach zadźwięczą tamte dziecięce głosy!

#### Przypisy:

1) Więcej o postaci Bolesława Zielińskiego w artykule *Dr Bolesław Zieliński – pierwszy prezydent miasta Łucka na Wołyniu*, zamieszczonym w 23–24 numerze „Kurier Galicyjski” z 2013 roku oraz w 1 numerze pisma z 2014 roku. Tekst dostępny także w internecie: <http://www.kuriergalicyjski.com/index.php/redakcja/leca/2851-dr-boles-aw-zieli-ski-pierwszy-prezydent-ucka-cz-i>

2) W. Gielżyński, *Rozmach amerykański w murach średniowiecza*, „Tygodnik Ilustrowany” 1925 nr 27, s. 536.

3) *Czy wiesz, kto to jest?* T. II *Uzupełnienia i sprostowania*, pod red. Stanisława Łozy, Warszawa 1938, s. 362.

4) Dr Bolesław M. Zieliński, *O Armii Polskiej we Francji, Pittsburgh 1917*.

5) Bolesław Zieliński, *Orli Szpon*, Lwów 1931, s. 9.

6) Bolesław Zieliński, *Ostatni wigwam*, Warszawa 1939, s. 2.

7) *Ibidem*, s. 115.

8) *Ibidem*, s. 99.

9) *Czy wiesz, kto to jest?* T. II *Uzupełnienia i sprostowania*, pod red. Stanisława Łozy, Warszawa 1938, s. 362.

Aleksander Smoliński

## Artyleria konna Wojska Polskiego w walkach o Lwów i Małopolskę Wschodnią w okresie od grudnia 1918 roku do wczesnej wiosny 1919 r. (II)

### Odrębna Bateria 8 Pułku Artylerii Polowej, czyli późniejsza 1 Bateria 5 Dywizjonu Artylerii Konnej

Dnia 17 grudnia 1918 r. powstała kolejna bateria, która w konsekwencji późniejszych zmian organizacyjnych stała się ostatecznie baterią artylerii konnej. Sformowano ją w Rembertowie przy tworzącym się wtedy 8 Pułku Artylerii Polowej, w którym stanowiła 5 Baterię, zwaną też Odrębną Baterią 8 Pułku Artylerii Polowej. Jej dowódcą został kapitan Wacław Szalewicz. Poza tym służbę oficerską pełnili tam również porucznicy Mikołaj Rodziewicz i Konstanty Koziełto oraz podporucznicy Zygmunt Bohdanowski, Jan Ślósarski i Witold Płotnicki. Natomiast: „Trzy czwarte szeregowych stanowili studenci wyższych uczelni warszawskich, garnący się wówczas tłumnie do szeregów, resztę zaś ochotnicy z okolic Grójca.”<sup>36)</sup> Natomiast inny z żołnierzy tego pułku tak po latach wspominał ówczesnych ochotników:

„Skład żołnierski był bardzo ciekawy, ponieważ poboru w Polsce jeszcze nie było, a cała armia była właściwie armią ochotniczą. Tu, pod Warszawą do Rembertowa zjechało masę młodzieży inteligentnej, przede wszystkim młodzieży akademickiej. Była tu również część robotniczej młodzieży Warszawy. Ten kontakt młodzieży robotniczej warszawskiej ze studentami był bardzo ciekawy, dlatego, że ci prości młodzi chłopcy podciągali się jak mogli do poziomu kulturalnego studentów i razem tworzyli całkiem dobry zespół wspianych pod każdym względem żołnierzy. Ponieważ byli to ochotnicy, więc chętnie wszystko robili, chcąc się jak najwięcej i najlepiej wszystkiego nauczyć i marzyli o tym, aby jak najprędzej wyjechać na front.

Dość śmieszne rzeczy działy się z końmi, bo przecież była to młodzież, która nigdy nic wspólnego z końmi nie miała, a trzeba się było nauczyć koło tych koni chodzić, o nie dbać, siodłać, a przede wszystkim na nich jeździć. Nie tylko zresztą pojedynczo, ale również w zaprzężonym szyku. Z tym było trochę kłopotu, ponieważ byli również tacy, którzy trochę się bali tych koni i nie bardzo wiedzieli, jak do tego konia przystąpić, więc wszystkiego musieliśmy ich od samego początku uczyć. Czasem nawet śmieszne były sceny.”<sup>37)</sup>

Została ona wydzielona ze swego macierzystego pułku i 5 stycznia 1919 r., w sile 6 oficerów, 127 podoficerów i kanonierów oraz 94 koni i 4 dział<sup>38)</sup>, odjechała z Warszawy koleją do Rawy Ruskiej, skąd wraz z Grupą Bug generała podporucznika Jana Romera odeszła na odsiecz Lwowa, w którego obronie walczyła ofiarnie do 15 maja<sup>39)</sup>.

Początkowo z reguły na froncie we wsi Rudna przebywał jeden z jej plutonów, zaś drugi odpoczywał we Lwowie, stacjonując z Koszarach Jagiellońskich oraz w klasztorze sióstr Felicjanek. „Na tej pozycji bateria pozostawała do końca marca, ostrzeliwując na żądanie piechoty zbliżające się patrole nieprzyjacielskie, pociągi pancerne, kładąc ogień zaporowy i zwalczając karabiny maszynowe.

Dnia 29 marca bateria zmieniła pozycję, przechodząc do Sygniówki, która dobrze utrwaliła się w pamięci uczestników walk pod Lwowem trudnym bardzo terenem dla pozycji baterii i niemal stałym pojedynkiem z nieprzyjacielską artylerią.

Następną pozycją [...] był Domażyr. [...] Z tej pozycji udało się baterii rozbić nieprzyjacielskie dowództwo grupy, które mieściło się na zachodnim skraju wsi Jaśniska.”<sup>40)</sup>

Następnie po kolejnych zmianach stanowisk i dalszych akcjach bojowych, już w składzie Grupy generała podporucznika Władysława Jędrzejewskiego, Odrębna Bateria 8 Pułku Artylerii Polowej wzięła udział w zwycięskiej ofensywie Wojska Polskiego w Małopolsce Wschodniej, pozostając na froncie do 5 czerwca 1919 r., po czym po dotarciu do Tarnopola ze stacji Puków odjechała do Częstochowy<sup>41)</sup>. Po przybyciu 16 czerwca do nowego miejsca postoju bateria została przemianowana na 1 Baterię powstającego wtedy 5 Dywizjonu Artylerii Konnej i już 18 czerwca zajęła pod Nieradami pozycję na ówczesnym Froncie Przeciwniemieckim, gdzie pozostała do 9 lipca tego roku.

### Bateria Konna kapitana Golikowa, czyli późniejsza 2 Bateria 5 Dywizjonu Artylerii Konnej

W styczniu 1919 r., rozpoczęła się wojenna historia kolejnego oddziału tej broni, mianowicie Baterii Konnej

kapitana Golikowa, która powstała w ramach pochodzącego z szeregów byłego III Korpusu Polskiego w Rosji partyzanckiego Szwadronu rotmistrza Feliksa Jaworskiego, przemianowanego następnie na Dywizjon Jazdy Kresowej<sup>42)</sup>. W jego składzie w 1918 r. znalazła się także sześćdziesięcioosobowa grupa dowodzona przez artylerzystów z byłej armii rosyjskiej kapitana Jerzego Golikowa oraz jego brata Andrzeja, którzy do oddziału rotmistrza Jaworskiego przyprowadzili resztki byłej Warty Hetmańskiej hetmana Pawła Skoropadskiego<sup>43)</sup>, w której obok zdemoralizowanych Rosjan i Ukraińców znajdował się także „pluton polski”.

Braci Golikowów oraz ich ówczesny niewielki oddział tak zapamiętała Zofia Kossak-Szczucka:

*„Dowódca tego oddziału, kapitan Jerzy Golikow, starszy, i zastępca jego, Andrzej Golikow, młodszy, Rosjanie, ale urodzeni w Królestwie [Polskim – przyp. A.S.], władający doskonale polskim językiem, byli z zawodu artylerzystami. Przywiązanie do tego rodzaju broni otrzymali w dziedzictwie i spadku. Dziad ich był artylerzystą, ojciec również. Kochali działa, jak się kocha konie albo dzieła sztuki, i w tym zawodzie byli niezrównani. Jerzy Golikow głośnym był z tego, że nastawiał działa na każdą odległość gołym okiem, bez przyrządów, i nigdy prawie nie chybiał. Obaj byli urodziwi, wysokiego wzrostu, nieustraszonej odwagi i wielkiej prawości. Długoletnia wojna zbyt twardą skorupą opancerzyła ich serca [...], lecz dbali zawsze o postępowanie sprawiedliwe i z działalności swej nie ciągnęli nigdy żadnych osobistych korzyści. [...]*

*Zewnętrzna strona oddziału nie przedstawiała się bynajmniej świetnie. Tylko nazwa »Warty Hetmańskiej« brzmiała pompatycznie, nie odpowiadając treści, bo warta była podobniejszą do zwyczajnej bandy, nieumundurowanej i źle uzbrojonej. Zbieranina koni różnej wielkości i maści, resztki dawnych mundurów i zwykłe chłopskie płótniaki [...]; ludzie różnorodni: dawni żołnierze Rosjanie, Polacy z III Korpusu [Polskiego w Rosji – przyp. A.S.], z luźnych oddziałów partyzanckich, miejscowi Rusini [czyli Ukraińcy – przyp. A.S.]. Pluton polski (w którym komendę zachowaną polską) stanowił jedyne istotne oparcie dowódcy, częstą stałą i bojową, na której można było polegać. Reszta przedstawiała żywioł wysoce niepewny, tchórzliwy i pochopny do zdrady przy każdej okazji. Trzymali się oddziału tylko dlatego, że płacił i w danej chwili był największą siłą.<sup>44)</sup>*

Podczas zwycięskich walk, jakie Szwadron rotmistrza Jaworskiego toczył z Ukraińcami, 15 stycznia 1919 r. w okolicach Wojnicy zdobyto 2 rosyjskie 76,2 mm działa połowe wz. 1902 wraz z amunicją oraz z odpowiednim sprzętem i wyposażeniem. Armaty te doskonale nadawały się dla artylerii konnej.

Wskutek wspomnianej powyżej zdobyczy w postaci rosyjskiego sprzętu artyleryjskiego w połowie stycznia 1919 r. przy Szwadronie rotmistrza Jaworskiego, który dostarczył ludzi do obsługi armat oraz jezdnych do zaprzęgów, sformowano pluton artylerii konnej pod dowództwem kapitana Jerzego Golikowa. Już 19 stycznia po raz pierwszy, pomimo niedostatecznego wykształcenia obsługi dział, uczestniczył on w walkach z Ukraińcami, którzy niespodziewanie uderzyli na Włodzimierz Wołyński.

W końcu lutego 1919 r., po wykorzystaniu kolejnych zdobyczy, dotychczasowy pluton został rozwinięty w pełną czterodziałową baterię artylerii konnej. Stało się tak, gdyż 20 lutego podczas walk pod Torczynem, także wskutek skutecznego ostrzału przeciwnika przez armaty plutonu kapitana Golikowa, w ręce polskie, poza jeńcami i innymi trofeami, dostało się również 7 dział. Dwie sztuki pozostawiono na uzupełnienie baterii, a resztę oddano do dyspozycji dowództwa Frontu Wołyńskiego. Jednakże początkowo ludzi i koni starczyło jedynie na wystawienie dwudziałowego plutonu. W takim też składzie działała ona, wspierając swym ogniem oddział rotmistrza, a następnie majora, Jaworskiego oraz piechotę podczas wiosennych walk na Wołyniu, a następnie od maja do lipca w trakcie polskiej ofensywy w Małopolsce Wschodniej, w trakcie której podporządkowano ją Grupie majora Władysława Bończy-Uzdowskiego.

Powyższych braków nie udało się uzupełnić i pododdział aż do końca swej przynależności do Dywizjonu Jazdy Kresowej majora Jaworskiego, choć używał nazwy Bateria Konna kapitana Golikowa, w rzeczywistości, jak to już wspomniano, działał jedynie w sile dwudziałowego plutonu artylerii konnej.

W końcu kwietnia 1919 r. część ludzi i koni należących do baterii wykorzystano do uzupełnienia oddziału jazdy majora Jaworskiego, który w tym czasie przeorganizowywał się z dotychczasowego szwadronu w Dywizjon Jazdy Kresowej. W efekcie tego w baterii pozostało wtedy zaledwie 18 ludzi i 2 konie. Szybko jednak wobec spodziewanej ofensywy przeciw Ukraińcom uzupełniono częściowo jej stan liczebny tak, że w pole wyszła ona w składzie dwudziałowego plutonu w sile 23 podoficerów i kanonierów oraz 18 koni<sup>45)</sup>.

Jej związek z Dywizjonem Jazdy Kresowej majora Feliksa Jaworskiego uległ definitywnemu zerwaniu wskutek rozkazu Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego z 7 sierpnia 1919 r., na mocy którego przemianowano ją na 2 Baterię 5 Dywizjonu Artylerii Konnej.

### **Wołyńska Konna Bateria, czyli późniejsza 2 Bateria 3 Dywizjonu Artylerii Konnej**

W połowie marca 1919 r. za zgodą ówczesnego dowódcy sił polskich działających na Wołyniu generała podporucznika Edwarda Rydza-Śmigłego, porucznik Tadeusz Lechnicki zaczął formować w Lubomlu Wołyńską Konną Baterię. Początkowo powstawała ona bez zgody i wiedzy ówczesnego Inspektoratu Artylerii i dlatego też z jego strony nie mogła liczyć na żadną pomoc materiałową ani kadrową. W wyniku tej sytuacji całe jej wyposażenie oraz zaopatrzenie w broń i konie oparto na zasobach pozostawionych przez okupantów i na zdobyczy. Ponadto obficie korzystano z pomocy miejscowego ziemiaństwa, od którego otrzymano głównie konie. Okoliczności te powodowały, iż jej organizacja postępowiała dość powoli i z dużymi trudnościami.

Oddział powstał na bazie naboru ochotniczego. Brakowało jednakże podoficerów, z których tylko niewielu służyło kiedyś w artylerii. Ponadto porucznik Lechnicki był w nim jedynym oficerem.

Do początku kwietnia udało się utworzyć jeden pluton. Liczył on wtedy 60 podoficerów i kanonierów oraz 61 koni z 2 rosyjskimi 76,2 mm armatami połowymi

wz. 1902 i jaszczami. Działa te były jednak mocno zużyte<sup>46)</sup>. Poza tym zarówno jakość materiału końskiego, który nie nadawał się do służby w artylerii, jak i wyszkolenie ludzi pozostawiały wiele do życzenia. Niejednolite oraz zniszczone było również umundurowanie oraz indywidualne wyposażenie żołnierzy.

Pomimo to 15 kwietnia 1919 r. pluton odjechał z Lubomla na front i wziął udział w skierowanej przeciwko wojskom Ukraińskiej Armii Halickiej ofensywie wojsk polskich w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu, gdzie walczył w składzie Frontu Wołyńskiego dowodzonego wtenczas przez generała podporucznika Aleksandra Karnickiego. Jak podaje dziejopis 3 Dywizjonu Artylerii Konnej: „Dopiero po zawagonowaniu plutonu [...] porucznik Lechnicki wykorzystuje czas i nasyp kolejowy, by urządzić pierwsze strzelanie z karabinów, natomiast strzelanie z dział przeprowadza do celów żywych na froncie, powstrzymując natarcie nieprzyjaciela lub też torując drogę własnym nacierającym oddziałom.”<sup>47)</sup>

Wykorzystując zdobycz materiału artyleryjskiego w zajęтым przez Wojsko Polskie Łucku, gdzie przejęto 2 działa i trochę koni, 21 maja doformowano 2 Pluton. Od tego momentu Wołyńska Bateria Konna istniała w składzie pełnego czterodziałowego oddziału. Jednocześnie w trakcie wiosennej ofensywy przydzielono do niej porucznika Ireneusza Kobielskiego. W takim składzie organizacyjnym 2 czerwca bateria została przerzucona nad Styr do dyspozycji Grupy podpułkownika Gondackiego działającej w ramach Grupy generała podporucznika Gustawa Zygałłowicza ze składu Frontu Galicyjskiego.

Dnia 7 sierpnia 1919 r. Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego przemianowało ją na 2 Baterię 3 Dywizjonu Artylerii Konnej<sup>48)</sup>.

#### **5 Konna Bateria Odsiecz Lwowa, czyli później- sza 1 Bateria 4 Dywizjonu Artylerii Konnej**

Kończąc omawianie problematyki związanej z udziałem artylerii konnej Wojska Polskiego w walkach o Lwów oraz o Małopolskę Wschodnią, które toczyły się pomiędzy końcem 1918 r. a wczesną wiosną 1919 r. należy wspomnieć o jeszcze jednej formacji tego typu. Była nią 5 Konna Bateria Odsiecz Lwowa, która jednakże pomimo okoliczności swojego powstania oraz wbrew nazwie w rzeczywistości nie zdążyła jednak wziąć udziału w walkach z Ukraińską Armią Halicką.

Początki jej dziejów związane są z okresem polsko-ukraińskich walk pod Lwowem, gdzie walczące tam na przełomie 1918 i 1919 r. szwadrony jazdy odczuwały brak artylerii konnej. Wskutek tego 7 kwietnia 1919 r. rozkazem ministra spraw wojskowych 3 Szwadron Odsiecz Lwowa przeformowano na baterię artylerii. Jej dowódcą został rotmistrz Michał Belina-Prażmowski, który miał ją zorganizować z artylerzystów rozlokowanych w końcu kwietnia tego roku w Warszawie i w Radomiu. Pierwszymi oficerami baterii, poza jej dowódcą, byli także porucznik Jan Radwan, dowódca byłej baterii konnej II Korpusu Polskiego w Rosji i porucznik Michał Zawadzki oraz podporucznicy Zygmunt Krzymuski, Jan Sławiński, Edward Wrześniowski i Emil Korduba.

Działania te napotykały jednak na ogromne trudności materialne. Brakowało dosłownie wszystkiego, mianowicie uzbrojenia oraz umundurowania i oporządze-

nia, a także bielizny i odpowiedniego obuwia, ale głównie dział i koni. Tych ostatnich nie posiadano praktycznie wcale.

Początkowy okres formowania tej baterii tak po latach wspominał jeden ze służących wtenczas w jej szeregach oficerów:

„W [...] maju 1919 roku [...] zgłosiłem się do kapitana Michała Prażmowskiego dowódcy 5 Konnej Baterii Odsiecz Lwowa. Rotmistrz Prażmowski, bo tak kazał siebie tytułować, zgodził się na przyjęcie mnie i załatwił mój przydział do baterii. Bateria kwaterowała w koszarach Mostowskich w Warszawie [...]. W tym czasie w baterii byli oficerowie: porucznik Jan Radwan, były dowódca konnej baterii z II Korpusu [Polskiego w Rosji – przyp. A.S.], ppor. Emil Korduba<sup>49)</sup>, ppor. Edward Wrześniowski i ppor. Jan Sławiński. W baterii było kilku starszych doświadczonych podoficerów z rosyjskiej konnej artylerii, między innymi szef baterii wachmistrz [raczej ogniomistrz – przyp. A.S.], jak się wtedy nazywało, Rajkowski i plut. [Mateusz – przyp. A.S.] Szlufarski, który później przez długie lata był w 4 DAK [Dywizjonie Artylerii Konnej – przyp. A.S.]. Materiał ludzki był bardzo dobry, bo sami ochotnicy wybrani z oddziałów Odsiecz Lwowa. Cała bateria była ubrana jednolicie w ulanki z niemieckiego sukna z czarnymi wypustkami, takie same spodnie i długie buty. Od parady wkładali białe »etyszkiety«<sup>50)</sup>.

Bateria nie miała w tym czasie ani koni, ani dział, i o ile pamiętam, karabinów, a tylko szable z fabryki Borowskiego<sup>51)</sup>, które się nosiło na rapciach. Szkoliliśmy baterię w mustrze pieszej i władaniu szablami na podwórzu pobliskiej straży ogniowej<sup>52)</sup>.

Zasygnalizowane powyżej niedobory spowodowały, że proces tworzenia baterii, która 26 maja 1919 r. rozkazem generalnego inspektora artylerii została przemianowana na 1 Baterię powstającego właśnie 4 Dywizjonu Artylerii Konnej, trwał bardzo długo. Tego dnia odeszła ona z Warszawy, gdzie do tej pory stacjonowała<sup>53)</sup>, do Krakowa. Tam też w czerwcu tego roku dowództwo dywizjonu objął major Witold Poray-Kuczewski. W Krakowie oddział umieszczono na ulicy Lubicz w ówczesnym Bastionie Nr 5 tamtejszej twierdzy. Wydzielono też z niego załączki dla 2 Baterii oraz sztabu dywizjonu. Dopiero 7 września 1919 r. bateria otrzymała pierwszą partię koni. Kolejne przybyły 17 września. Przydzielono jej także działa, mianowicie włoskie 75 mm lekkie armaty polowe wz. 1906.

Na Front Wołyński 1 Bateria 4 Dywizjonu Artylerii Konnej odjechała natomiast dopiero 27 września 1919 r. Posiadała ona wtedy 4 pełne działony<sup>54)</sup>.

#### **Zakończenie**

Od końca czerwca 1919 r. w *Ordre de Bataille* Wojska Polskiego podległego Naczelnemu Dowództwu oraz w składzie sił podporządkowanych mu pod względem operacyjnym znalazły się pierwsze oddziały artylerii konnej w sile 2 dywizjonów i 3 oddzielnych baterii. Kolejne dwie z nich stanowiły zaś zaczątek następnych dywizjonów. W sumie oddziały te dysponowały 10 bateriami, które jednak znajdowały się w różnych stadiach organizacyjnych. Ponadto istniał także Pluton Artylerii Konnej przy 13 Pułku Ułanów. Nie należy zapominać, iż do wczesnej wiosny tego roku kilka z nich brało udział

w krwawych i uporczywych, ale zakończonych ostatecznym polskim sukcesem walkach o Lwów i Małopolskę Wschodnią.

#### Przypisy:

36) W. Plotnicki, *Zarys historii wojennej 5-go Dywizjonu Artylerii Konnej*, Warszawa 1929, s. 5.

37) A. Kownacki, *Czy było warto? Wspomnienia*. Opracował, wstępem i przypisami opatrzył oraz podał do druku R. Stopikowski, przedmowa Z. Zieliński, Lublin 2000, s. 121–122.

38) Zapewne były to niemieckie 77 mm armaty polowe wz. 1896/n.A. Andrzej Kownacki (dz. cyt., s. 127 wspominając o tych działach napisał: „[...] działa mieliśmy bardzo złe. Były to lekkie działa polowe niemieckie, wycofane już dawno przez nich z frontu, a pozostawione w Rembertowie. I właśnie takimi działami pomalowanymi zresztą pstrokato, strzelaliśmy. Były one rozklekotane i dawały bardzo duży rozrzut.”

39) S. Kraszewski, *Zarys historii wojennej 8-go Pułku Artylerii Polowej*, Warszawa 1929, s. 3–6; W. Plotnicki, dz. cyt., s. 6.

40) W. Plotnicki, dz. cyt., s. 6.

41) Szerzej patrz choćby: W. Hupert, *Zajęcie Małopolski Wschodniej i Wołynia w roku 1919*, Lwów–Warszawa 1928; M. Wrzosek, *Wojny o granice Polski Odrodzonej 1918–1921*, Warszawa 1992; A. Smoliński, *Ordre de Bataille jazdy i artylerii konnej Wojska Polskiego podczas polskiej ofensywy w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu (maj–czerwiec 1919 r.)*, „Czasy Nowożytnie”. Periodyk poświęcony dziejom polskim i powszechnym od XV do XX wieku, (Toruń) 1997, tom III.

42) Partyzanci ci dnia 12 X 1918 r. przedarli się z Ukrainy na teren zajęty przez Wojsko Polskie. Oddział rotmistrza Jaworskiego wziął następnie udział w walkach o Włodzimierz Wołyński. Na temat historii tej ciekawej formacji szerzej patrz choćby: W. Dzierżykraj-Stokalski, *Dzieje jednej partyzantki z lat 1917–1920*, Lwów 1927; A. Smoliński, *Jazda Rzeczypospolitej Polskiej w okresie od 12 X 1918 r. do 25 IV 1920 r. ...*

43) Właściwie Pawło Piotrowicz Skoropadskij pochodził ze staro rodu Kozaków zaporoskich. Był generałem armii carskiej, a następnie ukraińskim działaczem politycznym i wojskowym oraz od października 1917 r. atamanem Wolnego Kozactwa. Dnia 29 IV 1918 r. w wyniku przewrotu politycznego, przy cichym poparciu okupujących wówczas Ukrainę Niemców, został ogłoszony hetmanem Państwa Ukraińskiego. Próbował przywrócić porządek społeczny na ogarniętej ruchami społecznymi Ukrainie oraz w oparciu o ideę Kozaczyzny i współpracę z państwami centralnymi doprowadzić do odrodzenia ukraińskiej państwowości i armii.

44) Z. Kossak-Szczucka, *Pożoga. Wspomnienia z Wołynia 1917–1919*, Warszawa 1996, s.143–144.

45) D. Zawistowski, *Zarys historii wojennej 19-go Pułku Ułanów Wołyńskich im. płk. Karola Różyckiego*, Warszawa 1930, s. 9–12; W. Tomaszewski, *Zarys historii wojennej 13-go Dywizjonu Artylerii Konnej*, Warszawa 1931, s. 8.

46) Dopiero w toku polskiej ofensywy wiosennej 1919 r. wymieniono je na zdobyczne 76,2 mm armaty polowe wz. 1902, które były „nieco lepsze” od starych.

47) W. Górecki, dz. cyt., s. 5. Praktyki takie, co jest zupełnie zrozumiałe, budziły sprzeciw władz kolejowych oraz okolicznej ludności cywilnej.

48) Patrz także: tamże, s. 5–6, 12–14; Melchior Wańkowicz, *Strzępy epopei*, Warszawa 1936, s. 291.

49) „Por. Korduba był oficerem rosyjskiej służby, pochodził z Kresów, ze sfer oficjalistów wielkiej własności. Lubił też opowiadać o szerokim życiu ziemian na Ukrainie przed wojną. Lubiał pić i przechwalać się, a w stosunku do szeregowych pokazywać tzw. »twardą rękę«, co polegało na tym, aby kłać ich i przezywać ostatnimi słowami. Do żołnierzy mówił zawsze »ty« i oddawał im ukłon niedbale z papierosem w ustach. Przypadkowo się tak złożyło, że w baterii było nas czterech oficerów, trzech legionistów i jeden Korduba z rosyjskiego wojska. Toteż Korduba uważał jedynie siebie za pełnowartościowego oficera, bo co do wartości wojskowych legionistów miał wielkie zastrzeżenia. Natomiast w naszych oczach Korduba był uosobieniem tych wszystkich wad, które spowodowały tak straszną klęskę i rzeź wśród oficerów w czasie rewolucji rosyjskiej. Pozornie jednak stosunki między nami były zupełnie poprawne, do czego głównie przyczyniał się nadzwyczajny takt [dowódcy 1 Baterii kapitana Jana Dunin – przyp. A.S.] Wąsowicza” – patrz: T. Sariusz-Bielski, *Wyjątek ze wspomnień wojennych*, „Artylerzysta Konny.” Komunikat Związku Artylerzystów Konnych na Obczyźnie, (Londyn) 1959, Nr 41, s. 18. Wydaje się, że wśród oficerów artylerii konnej Wojska Polskiego pochodzących z dawnej armii rosyjskiej, a potem z Korpusów Polskich w Rosji postawy takie mogły zdarzać się częściej.

50) Czyli, że posiadała pewne elementy ówczesnej „barwy” artylerii konnej.

51) Mowa jest tutaj o ówczesnych polskich szablach kawaleryjskich wz. 1917.

52) M. Zawadzki, *Wspomnienia z mojej służby w 4 Dywizjonie Artylerii Konnej*, „Artylerzysta Konny.” Komunikat Związku Artylerzystów Konnych na Obczyźnie, (Londyn) 1957, Nr 37, s. 14.

53) Jej ówczesnymi koszarami był pałac, a nie wspomniane powyżej „koszary” Mostowskich.

54) Patrz także: W. Łubieński, *Zarys historii wojennej 4-go Dywizjonu Artylerii Konnej*, Warszawa 1929, s. 3–5; J. Wielhorski, *O. de B. dyonów artylerii konnej w okresie 1918–1920*, „Przegląd Kawalerii i Broni Pancerniej”, (Londyn) 1990, tom XVIII, Nr 136, s. 559.

## Zdzisław J. Zieliński

### Tramwaje lwowskie (III)

Dyrekcja Miejskich Zakładów Elektrycznych projektu arch. Tadeusza Wróbla – 1936 r. i W. Karasińskiego – ciekawa rzecz, bowiem zbudowano ją w nowoczesnym stylu panującego wówczas w Europie funkcjonalizmu, tępionego przez socrealizm, który za nim nie nadążał. Po kolejnym przejściu gmachu przez Zarząd Narodowy Służby Bezpieczeństwa Ukrainy dobudowano drugie tyle budynku w tym samym stylu. Interes się rozwija i powiększa!

W Katowicach mieliśmy okazję zapoznać się z doskonale zachowanymi i prosperującymi tramwajami. Rozległe tereny Zagłębia Górnośląskiego powiązane były racjonalnie przeprowadzonymi liniami. Po tym, co zostawiliśmy we Lwowie – to był prawdziwy szok. Tu

też po raz pierwszy zapoznaliśmy się z pantografami, jako że we Lwowie były kabłąki, a jechaliśmy do miasta, gdzie z kolei były rolki na maszcikach, co z kolei mogło przypominać początki lwowskiego tramwaju.

Jechaliśmy dalej, a ściślej biorąc więcej staliśmy niż jechali. Wydawało się to nam nieracjonalne i dokuczliwe, ale to inna profesja i myśmy byli tramwajarzami, a o tym decydowali kolejarze. A tymczasem przyszła prawdziwa zima, wraz ze swoimi konsekwencjami. Przemarzły nam wiezione w wagonie kartofle. Byliśmy ciepło ubrani, w wagonie mieliśmy piecyk, ale zima miała swoje prawa. Częściowo opiekował się nami Polski Urząd Repatriacyjny (PUR). Dostawialiśmy na niektórych stacjach czarną kawę i takież chleb. Zrodził się nawet dowcip, w myśl którego z PUR-u był chleb, a z chleba był pur... Do tego chleba była zawsze amerykańska, robiona dla ZSRR „swinaja tuszonka”. Mieliśmy kilka puszek kupionych „na drogę” za z trudem

uskładane oszczędności. Konserwy były duże, a ich zawartość wyborna – do dzisiaj czuję i wspominam ich smak. A może to po prostu efekt niedojadania w ciągu trzech okupacji, bowiem poza głodem absolutnym jest jeszcze głód białkowy, a my byliśmy jego ofiarami... Wodę pobieraliśmy zwykle ze stacyjnych pomp. Trudno było znaleźć czystą, wodociągową, ponieważ zwykle nie było wiadomo jak długo pociąg postoi. Raz ruszył nagle z postoju, a zanim faceci wybiegli z krzaków ze spodniami w rękę... Ci, którzy golili się brzytwą, chodzili zwykle nieogoleni, ponieważ większą część czasu spędziliśmy w jeździe.

Coraz więcej zniszczonych miast, coraz więcej lejów po granatach i bombach podeszłych zamarzającą wodą. Coraz więcej niemieckich śladów. Wreszcie dojazd do Wrocławia przez Odrę, po chwiejącym się drewnianym moście. Brochów i znowu 4 dni postoju... Wreszcie w wyłożoną słońcem niedzielę przyjazd na zniszczony dworzec wrocławski i krótki spacer wśród najbliższych ruin, aby zobaczyć co nas tu czeka, a wyniki tej przechadzki nie były optymistyczne. Kilku tramwajarzy wybrało się na przejażdżkę jedną z wrocławskich linii („2”) i oczywiście pomylili kierunek przy przesiadce na pl. Strzeleckim. Takie były przymiarki. Tramwaje wrocławskie były malowane na kolor jasno-kremowy, jak w całych Niemczech, okazało się to szczególnie praktyczne w czasie wojny (Verdunklung). Przechowały się jednak tradycje zielonej barwy – jak w Poznaniu. Nie było na nich kabłąków ani pantografów. Były drążki z kółkami z umocowanym na nich grubym sznurem splecionym z czerwonego jedwabiu sztucznego. Zwykle były wybrudzone i wyglądały jak czarne. Służyły do przestawienia drążka na drucie końcówki, gdzie nie było pętli, lub też ustawienia na przewodzie zasilającym, kiedy z niego spadł. A zdarzało się to nie tak rzadko. Wtedy motorowy lub motorowa wychodzili ze swej kabiny i zazwyczaj spotykali się z kilkoma chętnymi młodymi ludźmi, którzy chcieli to za nich zrobić. Taka frajda...

Pierwsze lwowskie tramwaje też miały drążek, po przez późniejsze kabłąki i katowickie pantografy. Lwowski tramwajarz wrócił do wrocławskich drążków, czyli koło się zamknęło...

Ze znalezionych w magazynach materiałów sztyto nowe mundury z zielonymi wypustkami. Do tego należała oczywiście rogatywka... Dosyć zabawnie wyglądał taki (zwykle) starszy pan w okularach, który sprzedawał bilety w tym właśnie mundurze, mówiąc po niemiecku. Niemieccy konduktorzy mieli jeszcze przymocowane do pasków torby przemysłne aparaciki złożone z kilku rurek dopasowanych średnicą do odpowiednich monet (niemieckich). Niewątpliwie mogłoby to ułatwiać pracę, gdyby używano bilonu, ale tuż po wojnie nawet 50-groszówki były papierowe i w praktyce niestosowane. Konduktorzy ci nie wdawali się w ogóle w dyskusję z młodzieżą, która chciała przejechać „jeden przystanek” bez biletu.

Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że w nowym transporcie prowadzono też nabór na wyjazd chętnych do Wałbrzycha (mówiono o nim wówczas „Wawrzek”), gdzie trzeba było także postawić tramwaj na nogi. Miasto to miało tę przewagę nad Wrocławiem, że było nie-  
tknięte przez wojnę, a więc mieszkania, komunikacja itd.

Leżało wśród gór, co wychodziło na plus, ale też było miastem górniczym, co raczej na minus. A przede wszystkim było dużo mniejsze od Wrocławia, co wówczas też miało swoje konsekwencje. Mój ojciec był za wyjazdem do Wałbrzycha ze względu na dobrego przełożonego, ale ja nie za bardzo. Nie skończyłem (a właściwie jeszcze nie zacząłem) gimnazjum, a już myślałem o studiach. W naszym wagonie idea ta się nie przyjęła. A tramwaje były jeszcze w Legnicy i Jeleniej Górze.

Kiedy po roku wybrałem się do Wałbrzycha (m.in. po to aby odwiedzić tam p. Sakrę) zostałem urzeczony jego podobieństwem do Lwowa; te tramwaje wspinające się na pagórki. Szczególnie nocą...

W maju przyjechał ze Lwowa drugi transport, a w jesieni czynnych było we Wrocławiu już... 10 linii, włączając w to te, przebiegające przez najbardziej zniszczone dzielnice: „7”, „4” i „3”. Konduktorzy i motorowi zmienili swój akcent z niemieckiego na... lwowski! Można go było słyszeć jeszcze przez kilka lat.

O anegdotach związanych z tramwajem (lwowskim) wspominam w swoim artykule z numeru 1 (24) „Semper Fidelis” – 1995. Tutaj dorzucę jeszcze jedną. Za odjeżdżającym tramwajem biegnie jakaś jejmość. Biodrzasta i piersiata. Wszystko na niej faluje. Na otwartym pomoście przyczepy stoi jakiś batiar i woła: „Ostrożni mamuńciu, bo si wychlupi!”. „To nadpий!” – odpowiada zagadnięta. Nie wszystkie jednak były tak wesole. Poniższa służyć może za przykład ryzykownej przygody, która się mogła skończyć dużo gorzej.

Czerwiec 1943 r. Niemcy likwidują getto lwowskie, a w nim trwa powstanie. Bo też było takie, mimo że mało znane, a trwało dwa tygodnie. Są to efekty określonej polityki i propagandy, które na Zachodzie pod hasłem Powstanie Warszawskie (1944) każe myśleć i pamiętać o powstaniu w Getcie (1943). Podobnie było i w tym wypadku.

Mówiło się o tym półgłosem – miało to już swoją historię i legendę. O tych „Żydkach” z kawałów i piosek, którzy teraz jako pierwsi odważyli się Niemcom plunąć w gębę – prawie jak my w 1939, trzeba to było koniecznie zobaczyć – zapamiętać.

Pojechaliśmy z kolegą (M.H.) tramwajem na Wysoki Zamek. U jego podnóża rozciąga się szerokie plateau, na którym i kamień pamiątkowy Sobieskiego i tzw. „Grota Samobójców”. Właściwie mieliśmy tam coś rysować, ale w całości przejęła nas inna sprawa. Z przerw w zadrzewieniu rozciągał się rozległy widok na leżący poniżej Zamarstynów i Zniesienie. W dali płonące getto. Sine dymy spychane były na wschód. Doskonale słychać było strzały i całe ich serie. Chyba jeszcze byliśmy za mali (14–15 lat), aby w pełni zdać sobie sprawę z tego czym to jest i co to może dać, ale byliśmy tym głęboko przejęci.

Wracając, przesiedliśmy się do „1”, do podzielonego wozu motorowego. W Rynku wsiadła jakaś niezrównoważona („zgieżdżana”) dziewczyna i zaczęła się wyśmiewać z siedzącego naprzeciw faceta. Przypominał profesora gimnazjalnego: złote okulary, starannie przystrzyżona bródka. Wzbudzał zaufanie i szacunek, ale widać nie dla niej. „Kozibroda, kozibródka!” – zaczęła wykrzykiwać zanosząc się śmiechem. Myśmy się także śmiali (w tym wieku...). Ale jej szybko przeszło, bo zo-

baczyła oficera włoskiego w drugiej. „Italiani, makaroni!” – zmienił się jej repertuar. Przy podobnej reakcji polskiej strony. Włoch udawał, że tego nie zauważa, choć trudno było, ale siedział obok niego niemiecki (oficer?), który zaczął mu gorliwie tłumaczyć, kogo tu obrażają i jak należy na to zareagować. Przypominało to jako żywo scenę z tramwaju z filmu „Zakazane piosenki”, gdzie folksdojczka tłumaczy SS-manom jak powinni zareagować na piosenkę śpiewaną przez chłopca. Tam się to dużo gorzej skończyło, ale i tu nie było miło.

Prawdopodobnie, aby się odczepić od Niemca nie czepiał się z kolei tej „zgiezganej”, ani dorosłych, tylko przyczepił się do nas. Kazał nam wyjść z tramwaju i iść za sobą. Żaden opór nie przydałby się na nic; w tramwaju byli i inni umundurowani Niemcy. Kiedy wysiedliśmy (Przed Poczta Główną) mogliśmy uciekać na dwie różne strony, ale nie poczuwaliśmy się do żadnej konkretnej winy, a poza tym byliśmy ciekawi, co ci „makaroniarze” mogą nam zrobić. Zaprowadził nas na ul. Kopernika, gdzie w dawnym pałacu Sapiehów mieściła się komenda i kwatera. Zamknął nas w obszernej sali. Nie traktowaliśmy tego zbyt poważnie, więc pozwoliłem sobie na żart, cytując fragment z „Piekle” Dantego: „Lasciate ogni speranza voi ch'entrate” („Porzućcie wszelką nadzieję, wy którzy tu wchodzić!”). Zdanie to nie było bynajmniej związane z moim poliglotyzmem, a raczej z lwowskim Kornelem Makuszyńskim i jedną z jego książek dla młodzieży (chyba „Złamany miecz”). Powiedziałem to oczywiście dla żartu, ale mój kolega wyraźnie zmarkotniał, a taki nastrój się udziela! Nigdy tam dotąd nie byliśmy więc z zaciekawieniem oglądaliśmy jej sztukaterie. Na ścianach rozwieszono barwne tablice, a na nich emblematy odpowiadające stopniom wojskowym. Były dość skomplikowane, ale ciekawe i estetyczne. Niepokoiło nas jednak, że nasz pobyt się tu przedłuża; zbliżał się wieczór, trzeba będzie w domu się wytłumaczyć. I to miało być pewnie przewidzianą karą. Wreszcie pojawił się „nasz” wojak i w ostrych słowach czynił nam liczne uwagi. Niestety w języku Dantego, który nie był nam najlepiej znany z języków obcych, a dotąd uważaliśmy go nawet za przyjemny. Mając to zapewne na uwadze wykonał dłonią parę oczywistych ruchów, które miały zapewne oznaczać, że zasłużyliśmy na ostrzejsze potraktowanie. To zrozumielibyśmy w każdym języku, a Niemcy na pewno by to zrealizowali. Wyprowadzono nas wreszcie i niby się skończyło, ale kiedy po miesiącu Mussolini upadł i został arestowany, historia się odwróciła i to na masową tragiczną skalę. Wszystkich nielojalnych Włochów, którzy chcieli wrócić do ojczyzny, Niemcy też zamienili w jeńców wojennych, a potem zlikwidowali. Ci „moi” z Kopernika (pałac Sapiehów i Bielskich) mieli stosunkowo niedaleko, choć pod górkę na Cytadeli, gdzie początkowo więziono jeńców radzieckich, a rozwalano ich i palono na polach pod Krzywczycami. Tam z kolei spalono już wcześniej zwłoki profesorów lwowskich. Tak to dziwnie dramatycznie splatają się lwowskie losy. Wiadomo np. że Polacy, Niemcy i Ukraińcy wywożeni do Kazachstanu przechodzili zgodnie dramat wywózki i pomagali sobie nawzajem jako chrześcijanie. Pogodzeni...

Tramwaj jest systemem nieodzownym w takim mieście jak Lwów. Łatwo można się było o tym przekonać,

kiedy go zabrakło np. w czasie działań wojennych i tuż po. Miasto przechodziło trzy fale takich działań i okresów, kiedy nad martwymi ulicami zwisały smętnie druty sieci górnej. Ciekawa rzecz, że remiza Gródecka miała to dziwne szczęście, że przed nią na Gródeckiej pozostawał za każdym razem potężny lej po bombie. Ostatnim razem, w maju 1944 r., obok ocalałej portierni leżał tam także skalp zerwany z głowy niemieckiego wartownika i jego hełm, spryskany wewnątrz bladą różową substancją przypominającą mózg...

W tramwaju rozgrywały się też sceny będące fragmentami wyciętymi z normalnego życia społecznego. Kłótnie (o które nietrudno było w ciężkich czasach trzech okupacji) i komedyjki, które przeszły do anegdot, jak np. ta sprawa z siatką (taką prawdziwą z oczkami), którą pewna młoda pani zaczepiła o guzik jakiegoś faceta, a że nie dało się tego wyplątać – trzeba było wyjść z tramwaju, co obu stronom nie było na rękę. Kłopot przerodził się w znajomość, a skończyło się ślubem. Ponoć autentyczne!

Nie zawsze jednak tak było. Oto mówi facet do drugiego siedzącego: Posuń się pan tak „planowo”...! Skończyło się to na Gestapo, bo trafił na tajniaka. Aluzja dotyczyła komunikatów niemieckich, które tak właśnie tłumaczyły stałe wycofywanie ich wojsk w latach 1943–44... Tego rodzaju żarty mogły dotyczyć tramwajów lwowskich, ale i krakowskich, i wrocławskich w czasie okupacji. Tutaj trudno dojść do źródła i grunt, że były to związane z tramwajem. Za wyjątkiem tego „z cycką na mózgu” (Semper Fidelis – 1/1995) – tutaj geneza jest oczywista i jednoznaczna.

Tramwaje lwowskie nie były ogrzewane, a przy srożej lwowskiej zimie na szybach osiadała wilgoć z oddechów i zamarzała grubą warstwą. Utrudniało to oczywiście orientację. Ludzie radzili sobie chuchając i wydrapując szron. Oto pochyla się jakiś lowelas nad miłą panią: „O jaką ładną ma pani dziurkę...!” „A bo ja sobie taką wychuchałam i wyskrobałam...!”

Na ławce siedzi grubawy księżuło. Naprzeciwko stoi miła panienska. Nagle motorowy ostro przyhamował – wszyscy stojący polecili do przodu. Dziewczyna straciła równowagę i oparła się na udach księdza. Tłumaczy się zmieszana i zapłonią: „Najmocniej księdza przepraszam, ale tak nagle stanął...!” „Ależ nie – klucz od plebanii” – odpowiada spłoszony ksiądz.

Z tłoku panującego w tramwaju korzysta w niedwuznaczny sposób jakiś cwaniak. Obmacuje bezczelnie przyciśniętą do niego kobietę. Kiedy dochodzi do biustu, ona wściekła obraca się i syczy: „Chcesz pan w pyski...?” „Tak, a drugą w mordę...!” – odpowiada lubieżnik.

Podobna sytuacja. W tłoku jakiś facet przyciska się do stojącej tuż obok kobiety. Ona odwraca się i mówi przez zęby: „Pan niedługo umrze”. Na jego zaskoczenie dodaje: „Czuję pański koniec!”

W Wilnie nie ma i nie było tramwajów. Poza jakąś eksperymentalną krótką linią, z której nic nie wyszło. Ale w kolekcji wileńskich kawałów jest miejsce i na taki środek lokomocji. „Panie Kazimierzu, pan taki światowy człowiek, co to nawet w Warszawie – powiedz mi pan co to takiego ten tramwaj”. „Jak by to pani Zosieńce wytłumaczyć... ot chałupa zaczepiona na druci, tej jedzi...!”

We lwowskich tramwajach żarty i mniej lub bardziej niewybredne kawały rodziły się na miejscu. Konduktorzy zapowiadali nazwy przystanków i ulic, co bardzo było użyteczne przy zamrożonych szynach, czy też w razie zaciemnienia. Plac Gołuchowskich to było w ich wydaniu przeważnie „Krakidały” (pobliski plac Krakowski...) lub „Paryż”... Kiedy zapowiadał Świętokrzyską znalazł się batiar w głębi tylnego pomostu, który go przedrzeźniał: „Świętacycka”, „Świętej cycki”. Studenci, a i starsi uczniowie pytani o bilet często odpowiadali: „miesiączka!” – co miało oznaczać bilet miesięczny. Brali przy tym odpowiedzialność za jego posiadanie. W przypadku braku trzeba się było liczyć z przykrymi konsekwencjami, szczególnie w obecności takiego kontrolera jak mój wujek, Medwid!

W czasie okupacji wychodziła we Lwowie gadzinówka pt. „Gazeta Lwowska”. Jej redaktorzy to albo kolaboracjoniści, albo patrioci, robiący pod przykrywką robotę konspiracyjną, albo „neutralni” piszący dla poprawy nastrojów i pokrzepienia ducha; także przez humor. Do tych ostatnich należał również Henryk Eugeniusz Greb, piszący zabawne i satyryczne wierszyki pod pseudonimem Jan Obuch. Czytelnicy uczyli się ich na pamięć, aby sobie nawzajem przekazywać. W dowcipnej formie trafiały one celnie w niedomogi życia okupacyjnego. Kazały wyrobić sobie do nich dystans – po prostu się pośmiać.

W jednej z fraszek rozmawia z matką kobiety, która ze wszystkimi się ściska. Oburzony mówi:

– ... gdzie jest ta grzesznica?  
Niechaj ja spojrzę w jej niegodne lica!  
Pan z córką napewnu się znaju  
Ona bilety sprzedaji w tramwaju...!

Te fragmenty cytuję z pamięci; mogą się w nich znaleźć błędy. Po wojnie kolaboranci mieli procesy (Kra-

ków) z wyrokami. Zaś Greb współpracował dalej z prasą polską. We Lwowie zaś wznowiono wydawanie „Gazety Lwowskiej”. Czyżby uważano słusznie, że okupacja trwa nadal...?

Do najbardziej anegdotycznych postaci w społeczności lwowskich tramwajarzy należał niewątpliwie Lezio. Był bardzo małego wzrostu, choć trudno go zaliczyć do liliputów, ponieważ nie miał ich charakterystycznych rysów twarzy. Był zwrotniczym, a zwykle go można było spotkać na Zamarstynowskiej przed „sztreką”, naprzeciw podstacji. W przejeżdżających tramwajach ludzie zawsze żywo reagowali na jego widok. Nosił duże sumiaste wąsy, z których stał się sławny.

Zimy we Lwowie były ostre, mroźne (klimat kontynentalny), co też skwapliwie wykorzystywał. Owijał wąsy szalikiem, stał pod parkanem i pochlipywał. Widząc to litościwe panie zatrzymywały się, wypytując troskliwie o przyczynę. Zmieniając głos wśród łkania mówił, że bardzo chce „pisuu” (siusiu), ale nie może rozpiąć rozporka, bo mu rączki zgrabiały. Troskliwie panie chętnie mu pomagały i dopiero wpadały w popłoch, kiedy wyjęły najważniejszy w tym wszystkim organ do siusiania. Bardzo aktywny i zasłużony, bowiem miał ponoć kilkoro dzieci...

Tramwaj z pasażerami to taki mały wycinek społeczeństwa, w którym panowały szczególne kontakty i stosunki międzyludzkie: bilety i ich brak, orientacja przestrzenna, ustępowanie miejsc itd. We lwowskich tramwajach np. nie było napisów przypominających o ustępowaniu miejsc potrzebującym. Jakoś się to odbywało w sposób naturalny i oczywisty. Dopiero wojna i kolejne okupacje wprowadziły zaburzenia w tych kulturalnych zwyczajach towarzyskich przedwojennego społeczeństwa.

Jerzy Duda

## Żołnierski los

### Podpułkownik Władysław Gawdyn

*Patriam amamus, non quia magna,  
sed quia nostra.  
(Ojczyznę kochamy nie dlatego, że wielka,  
ale że nasza)*

Święta narodowe, przywracające pamięć o ważnych dla Polaków historycznych wydarzeniach są miejscem spotkań mieszkańców z żyjącymi świadkami tychże wydarzeń, bezpośrednio w nich uczestniczących. Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych minionego wieku uroczystości rocznicowe dały prawo zabrania głosu uczestnikom walk zbrojnych II wojny światowej, walczącym na różnych frontach bitewnych, w różnych europejskich krajach. Do tego czasu musieli skryć swoją przeszłość, nawet przed najbliższymi, inna miara wartości wtedy obowiązywała.

A teraz, ubrani w paradne mundury, strojni w barwy swoich dawnych jednostek wojskowych, przypominają

o chlubnej historii bojowej naszego narodu, a także o sile i pięknie polskich żołnierzy, podejmujących walkę wszędzie tam, gdzie ważył się los naszej Ojczyzny, bez względu na okoliczności, dla tych bohaterów liczyła się tylko chwała i wielkość Polski.

W gronie żołnierzy, honorowych gości uroczystości swoją postawą i pięknym mundurem wyróżnia się podpułkownik Władysław Gawdyn. W Wojnie Obronnej 1939 roku walczył w szeregach 48. Pułku Strzelców Kresowych, wchodzącego w skład dowodzonej przez pułkownika Bronisława Prugara – Ketlinga XI Karpackiej Dywizji Piechoty. Miejscem stacjonowania innych tworzących dywizję jednostek – 49. Pułku Strzelców Huculskich, 53. Pułku Strzelców Kresowych, 11. Pułku Artylerii Lekkiej, kompanii łączności, dyonów artylerii przeciwlotniczej i przeciwpancernej – były: Stanisławów, Kołomyja i Stryj.<sup>1)</sup> Dywizja w czasie Wojny Obr-

nej 1939 roku podlegała Armii „Karpaty” dowodzonej przez gen. Dywizji Kazimierza Fabrycego.

Żołnierze XI Karpackiej Dywizji Piechoty wyróżniali się pięknym umundurowaniem, z charakterystycznymi pelerynami i przypiętym do rogatywki piórkiem cietrzewia (Strzelcy Podhalańscy mieli piórka orle). Na ramieniu naszyta była „korpusówka”, przedstawiająca krzyż huculski z gałązkami dębu i limby.



Władysław Gawdyn urodził się 12 lutego 1922 roku w Stanisławowie, w rodzinie Stanisława i Józefy z domu Harasimowicz. Ojciec był zawodowym żołnierzem, sierżantem Wojska Polskiego, w walkach I wojny światowej bił się na Bałkanach, trafił do niewoli rosyjskiej. W Kijowie w 1918 roku złożył przysięgę legionową. Za udział w wojnie polsko-sowieckiej 1920 roku odznaczony Krzyżem Walecznych. Była to rodzina o wielopokoleniowej tradycji patriotycznej.

Po ukończeniu Szkoły Podstawowej nr 7 im. Grzegorza Piramowicza w Stanisławowie, dalszą naukę kontynuował w Państwowym Gimnazjum im. Jana Kazimierza, w rodzinnej miejscowości. W czerwcu 1939 roku uzyskał w tej szkole małą maturę. Dzięki wsparciu ojca, marzącego o kontynuowaniu rodzinnej tradycji wojskowej, wstąpił w szeregi Wojska Polskiego, w sierpniu 1939 roku, po złożeniu przysięgi wojskowej został żołnierzem sztabowego plutonu łączności w 48. pułku Strzelców Kresowych. Wcześniej przeszedł szkolenie w zakresie obsługi nowoczesnych central łączności telefonicznej – aparatów AB i CB. W uznaniu świetnych wyników egzaminu końcowego uzyskał skierowanie do Młodzieżowej Szkoły Oficerów Łączności, wybuch II wojny światowej przekreślił wszelkie plany.

2 września 1939 roku transportem kolejowym XI Kresowa Dywizja Piechoty została przerzucona w rejon Bochni, po rozładowaniu natychmiast przystą-

piono do formowania linii obronnej wokół tego miasta. Jednak wkrótce zgodnie z rozkazami Naczelnego Dowództwa nastąpił odwrót na Wschód, w ogólnym kierunku w stronę Lwowa, cały czas w styku z napierającą niemiecką VII Dywizją Piechoty. W dniu 13 września XI Dywizja siłami 48- i 54- pułków piechoty stoczyła zwycięski bój pod Krzywczą, zadała ogromne straty Dywizji Zmechanizowanej Waffen SS „Germania”, a w dalszym marszu, pod Łętownią rozbiła kolejną niemiecką przegrodę.<sup>2)</sup> Skierowana następnie na pierwszą linię frontową, do powstrzymania niemieckiego naporu zajęła pozycje obronne wzdłuż szosy janowskiej, odrzucając kolejne trzy natarcia. Na polecenie gen. Dywizji Kazimierza Sosnkowskiego przebiła się do Lasów Janowskich, na północ od Lwowa. Poprzez Leluchówkę 19 września dotarła do Brzechowic. Próba przebicia się do Lwowa nie powiodła się. Z pierwotnego stanu osobowego Dywizji zostało się mniej, niż 50% żołnierzy.

W dniu 21 września nastąpiła kapitulacja. Żołnierzom dano wolną rękę, część ruszyła w stronę granicy, by przedostać się na Zachód, z kolei, część ruszyła w stronę domów rodzinnych. Tę drugą drogę wybrał Władysław, wraz z kolegą rozpoczęli wielodniowy marsz do Stanisławowa, szli nocami, bo nacjonaliści ukraińscy rozpoczęli swoiste polowanie na bezbronnym, polskich żołnierzy. Dopiero w Chodorowie, w połowie drogi udało się zdobyć cywilne ubrania.

W Stanisławowie panowały już sowieckie porządki. Wykorzystując swoje przygotowanie zawodowe zgłosił się do pracy na poczcie.

Po wkroczeniu do miasta w 1941 roku Niemców, aby uniknąć wywózki na przymusowe roboty do Niemiec zgłasza się do grupy roboczej Baudienst, wykonującej roboty kolejowe. Wraz z nim pracuje Jerzy Kawalerowicz, w przyszłości wybitny reżyser filmowy. W 1943 roku zostaje zaprzysiężony w miejscowym oddziale Armii Krajowej, obiera pseudonim „Mohort”, następnie „Junak”. Zostaje kurierem Komendy Okręgu AK w Stanisławowie, utrzymuje łączność z Obwodami i Rejonami AK w Buczaczu, Czortkowie i w Kolendziarach. Pod koniec 1943 roku powierzono mu tajną misję zdobycia informacji o mordach dokonywanych przez bandy ukraińskie na Polakach, w województwie tarnopolskim. Wraz z współpracującym z Obwodem AK w Stanisławowie Ukraińcem Bohdanem Morozem dociera do Starego Wierzbowa, w północnej części województwa, przed trzema dniami dokonano tu okrutnego dzieła zniszczenia, wymordowani zostali wszyscy Polacy, domy i budynki gospodarcze spalono i zrównano z ziemią, nie oszczędzono nawet drzew w sadach. Wyślanicy dowiedzieli się, że mord jest dziełem bojówki Ukraińskiej Narodowo-Rewolucyjnej Armii (w niedalekiej przyszłości Ukraińskiej Powstańczej Armii) dowodzonej przez Tarasa Borowca „Bulbę”.<sup>3)</sup> Obraz niewyobraźnego okrucieństwa ukraińskich bandytów pozostał w pamięci Władysława do dziś.

W lipcu 1944 roku do Stanisławowa ponownie wkrocza sowiecka armia, historia zatacza koło, aby uniknąć poboru do Armii Czerwonej, przedziera się do Lublina. Na podstawie Książeczki Wojskowej z 1939 roku i po złożeniu stosownego egzaminu, w stopniu kaprała zostaje wcielony do Batalionu Ochrony Sztabu II Armii Ludowego Wojska Polskiego. W październiku tegoż

roku po ukończeniu Szkoły Oficerskiej, już jako podporucznik otrzymuje przydział do 27. Pułku Piechoty w X Dywizji Piechoty II Armii LWP.

Szlak wojenny rozpoczyna 27 marca 1945 roku w Lubaniu, uczestniczy w forsowaniu Nysy Łużyckiej, następnie Białej i Czarnej Szprewy. W trakcie walk, w Boxbergu odnosi ranę w głowę (do dziś ma jej ślady). Po opuszczeniu szpitala, z dowodzonym przez siebie batalionem toczy zwycięski walki w Bischosferde i Hilschferde. W kwietniu X Dywizja zostaje wycofana z głównego kierunku natarcia na Berlin i skierowana na południe by wziąć udział w operacji zdobycia Pragi i w pościgu za uciekającymi na Zachód oddziałami niemieckimi, wśród nich z kolaborującymi z Niemcami sowieckimi żołnierzami dowodzonymi przez Andrieja Własowa.<sup>4)</sup>



Zakończenie wojny zastaje Władysława w Melniku nad Łabą. II Armia LWP zostaje rozformowana. X Dywizja otrzymuje zadanie ochrony południowej granicy kraju. Na miejsce stacjonowania 27. Pułku Piechoty wyznaczono Szklarską Porębę, następnie, kolejno: Lewin Kłodzki i Duszniki. Obok zadania ochrony granic Władysławowi Gawdynowi powierzono obowiązki pełnomocnika dla spraw zabezpieczenia mienia polniemieckiego. Niezwykle trudne zadanie, w powojennym chaosie, żołnierze sowieccy traktowali te ziemie jako zdobycz wojenną, mnożyły się z ich strony grabieże, napady, gwałty. Protesty ze strony pełnomocnika nie znajdowały posłuchu w miejscowych komendach Armii Czerwonej. W Szczytnie, w trakcie obrony polskich mieszkańców i ich dobytku, dochodzi do wymiany ognia, ginie jeden z żołdaków sowieckich. Władysław Gawdyn zostaje aresztowany. Praktycznie bez śledztwa Dywizyjny Sąd Wojenny w Kłodzku, pod przewodnictwem oficera sowieckiego wydaje wyrok: kara śmierci. Osadzony w kłodzkiej twierdzy, przez dwa tygodnie czeka na wykonanie wyroku, jednakże w wyniku starań polskiego dowództwa wyrok zostaje zamieniony, na dziesięcioletnie więzienie. Z twierdzy trafia do kłodzkiego więzienia, tam pomaga w zorganizowaniu ucieczki kilkudziesięcioosobowej grupy żołnierzy Stowarzyszenia Wolność i Niezawisłość (WiN), grupie udało się przez Czechosłowację przebić do Austrii. Podejrzany o sprawcze pomocnictwo w ucieczce, zostaje przerwany do więzienia w Strzelcach Opolskich, po pewnym czasie do Raciborza. Stamtąd, w wyniku powszechnej amnestii, w 1950 roku wychodzi na wolność.

Przyjeżdża do Opolą, tu po ekspatriacji z Stanisławowa osiedlili się jego rodzice. Ma ogromne trudności ze znalezieniem jakiegokolwiek pracy, przed więziami politycznymi zamykają się wszystkie drzwi. Dopiero w 1951 roku, dyrektor Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego w Opolu – przed wojną jeden z budowniczych Gdyni – Antoni Kolejewski, nie tylko zatrudnia Władysława, ale otacza go serdeczną opieką. Pomaga w ukończeniu Technikum Mechanicznego w Gliwicach, bo w Opolu odmówiono zapisu do szkoły.

Po zdobyciu dyplomu, nadal systematycznie doskonalili swoje zawodowe kwalifikacje, kończy m. in.: Studium Budowy Mostów, kurs kierowników zaplecza technicznego, zdobywa uprawnienia wykonawcze, niezbędne do sprawowania nadzoru technicznego w przedsiębiorstwach budowlanych. Pod kierunkiem dyrektora Antoniego Kolejewskiego, na kierowniczych stanowiskach przepracował 20 lat.

W 1970 roku został kierownikiem Bazy Transportowo-Sprzętowej w Zjednoczeniu Budownictwa Rolniczego w Opolu. W latach 1972–1974 był zastępcą kierownika gospodarki samochodowej w Opolskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłu Lekkiego w Opolu. W 1974 roku od podstaw stworzył Bazę Mechaniczną w Przedsiębiorstwie Konserwacji Urządzeń Wodnych i Melioracyjnych w Opolu, kierował Bazą do przejścia na emeryturę w 1980 roku. Wielokrotnie nagradzany za wybitne osiągnięcia w pracy zawodowej, w szczególności za wdrożenie w życie wielu pomysłów racjonalizatorskich, przynoszących znaczne oszczędności w kierowanych przez niego przedsiębiorstwach.

Umiejętnie łączył pracę zawodową z aktywną działalnością społeczną. Przez wiele lat był kierownikiem Sekcji Pływackiej OKS „Odra” Opole, zdobył uprawnienia sędziego sportu pływackiego. Wspólnie z innym zasłużonym działaczem i organizatorem sportowym Ernestem Żołędziwskim doprowadził do budowy sztucznego lodowiska w Opolu.<sup>5)</sup> Dokumentację niezbędną do wykonania projektu technicznego obiektu, pozyskaną od przyjaciół z Opawy, wspólnie przemycili przez granicę. Była to wielce ryzykowna operacja.

Bezpośrednio po przejściu na emeryturę dynamicznie włączył się w działalność organizacji kombatanckich. W 1978 roku Garnizonowa Komisja Lekarska w Opolu uznała inwalidztwo wojenne Władysław Gawdyna, wszedł w skład Zarządu Opolskiego Oddziału Związku Inwalidów Wojennych w Opolu, od 1980 roku, do chwili obecnej jest prezesem Oddziału, jednocześnie członkiem Zarządu Głównego ZIW w Warszawie. Aktywnie współpracuje z innymi organizacjami zrzeszającymi dawnych żołnierzy Armii Krajowej i Wojska Polskiego. Jest częstym gościem uczniów opolskich szkół, starannie zawsze przygotowany jest znakomitym nauczycielem najnowszej historii Polski, historii, którą sam współtworzył. Jest autorem wspomnień „Orle Pokucie”, na razie pozostających w rękopisie.

Za wybitne osiągnięcia w pracy zawodowej i w działalności społecznej otrzymał liczne odznaczenia i wyróżnienia, wśród nich m. in.: Krzyż Komandorski OOP, Krzyż Kawalerski OOP, Krzyż Walecznych, Czeski Krzyż Walecznych, Krzyż Pamięci Września 1939 (Londyn), Krzyż II Obrony Lwowa, Krzyż „Semper Fidelis”, posiada również odznaki Zasłużonego dla Opolszczy-

zny i Zasłużonego dla Miasta Opola, a także szereg odznak branżowych, regionalnych i sportowych.

Wychowany w kresowej rodzinie o wielkich, patriotycznych tradycjach, z pokolenia „Kolumbów”, których młodość, najpiękniejsze lata życia przypadły na czas okrutnej II wojny światowej i ponure lata powojenne, wcześniej musiał podejmować decyzje trudne, kiedy jeden nie do końca przemyślany krok, jedno nieprzemyślane słowo mogły przynieść nieobliczalne następstwa. Przez całe swoje życie miał w pamięci obraz i atmosferę ciepłego, serdecznego domu rodzinnego, w którym słowa Ojczyzna i Polska traktowane były jako wartości święte. Swoim życiem, swoją postawą dowiódł, że war-

tościom tym pozostawał wierny zawsze, bez względu na towarzyszące okoliczności.

#### Przypisy:

- 1) Marian Porwitt: *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku*. Warszawa 1983 „Czytelnik”. Tom I. Str.231.
- 2) Marian Porwitt: *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku*. Warszawa 1983 „Czytelnik”. Tom III. Str. 25.
- 3) Grzegorz Motyka: *Tak było w Bieszczadach*. Warszawa 1989 OW „Volumen”. Str. 146.
- 4) *Encyklopedia II wojny światowej*. Warszawa 1975 Wydawnictwo MON. Str. 41.
- 5) Juliusz Stecki: *Opolski przewodnik sportowy*. Opole 1977 Wojewódzka Federacja Sportu. Str. 61.

## Jarosław Tadeusz Leszczyński

### W dolinie rzeki Hnizdeczny

Miodobory to nie tylko pas stepowych wzniesień ciągnących się przez Wyżynę Podolską od Zbaraża poprzez Zbrucz aż po Kamieniec Podolski. To także przełom niewielkiej rzeczki Hnizdeczny. Leży on pomiędzy wsiami Oprylowce i Dubowce. Jest jednym z najbar-

zachodu pocięte wąwozami stoki uroczysk Pożarnia i Pod Skalą. W centrum uroczyska Pod Skalą znajduje się największe, bezimienne wzniesienie całych Miodoborów, liczące sobie 440 m n.p.m. Ma ono szczyt w kształcie regularnego stożka.

Na północny wschód od najwyższej kulminacji leży Zębowa Góra (430 m n.p.m.) a jeszcze dalej Krajny Kamień (431 m n.p.m.).

\* \* \*

U północno-wschodniego podnóża Krajnego Kamienia, przy drodze ze Zbaraża do Załoziec leży wieś Berezowica Mała. W 1880 r. wieś liczyła 831 mieszkańców, w tym 520 wyznania rzymskokatolickiego (potencjalnych Polaków), 248 greckokatolickiego (Rusinów-Ukraińców) oraz 63 Żydów. Rzymokatolicy należeli do parafii w Oprylowcach, zaś grekokatolicy do parafii lwanczany.

Własność dworska obejmowała 582 morgi ziemi ornej, 180 mórg łąk i ogrodów, 12 mórg pastwisk i 165 mórg lasu.

Gospodarstwa chłopskie łącznie zajmowały 978 mórg gruntów ornych, 130 mórg łąk i ogrodów oraz 11 mórg pastwisk.

W początkach XX stulecia właścicielem folwarku w Berezowicy Małej był Mieczysław Konopacki.

Przed II wojną światową Polacy stanowili 2/3 jej mieszkańców. Znajdował się w niej pomnik pomnik Tadeusza Kościuszki, postawiony w 1910 r. ze składek chłopskich.

W okresie okupacji hitlerowskiej po doniesieniach o rzezi wołyńskiej w 1943 r. popełnianej przez nacjonalistów ukraińskich spod znaku OUN-UPA na ludności polskiej, we wsi zawiązała się samoobrona. Działalność samoobrony polegała na wystawianiu nocnych wart od strony Wołynia i alarmowaniu ludności w przypadku zagrożenia.

W lutym 1944 r. mieszkańcy Berezowicy Małej byli wykorzystywani przez Niemców do budowy umocnień przeciwko nadciągającej Armii Czerwonej. Z powodu zmęczenia tymi pracami członkowie samoobrony nie mieli siły pełnić jeszcze wart, tym bardziej, że liczono



Dubowce – figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem

dzień malowniczych zakątków Miodoborów. Rzeczka wyłobila tu krętą, szeroką na 100–300 m dolinę, wijącą się pomiędzy stromymi i zalesionymi stokami wzgórz. Wzgórza te wznoszą się około 100 m ponad dno doliny. Od wschodu do doliny przylegają stożkowate wzgórza o nazwach Skala (409 m n.p.m.) i Wronia Góra, zaś od

na odstraszenie ukraińskich napastników przez obecne w okolicy wojska niemieckie.

Pogrom mieszkańców Berezowicy Małej nastąpił w nocy z 22 na 23 lutego 1944 r. Od strony Wołynia furmankami i saniami nadciągnął oddział UPA, który poprzedniego dnia dokonał masakry na Polakach w wołyńskim Wiśniowcu. Akcja nacjonalistów ukraińskich rozpoczęła się od wymordowania mieszkańców przysiółka położonego kilometr od wsi. Banderowcy podchodzili w ciszy, wykorzystując w ten sposób element



*Berezowica Mała – zbiorowa mogiła pomordowanych przez OUN-UPA na cmentarzu grzebalnym*

zaskoczenia. Zabijano bez użycia broni palnej, aby nie usłyszeli tego mieszkańcy dalej położonych zabudowań i tym samym nie uciekli. Mordowali w iście hajdacki sposób, nawiązując do niechlubnej tradycji Kozaków Zaporoskich, pozbawiając życia przy pomocy siekier, noży i innych ostrych narzędzi. I tak Piotra Szewczuka porąbano siekierami na 3 części. Z kolei wdowę Katarzynę Tomków wraz z siedmiorgiem dzieci zakłuto bagnetami. Prawie cała rodzina Kurylczaków pożegnała się z tym światem. Z jej grona ocalał tylko Władysław Kurylczuk. Uciekł on oprawcom i biegnąc przez wieś alarmował ludność, dzięki czemu uniknęła śmierci większość Polaków zamieszkujących Berezowicę Małą.

Po wymordowaniu mieszkańców przysiółka banderowcy zajęli centrum wsi. Nie bronione domostwa w Berezowicy były przez nich zdobywane, a ich mieszkańcy zabijani przy użyciu siekier, bagnatów i broni palnej. Większość napadniętych Polaków uciekała. Chowali się u ukraińskich sąsiadów, w kamiennych schronach i murowanych oborach. Członkowie UPA złapane większe grupy ludzi rozstrzelali, a obory

podpalali. Do ocalonych osób należał Hryńko Pańczyzyn. ukraińcy zamordowali mu żonę i córeczkę. Jemu samemu darowali życie gdy odmówił pacierz w języku ukraińskim.



*Berezowica Mała – grób na cmentarzu grzebalnym*

Większa grupa Polaków ocalała w murowanej oborze Jana Krąpca, ojca późniejszego dominikanina, filozofa i wieloletniego rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, o. prof. Mieczysława Alberta Krąpca. Obora ta leżała blisko ukraińskich sąsiadów. Sąsiad oszukał zbrodniarzy z UPA, mówiąc że obora Krąpca była już przeszukiwana.

Napastnicy dokonali nie tylko eksterminacji Polaków, ale także rabowali ich mienie ruchome, które załadowali na furmanki i sanie. Ograbione domostwa palono, jeśli tylko nie były położone w sąsiedztwie zagród ukraińskich. Następnie oddział wyjechał w stronę Wołynia. Owey pamiętnej nocy zamordowano w Berezowicy Małej 131 Polaków.

Rano, 23 lutego pozbierano zwłoki pomordowanych, owinięto je w prześcieradła, włożono do paczek i pochowano na miejscowym cmentarzu. pozostali przy życiu polscy mieszkańcy wsi musieli zdążyć z pochówkiem za dnia. Nie chcieli bowiem nocować we wsi ze względu na ciągle grożące niebezpieczeństwo.

Większość ocalonych Polaków schroniła się w niedalekim Tarnopolu, reszta udała się do pobliskiej wsi Iłhowszcze, gdzie niestety padła ofiarą wigilijnego mordu UPA w dniu 24 grudnia 1944 r.

Formalne upamiętnienie ofiar modu berezowickiego nastąpiło już w niepodległej Ukrainie. W 1944 roku odsłonięto na ich cześć pomnik na cmentarzu parafialnym w Sońnicy.

W 2007 r. w samej Berezowicy Małej został odsłonięty na miejscowym, opuszczonym cmentarzu krzyż i dwie tablice z listą ofiar. Napis na krzyżu brzmi: "Pamięci spoczywających tu około 130 Polaków mieszkańców wsi Berezowica Mała zamordowanych nocą z 22 na 23 lutego 1944 r., niech spoczywają w pokoju Rząd Rzeczypospolitej Polskiej, Rodziny, 2007". Oprócz wyżej opisanej zbiorowej mogiły na cmentarzu berezowickim zachowało się kilka nagrobków w formie kamiennych figur. Cmentarz jest obecnie opuszczony (nie używany do pochówków) i zaniedbany.

#### Literatura:

1. *Baza właścicieli i dóbr ziemskich* – strona internetowa
2. *Berezowica Mała* – wikipedia – strona internetowa
3. B. R.: *Berezowica Mała*. W.: *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*. T. 1. Warszawa 1880, s. 143.
4. *Pomnik Tadeusza Kościuszki w Berezowicy Małej* – wikipedia – strona internetowa
5. Rąkowski G.: *Podole*. Pruszków 2006.
6. *Zbrodnia w Berezowicy Małej* – wikipedia – strona internetowa.

## UROCZYŚCISCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW

Jarosław Tadeusz Leszczyński

### VIII Pielgrzymka TMLiKPW z Kielc do Stopnicy

W sobotę, 26 kwietnia 2014 roku miała miejsce doroczna pielgrzymka Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z Kielc do Stopnicy, położonej przy drodze Kielce-Tarnów, pomiędzy Buskiem Zdrojem a Pacanowem. Tamtejszy kościół farny pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła, ufundowany w latach 1349–1362 przez króla Kazimierza Wielkiego jest lokalnym sanktuarium kresowym w centralnej Polsce. W przybudowanej do ściany południowej nawy późnorennesansowej Kaplicy Hinkowskiej z 1645 roku znajduje się obraz Matki Boskiej Stopnickiej, Patronki Pojednania i Zjednoczenia Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy.

Doroczna pielgrzymka Towarzystwa Miłośników Lwowa z Kielc odbywa się zawsze w ostatnią sobotę kwietnia, a związana jest z potrójną uroczystością przypadającą dokładnie 26 kwietnia. Dla środowisk kresowych jest to przede wszystkim rocznica (dokładnie dwudziesta ósma) awarii elektrowni atomowej w Czarnobylu, położonym również na Kresach i do 1793 roku wchodzącego w skład Rzeczypospolitej. Jest to również liturgiczne wspomnienie Matki Boskiej Dobrej Rady, a do tego typu wizerunków należy obraz Matki Boskiej Stopnickiej. Wreszcie dla samych stopniczan jest to rocznica nadania Stopnicy praw miejskich przez króla Kazimierza Wielkiego (26 kwietnia 1362 r.), za panowania którego została połączona z Polską Ruś Halicka.

Uroczystość rozpoczęła się o godz. 16.50 wygłoszeniem prelekcji o Czarnobylu i awarii w tamtejszej elektrowni jądrowej, a następnie odmówieniem Nowenny do Matki Boskiej Stopnickiej. O godz. 17.00 rozpoczęła się Msza św. w intencji ofiar Czarnobyla. Celebrował ją ks. kanonik Janusz Rydzek, dziekan i proboszcz stopnicki.

Po Mszy św. uczestnicy pielgrzymki przeszli procesjonalnie ulicami Kazimierza Wielkiego, Doktora Wacława Piotrowskiego, Targową i Cmentarną na Kalwarię Stopnicką. Podczas procesji ks. Janusz Rydzek odma-

wiał *Koronkę do Bożego Miłosierdzia*. Na Kalwarii Stopnickiej odbyła się Droga Krzyżowa, której uczestnicy obeszli 14 stacji. Na zakończenie ksiądz udzielił błogosławieństwa z odpustem zupełnym oraz odmówiona została *Nowenna do Matki Boskiej Stopnickiej*. Krzyż przyniesiony przez pielgrzymów i używany podczas procesji z fary na Kalwarię oraz na Drodze Krzyżowej został wkopany w ziemię obok kaplicy kalwaryjskiej aptekarzy Żelazowskich z 1870 r.

Zwyczaj przynoszenia krzyży przez pielgrzymów i pozostawiania ich na Kalwarii Stopnickiej datuje się od 2007 r. Wzorowany jest na podobnym zwyczaju istniejącym w niektórych sanktuariach Kresów Północno-Wschodnich, że wspomnę Górę Krzyżową koło Szawli na Żmudzi, Krzyże Boruńskie na Suwalszczyźnie, a także Grabarkę i Świętą Wodę na Podlasiu.

Kalwaria Stopnicka założona została w 2006 r. z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Stopnicy, którego członków zainspirowała w tym kierunku Kalwaria w Piekarach Śląskich. Kalwaria zlokalizowana została na dawnym cmentarzu grzebalnym założonym w 1786 r. z inicjatywy ks. Józefa Olechowskiego, proboszcza stopnickiego i biskupa sufragana krakowskiego. Był to jeden z najstarszych cmentarzy w Polsce powstałych poza obrębem kościoła. Dla przypomnienia powiem, że Cmentarz Łyczakowski we Lwowie został założony w dwa lata później od stopnickiego, bo w 1788 roku.

Wracając do Kielc pielgrzymi nawiedzili jeszcze drugą świątynię stopnicką, którą jest kościół i klasztor księży sercanów (do 1979 r. franciszkanów-reformatorów) ze znajdującym się w nim czczonym obrazem św. Antoniego Padewskiego. □

Jerzy Duda

## Opolski Stół Odysusa

Bohater „Odyssei” Homera, bohaterski wódz Greków spod Troi Odyszeusz, wsławiony wielką wędrówką z bitewnego pola do rodzinnej Itaki stał się patronem wielkiego międzynarodowego projektu kulturalnego „Spotkanie Odysseja”, w którym uczestniczyło 14 instytucji kulturalnych i naukowych z jedenastu krajów. U podłoża projektu legła idea połączenia wątków „Odyssei” z tematami ważnymi i aktualnymi dla współczesnej Europy, przy wykorzystaniu indywidualnych doświadczeń i przeżyć świadków wydarzeń, które miały miejsce w latach II wojny światowej i po jej zakończeniu. Szczegółne miejsce zarezerwowano dla dawnych mieszkańców Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej.

Jedynym polskim uczestnikiem projektu – którego liderem jest „Virus Theatre” z Finlandii – został kierowany przez Krystiana Kobyłkę Opolski Teatr Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki. Przewodnią myślą opolskich wydarzeń – w których uczestniczyły m.in. Uniwersytet Opolski, Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Miejska i Wojewódzka Biblioteka Publiczna, Muzeum Śląska Opolskiego i Muzeum Wsi Opolskiej – było poszukiwanie nowych możliwości spotkania i dialogu międzypokoleniowego. Zgodnie z założeniami realizatorów projektu za istotną wartość uznano: „...wielorako pojmowaną migrację, podróż, wędrówkę – ucieczkę, wypędzenie...”, dlatego tematami głównymi stały się z jednej strony zagadnienia związane z emigracją zarobkową, z drugiej migracją ludów, przesiedleniami i problemem Kresów Wschodnich – mitycznej Itaki. Krystian Kobyłka powiedział dziennikarce: „...Kresy to nasza Itaka, pozostawiony za sobą raj, który trzeba było opuścić nierzadko po traumatycznych przeżyciach...”<sup>1)</sup>

W Opolu i na Opolszczyźnie pojawiło się kilkanaście „stołów” do prowadzenia rozmów twarzą w twarz, pozwalających na wymianę myśli, opinii i emocji, których głównym żywiołem jest słowo. Pomysł „stołów” nawiązuje wprost do zapisanej w arcydziele Homera historii Odysusa. Ostatnim etapem jego wędrówki była wyspa Feaków rządzona przez króla Alkinoosa. Tam przy stole Odyszeusz opowiadał dzieje swoich bojów i wędrówki, a poruszony tą opowieścią Alkinoos rozkazał odwiedzić Odysusa na rodzinnej Itace. W niezwykłym, poetyckim rytmie tę wędrówkę opisał wielki grecki poeta Konstantinos Kavafis, oto fragment:

*...Zawsze w pamięci musisz mieć Itakę.  
Dotarcie do niej jest twoim przeznaczeniem.  
Ale bynajmniej nie spiesz się w podróży,  
lepiej by ona trwała wiele lat,  
choćbyś nawet miał jako stary dotrzeć do wyspy,  
bogaty we wszystko, co uzyskałeś po drodze,  
nie oczekując bogactw od Itaki.*

*Tę piękną podróż dała ci Itaka,  
bez niej nie wyruszyłbyś w drogę.  
Niczego więcej już nie może ci zaofiarować.*

*I choćbyś ją zastał biedną – wcale cię nie oszukała.  
Wróciwszy tak mądry i doświadczony,  
zrozumiesz co znaczy Itaka...<sup>2)</sup>*

Inauguracją projektu był rejs statkiem po Odrze, którego historycznym przewodnikiem był prof. Stanisław Sławomir Nicieja, rektor Uniwersytetu Opolskiego, autor wspaniałego, zakrojonego na wiele tomów cyklu „Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych”. W trakcie rejsu profesor opowiadał: „...Podczas wykładu jaki miałem przed dwoma miesiącami na Uniwersytecie Lwowskim przedstawiciel ukraińskiego, prawego sektora zapytał: „Czemu pisze pan o naszych miastach?” – mówił profesor. „Ja się nie zajmuję waszymi miastami” odpowiedziałem. Piszę o historii, dla Polaków. Mam nadzieję, że zrozumiał. Przecież Polska, inaczej niż inne kraje, przez 1000 lat miała pulsujące granice. Inna była za Piastów, kiedyś była dwa razy większa, kiedyś jej wcale nie było. Gdy się odradzała Odra była wewnętrzną rzeką Niemiec, a dziś płyniemy po wewnętrznej rzece Polski...”<sup>3)</sup>

Zdaniem profesora Nicieja losy ludzi, którzy na Opolszczyźnie odnaleźli drugi dom, ale tęsknią wciąż za utraconym, to rzeczywiście współczesna wersja wędrówki Odysusa. I to nie tylko w sensie historycznym. Wielu jest nadal w drodze.

Wzruszającym powrotem do Itaki było przygotowane przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Opolu słuchowisko „Dwanaście stacji” według wielokrotnie nagrodzonej opowieści Tomasza Różyckiego, przedstawiające losy rodziny wygnanej z okolic Lwowa i przesiedlonej na zupełnie im obcy teren Śląska Opolskiego. Bohaterom została powierzona misja powrotu do magicznych miejsc, przedmiotów, smaków i tajemnic dzieciństwa. To w tym utworze opisany został legendarny już opis lepienia ruskich pierogów. Losy bohaterów przedstawił Bartosz Opania.

Prezentacji słuchowiska towarzyszyła przygotowana przez Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu wystawa „Dwanaście stacji Tomasza Różyckiego”. Na 12 wielkoformatowych kartonach znalazły się fotografie dokumentujące obyczajowość, rozrywkę i pejzaże opolskie z czasów, o których mówi książka poety, na co dzień pracownika naukowego Uniwersytetu Opolskiego. Zdjęcia te towarzyszyły wyreżyserowanemu przez Mikołaja Grabowskiego, przed rokiem w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu przedstawieniu opartym na dziele Tomasza Różyckiego.

Aktorzy Teatru im. Jana Kochanowskiego w trakcie imprezy „Listy z daleka”, czytali listy osób zesłanych w latach czterdziestych minionego wieku, w czasie traumatycznych wywozek Kresowian do Kazachstanu, którym z różnych powodów nie udało się powrócić do kraju. Płynie z tych listów wielka tęsknota, nieufność wobec nowej rzeczywistości, ale także żarliwa wiara w Opatrzność Bożą, która pomaga im trwać, w warunkach, w których muszą egzystować. Listy te udostępniła Krystyna Rostocka, prezes Towarzystwa Naukowo-Społecznego Polonia – Kresy.

Znaczącym wydarzeniem była wystawa „Rubinowa broszka”, na której swoje bogate zbiory zaprezentował mieszkający w Tilburgu w Holandii inż. Andrzej Skibniewski, którego rodzina wywodzi się z Lwowa. W czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu rodzina rozproszyła się po całym świecie. Na wystawie można było zobaczyć rodzinne archiwum i związane z nim pamiątki, zdjęcia z lat 1920–1949, listy, dokumenty. To

swoisty zapis starań Andrzeja Skibińskiego, zmierzających do odnalezienia swojej Itaki.

Wielkim powodzeniem cieszyło się multimedialne spotkanie „Huculska sztuka ludowa – z Kołomyi na Śląsk”, była to rozmowa „on line” prowadzona za pomocą komunikatu internetowego pomiędzy Muzeum Rzemiosła i Sztuki Ludowej Huculszczyzny i Pokucia w Kołomyi, Muzeum Etnograficznym we Wrocławiu i Muzeum Wsi Opolskiej w Opolu. Dotyczyła ona najszerzej rozumianej huculskiej sztuki ludowej, historii wybranych twórców ludowych, a także recepcji huculskiej sztuki ludowej na Śląsku i roli muzeów w jej popularyzacji.

W Opolu, a także na terenie województwa opolskiego odbyło się ponad trzydzieści różnych imprez, które zjednoczyły opolskie środowisko artystyczne i naukowe, bo w organizacji projektu uczestniczyły opolskie uczelnie, a także najważniejsze instytucje i stowarzyszenie kulturalne i artystyczne.

Po raz kolejny przywrócono Mieszkańcom Opola i Śląska Opolskiego pamięć o wielkości Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, przypomniano także o wielkiej traumie ich mieszkańców, wypędzonych z ojczystej ziemi. A ta pamięć jest bardzo ważna, bo wystarczy przypomnieć, że w 1945 roku na t. zw. Ziemię Odzyskane – tylko w części obejmującej ówczesne województwa śląskie i dolnośląskie – przybyło 1.331.918 osób, „repatriantów” z ZSRR.<sup>4)</sup>

O tym jak ważne są podejmowane przez środowiska kresowe tego typu inicjatywy może świadczyć przebieg sympozjum „Wokół Tragedii Górnośląskiej. Rozważania – analizy – polemiki” zorganizowanej w 19 marca 2014 roku staraniem: Urzędu Marszałkowskiego, Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim i Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach – Opolu. Pojęcie „Tragedia Górno-

śląska” dotyczy traumatycznych wydarzeń na Śląsku Opolskim w 1945 roku, które dotknęły rodowitych mieszkańców tych ziem ze strony najpierw sowieckiej armii, a potem administracji polskiej. U podłoża represji legły motywy narodowościowe. Najbardziej zdumiewa to, że na konferencji zastanawiano się, czy tę tragedię wpisać do „czarnej księgi komunizmu”, czy też uznać ją jako część historii Polski. Na ten motyw spotkania naukowców i działaczy Towarzystwa zwrócił uwagę obecny na spotkaniu Wojewoda Opolski Ryszard Wilczyński, mówiąc: „...Byłem zaskoczony, że tak wiele mówiono o represjach polskiej administracji, a relatywnie mniej o zbrodniach Armii Czerwonej...”<sup>5)</sup>

I właśnie dlatego, dla zachowania właściwych relacji historycznych, niezbywalnym obowiązkiem i zadaniem dawnych mieszkańców Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej i wszystkich organizacji i stowarzyszeń kresowych jest stałe przypomnianie o Kresach, o ich wielkości, o ich znaczeniu dla naszego narodu, a także o gehennie i tragicznym doświadczeniu kresowych wygnańców, którzy na tzw. Ziemię Odzyskane, przybyli w 1945 roku nie z własnej woli, tylko jako bezbronne ofiary totalitarnej przemocy Niemców i Sowietów. Pamiętajmy o tym!

#### Przypisy:

1) Anita Dmitruczuk; *Cale miasto odkryje Odyseję*. „Gazeta Wyborcza” Opole” z 28/29 czerwca 2014 roku.

2) Konstantinos Kavafis; *„Jeżeli do Itaki wybierasz się w podróż”*. Kraków 2011 Wydawnictwo Znak. Str. 32.

3) Krzysztof Świdorski; *Kresowianie popłynęli Odrą na falach historii i wspomnień*. „Nowa Trybuna Opolska” nr 149 (6453) z 30 czerwca 2014 roku.

4) Elżbieta Dworzak, Małgorzata Goc; *Pochodzenie terytorialne ludności napływowej i geografia powojennych osiedleń na wsi opolskiej*. Opole 2011 Muzeum Śląska Opolskiego. Str. 24.

5) *Kto jest „gospodarzem pamięci” o tragedii*. „Nowa Trybuna Opolska” *Heimat. Mała ojczyzna*. z 26 marca 2014 roku.

## Stanisława Potaczek

### *Sen o Podolu*

*Gdzie ziemia jak heban czarna,  
Z zielenią łąk się swata,  
Gdzie biel gęsich piór  
Od zarania w krajobraz się wplata,  
Gdzie rzeka Zbrucz swoje wody toczy  
I jak szeroką wstęgą  
W całość tę krainę wiąże.  
Krainę sercu bliską.  
To Podole.*

*Tam każda grudka ziemi  
Polskim powietrzem oddycha.  
Znojną pracą Polaków,  
Przez wieki potem zroszona  
W końcu krwią niewinną skropiona.  
Przez złe zakręty historii  
W obce ręce oddana.*

*Polskości śladów  
Żadna ręka nie zmaże;  
Ani spuścizny sławnych rodów,  
Ani polskich cmentarzy,  
Nazw miast i ulic,  
Pomników i budowli,  
Kościołów i polskiej mowy  
I serc Polaków, którzy tam zostali.*

*A kiedy po stuleciach  
Ostatni Polak swe prochy  
W podolskiej ziemi złoży,  
Miej tę Krainę w opiece  
Chociaż Ty, Boże!*

Bolesławiec

## V Opolskie Dni Kresowe. Czerwiec 2014

„...Kiedy 23 kwietnia 1945 roku pociąg z Barszczowic zatrzymał się na stacji w Opolu, chyba nikt z jadących nie przypuszczał, że nazwa miasta oddalonego o 600 km od ich małej Ojczyzny zdoła zapaść w pamięci...”

(Józef Kleszcz „Nasz Grodziec”)

Głównymi bohaterami tegorocznych, piątych już Opolskich Dni Kresowych byli mieszkańcy podopolskiej wsi Grodziec, ekspatrianci z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej, wcześniej mieszkańcy Biłki Szlacheckiej i Biłki Królewskiej, miejscowości powiatu lwowskiego, którzy w 1945 roku swoje, nowe miejsce do życia znaleźli właśnie tutaj, na Śląsku Opolskim, w Grodziecu. W świetle dostępnych danych, do Grodzca przybyło 190 rodzin kresowych, najwięcej bo aż 160 z Biłki Szlacheckiej.<sup>1)</sup>

Grodziec, położony przy szosie łączącej Opole z Częstochową, jest jedną z kilkunastu typowych dla Śląska Opolskiego osad fryderycjańskich. W drugiej połowie XVIII wieku wioski te, w ramach kolonizacji wschodnich rubieży swego państwa zakładał król pruski Fryderyk Wielki.<sup>2)</sup>

W neogotyckim kościele, pochodzącym z XIX wieku umieszczono w ołtarzu głównym przywieziony z Biłki Szlacheckiej obraz Matki Boskiej, który w 1940 roku, zesłani na Syberię mieszkańcy zabrali z sobą, a wracając do Polski nie wypuścili obrazu z rąk, przywędrował tutaj z nimi. Dzięki staraniom wieloletniego proboszcza parafii, Sybiraka, ks. Edmunda Cisaka, od 1988 roku krajowego kapelana Sybiraków, obraz Matki Boskiej z Biłki Szlacheckiej stał się świętym obrazem wszystkich Sybiraków, i tych żyjących w Polsce, i tych rozsiąanych po całym świecie. Z Grodzca, już od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, od czasu reaktywowania Związku Sybiraków w Polsce wyruszają, w pierwszej dekadzie maja doroczne pielgrzymki syberyjskich zesłańców, pątniczy szlak wiedzie stąd na Jasną Górę do Częstochowy.<sup>3)</sup>

Od wielu lat w miejscowości tej prężnie działa Stowarzyszenie „Nasz Grodziec”, kultywujące kresowe tradycje, gromadzące pamiątki z rodzinnych stron, a jednocześnie podejmujące różnorodne działania na rzecz integracji miejscowej społeczności. Stowarzyszenie, wspólnie z Wojewódzką Biblioteką Publiczną im. Emanuela Smolki, kierowaną przez wielkiego przyjaciela działających na Opolszczyźnie organizacji kresowych Tadeusza Chrobaka przygotowało wystawę „Kresowianie na Opolszczyźnie”.

Prezentacja podzielona została na trzy wzajemnie przenikające się części: „Przesiedlenie”, „Dom przodków” i „Opolszczyzna”, całość stanowi przemyślany, logiczny układ. Dobór materiałów ikonograficznych i materialnych umożliwił prześledzenie wieloletniego, skomplikowanego procesu zakorzeniania Kresowian w nowym miejscu zamieszkania. Większość ekspatriantów żarliwie wierzyła, że tylko kwestią czasu jest powrót tam, gdzie pozostał rodzinny dom, przez tyle lat wydeptywane drogi i dróżki i niezapomniane obrazy

ukochanej ziemi. Wierzono, że z chwilą, gdy przez Kresy przewali się front, przejdą okrutni okupanci Niemcy i Sowieci to można będzie powrócić i od nowa odbudować życie. Mijały jednak miesiące, lata, nadzieja na powrót okazała się mrzonką i złudą, nadzieję zastępowała coraz bardziej przejmująca tęsknota. Trzeba było w końcu pogodzić się z myślą, że powrotu nie będzie, ale jednocześnie nie wolno zapomnieć o ziemi przodków, o ojczystym domu. I kiedy tylko nastąpiła wolna Polska, na początku lat dziewięćdziesiątych minionego wieku, masowo zaczęły powstawać organizacje, stowarzyszenia, koła miłośników, wokół których gromadzili się ludzie, manifestujący swoją miłość, i tym samym przynależność do określonej miejscowości, do określonej, po dawnemu nazwanej ziemi. W tej atmosferze wielkiego, społecznego ruchu powstało Stowarzyszenie „Nasz Grodziec”.

Do opracowania pierwszej części ekspozycji „Przesiedlenie” wykorzystano tekst „Ewakuacja 1945. Doniesienia z etapów” zamieszczony w czwartym, z 1998 roku numerze „Karty”.<sup>4)</sup> Prezentowane w tej publikacji materiały zostały zebrane w ramach projektu badawczego dokumentującego losy Niemców w Polsce w latach 194–1950, w trakcie archiwalnej kwerendy znaleziono wiele dokumentów odnoszących się do losu Polaków, którzy po zakończeniu II wojny światowej siłą zostali zmuszeni do opuszczenia swoich „małych ojczyzn”. Dramatyczne wydarzenia towarzyszyły Kresowianom „podróżującym” z ziemi ojczystej w nieznane. Przeczytajmy co o warunkach towarzyszących tym transportom w swoim raporcie napisał 18 lipca 1945 roku, kierownik Oddziału Polityczno-Wychowawczego Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy w Katowicach: „...Przejazd trasą Katowice – Opole, wieczorem inspekcja punktu etapowego w Opolu. W pierwszym rzędzie udano się trasą kolejową Opole – Wrocław, gdzie stwierdzono cały szereg rodzin repatrianckich rozłożonych po obu stronach torów. Rodziny te od trzech tygodni i więcej pozbawione środków żywnościowych, opieki sanitarnej, ludzone obietnicami wyjazdu „już jutro lub za parę dni”, pozostają w warunkach urągających najprymitywniejszym pojęciom bytowania ludzkiego. Koczowiska repatrianckie przedstawiają jeden obraz nędzy i rozpacz. Takim samym losowi podlega inwentarz żywy. Tysiące much żeruje na resztkach jedzenia, na pobliskich gnojowiskach, powodując niesamowicie makabryczny obraz. Rodziny repatrianckie, którym udało się ulokować w niektórych wsiach, są przez czynniki sowieckie niejednokrotnie usuwane z mieszkań na rzecz Niemców...”

A oto inna informacja: „...Kobiety polskie narażone są na stałe niebezpieczeństwo gwałtów ze strony żołnierzy Armii Czerwonej. Dowództwa, a specjalnie komendanci wojenni zajmują wcale niedwuznaczne stanowisko w tej sprawie, twierdzą, że żołnierze ich są już bardzo dawno bez rodzin, a z braku Niemek – Polki powinny zadowalać ich potrzeby. Dość często mają miejsce rabunki, dokonywane na ludności polskiej

przez czerwonooarmistów. Podobne rzeczy nie grożą zupełnie Niemcom, gdyż chronią ich specjalne instrukcje, mówiące o względnym i poprawnym obchodzeniu się z nimi. O Polakach nie jest nic powiedziane...”

Brak było jednego, prężnego ośrodka decyzyjnego, który byłby w stanie kierować tą biblijną wręcz wędrówką Kresowian, mnożyły się bolesne zdarzenia, oto przykład: „...Transport 2.000 wykwalifikowanych robotników ze Lwowa (skład lwowskiej elektrowni, gazowni, zakładów wodociągowych itp.) szedł z Katowic do Wrocławia od dnia 28 listopada do dnia 8 grudnia 1945 roku, mimo że oba punkty, podobnie jak punkt w Opolu wiedziały o tym transporcie – nikt nie uważał za odpowiednie przyspieszyć transportu...”

Znakomitym komentarzem, ilustrującym warunki jakie towarzyszyły exodusowi Kresowian są oryginalne zdjęcia, wielce dla Opola zasłużonego artysty fotografa Stanisława Bobera, rodem ze Stanisławowa. Był on prawdziwym, rzetelnym kronikarzem podróży, wykonane przez niego zdjęcia, szczególnie te z punktu etapowego w Katowicach–Ligocie mają dzisiaj wartość bezcenną, artystyczną i historyczną.

Mieszkańcy Grodzca zgromadzili wiele pamiątek z Bilki Szlacheckiej, przede wszystkim zdjęć, rejestrujących ważne dla kresowej społeczności wydarzenia, takie jak I Komunia Święta, wesela, pogrzeby. A zatem odtwarzające to wszystko co stanowiło treść i sens ówczesnego, codziennego, ludzkiego bytowania, i co dziś stało się świętym przesłaniem przodków, adresowanym do kolejnego już pokolenia. Jest także wiele zdjęć grupowych, a na nich rodziny m. in.: Sękowskich, Kasperskich, Morcinków, Jastrząbków. Warto wspomnieć, że proboszczem parafii w Bilce Szlacheckiej był ks. Wincenty Urban, po II wojnie światowej biskup Diecezji Wrocławskiej.

Na część poświęconą czasom współczesnym mieszkańców Grodzca składają się materiały ikonogra-

ficzne, największe zainteresowanie wzbudzają, mające dziś wartość historyczną autentyczne dokumenty z pierwszych, powojennych lat, wśród nich m.in. „Wniosek o przyznanie prawa własności nieruchomości ziemskiej (rolnej) na Ziemiach Odzyskanych”, „Arkusz ewidencyjny mienia opuszczonego i porzuconego, poniemieckiego”, „Orzeczenie o wykonaniu aktu nadania” itp.

Wernisaż wystawy, w którym bardzo licznie uczestniczyli członkowie kresowych organizacji i stowarzyszeń uświetnił występ żeńskiego, ludowego chóru z Grodzca. Z kolei na tradycyjnej „Biesiadzie Kresowej” w ogrodach Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej wystąpił niezwykle gorąco oklaskiwany zespół kapeli „Lwowska Fala” ze Lwowa.

Doroczne Opolskie Dni Kresowe, na stałe weszły do programu kulturalnego miasta, o ich znaczeniu świadczy niezmiennie liczny udział dawnych mieszkańców Kresów Wschodnich z całej Opolszczyzny i mieszkańców Opola. Organizatorów cieszy szczególnie udział w imprezach prezentujących wielkie dziedzictwo Kresów młodych ludzi, budzi to nadzieję, że pamięć o wielkości i znaczeniu w dziejach naszego narodu ziem kresowych, o pozostawionych tam miastach, staje się świętą wartością, która będzie przekazywana z pokolenia na pokolenie.

#### Przypisy:

1) Elżbieta Dworzak, Małgorzata Goc: Pochodzenie terytorialne ludności napływowej i geografia powojennych osiedleń na wsi opolskiej. Opole 2011 Muzeum Śląska Opolskiego. Str. 386.

2) Wielka Encyklopedia Powszechna. Warszawa 2002 Wydawnictwo Naukowe PWN. Tom IX. Str. 408.

3) Ks. Edmund Cisak: Sanktuarium Maryjne w Grodźcu k. Opola. Grodziec 1993. str.5.

4) Ewakuacja 1945. Doniesienia z etapów. Karta nr 28 z 1998 roku. Str. 69–99.

---

Danuta Śliwińska

## Czerwiec 2014 r. w TMLiKPW w Bydgoszczy

Miesiąc czerwiec br. bogaty był w imprezy związane z naszym Towarzystwem i Kresami. Odbył się „Trzeci Dzień Kresowy”, tradycyjne „Wianki” i 100-lecie naszego członka Jerzego Klepackiego.

### Dzień Kresowy – 22 czerwca

W dniu tym po raz trzeci odbył się w Bydgoszczy „Dzień Kresowy” zorganizowany przez związki i stowarzyszenia związane z terenami wschodnimi, a mianowicie:

- Związek Sybiraków.
- Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
- Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej,
- Stowarzyszenie Pomocy Charytatywnej „Wschód”,
- Bractwo Inflanckie,
- Koło Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów

oraz Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych.

Dzień Kresowy zorganizowany był w niedzielę i jak co roku w innej parafii, aby wszystkie dzielnice Bydgoszczy miały możliwość zapoznania się z naszą działalnością, a także aby przybliżyć mieszkańcom Bydgoszczy problemy Kresów Wschodnich i chętnych zopatrzyć w wydawnictwa kresowe.

W bieżącym roku uroczysta Msza św. w intencji nieżyjących i żyjących Kresowian odprawiona została w samym centrum Bydgoszczy, w kościele pw. Świętych Apostołów Piotra i Pawła przy Placu Wolności. Piękną homilię wygłosił Proboszcz Parafii ks. Teodor Paradowski, w całości poświęconą niełatwym i tragicznym losom mieszkańców Kresów Wschodnich. W imieniu organizatorów głos zabrał Stefan Pastuszewski, Prezes Bractwa Inflanckiego, przybliżając zebranym w kościele cele naszej działalności oraz udział Kreso-

wian w życiu gospodarczym, naukowym i kulturalnym Bydgoszczy i Regionu. Co roku mowę w imieniu organizacji kresowych wygłasza przedstawiciel innego stowarzyszenia. W kościele były sztandary, m.in. Związ-



*Msza św. koncelebrowana przez Proboszcza Parafii św. Apostołów Piotra i Pawła w Bydgoszczy*



*Prezisi na Dniu Kresowym (od lewej): Stefan Pastuszewski – Bractwo Inflanckie, Bolesław Dynowski – Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, Danuta Śliwińska – TMLiKPW w Bydgoszczy, Zdzisław Cisowski – Stowarzyszenie Pomocy Charytatywnej „Wschód” przy stołach z wydawnictwami*

ku Sybiraków, NSZZ „Solidarność” Regionu Bydgoskiego i inne.

Z tej okazji zorganizowano również wystawę o tragicznym życiu na Kresach Wschodnich, którą z ciekawością oglądało bardzo wiele osób.

Po Mszy św. miał miejsce kiermasz wydawnictw kresowych. Każde stowarzyszenie miało swoje stoliki. Nasz Oddział TMLiKPW przekazywał książki o tematyce lwowskiej i kresowej za „złotówkę”, niektóre książki oraz wydawnictwa „Semper Fidelis”, „Cracovia Leopoldis” i inne rozdawał za darmo.

Zainteresowanie było ogromne, pełny kościół, potem na kiermaszu i

na placu przed kościołem było bardzo wielu mieszkańców Bydgoszczy. Wydarzenie było odpowiednio wcześniej nagłośnione w miejscowej prasie.

Z tej okazji wydany został specjalny kolorowy folder ze zdjęciami o naszych stowarzyszeniach, o problemach kresowych. Folder otrzymali wszyscy uczestnicy Mszy św., ale tej następnej również, uczestniczący w kiermaszu, zebrani na Placu Wolności przed kościołem, a także przechodzący okolicznymi ulicami. Wydanie folderu sfinansowane zostało przez Urząd Miejski w Bydgoszczy.

Media dopisały, były wszystkie gazety, radia i Telewizja Bydgoska. Przeprowadzili cały szereg wywiadów z nami.

Uważamy, że ten „dzień” się udał i już wybieramy parafię na przyszły rok, w której zorganizujemy kolejny „Czwarty Dzień Kresowy”.

#### **„Wianki” – 24 czerwca**

Już od ponad dwudziestu lat w tym dniu Towarzystwo nasze organizuje „tradycyjne wianki” w zaprzyjaźnionej Leśniczówce „Białe Błota”, koło Bydgoszczy. Panie przygotowują i plotą piękne wianki i razem z palącymi świeczkami puszczamy je na wodę.



*Jeden z ośmiu stołów biesiadnych dookoła ogniska – na „wiankach”*



*Puszczanie wianków na wodę*

Lwowem a Górnym Śląskiem i Katowicami. Przybyła również znana aktorka Teatru Śląskiego Bogumiła Murzyńska, urodzona na Łyczakowie. W emocjonalny sposób, który wywarł duże wrażenie na zgromadzonych, przedstawiła ona swoje wspomnienia ze Lwowa bardzo wczesnego dzieciństwa, jak też spotkania z aktorami i pracownikami teatru wywodzącymi się ze środowiska lwowskiego. Jednym z ostatnich żyjących lwowian-aktorów katowickich jest Ryszard Zaorski, który na po-

czątku istnienia naszego Oddziału pełnił funkcję jego prezesa.

Jubileusz to także wspomnienie o członkach naszego Towarzystwa – lwowianach i kresowianach, których z każdym rokiem niestety ubywa. Niektórym z nich podeszły wiek i zły stan zdrowia nie pozwalają uczestniczyć czynnie w naszej działalności. Kresowy duch jednak w Katowicach nie ginie i mamy nadzieję, że przetrwa także w następnych pokoleniach! □

Mieczysław Kostur

## XVIII Dni Kultury Kresowej – Świdwin 2014

Organizatorami wspaniałej imprezy kresowej były świdwińskie Towarzystwa Kresowe: Lwowa – prezes Mieczysław Kostur i Wilna – prezes Anna Teresińska, dyrektor ŚOK Bolesław Kurek i kierownik MBP Teresa Ludwikowska.



*Ks. R. Kizielewicz przyjmuje dary ołtarza – chleb lwowski od M. Dembickiej i chleb wileński, miód, nowalijki.*

W dniu 25 maja w kościele MBNP ksiądz dziekan Ryszard Kizielewicz i ksiądz Piotr Woźniak odprawili Mszę św. w intencji Polaków na Wschodzie i Kresowian na ziemi świdwińskiej z oprawą kresową: darami ołtarza, czytaniem „lekcji” przez Kresowian i z udziałem: solistek Małgorzaty Staszewskiej – śpiewającej na początku „Wierne Madonny”, Chóru Kameralnego „SONORES” pod batutą Bolesława Kurka oraz Julii Mazurkiewicz, która na koniec mszy zaśpiewała „Ave Maria”.

27 maja był właściwym dniem prezentacji kultury kresowej w sali widowiskowej świdwińskiego zamku. Organizatorzy serdecznie powitali starostę Mirosława Majkę, przewodniczącą Rady Powiatu Danutę Malitowską, przewodniczącego Rady Miasta Henryka Klamana i honorowego patrona imprezy burmistrza Jana Owiśnika, który nie szczędził słów uznania i podziękowań dla prezesów Towarzystw Kresowych Anny Teresińskiej i Mieczysława Kostrua, twierdząc że dzięki ich zaangażowaniu odbywa się wiele imprez, koncertów, konkursów, wystaw nawiązujących do tradycji kresowych.

Prezes Mieczysław Kostur uhonorował odznaką 25-lecia TMLiKPW przyznaną przez Zarząd Główny

we Wrocławiu – Danutę Malitowską, Genowefę Pożoga, Henryka Klamana, Józefa Pietraszka i Jana Jarycha.

Prezes Anna Teresińska wręczyła także nagrody laureatom XVI Konkursu „Tradycje wileńskie w naszym regionie”.

Następnie na scenie wystąpili laureaci Powiatowego Konkursu Piosenki Lwowskiej Julia Mazurkiewicz z PSP nr 1, Karolina Jankowska i Jacek Lasota z ZSR CKP oraz Marta Kruczkowska absolwentka LO wprowadzając publiczność we wspaniałą nastrój dawnego Lwowa.

Prowadząca imprezę Dorota Budzińska Cholawo zaprosiła na scenę znanego Kresowianom gościa Reprezentacyjnej Zespołu Folklorystyczny „Żytnica” (Spichlerz) z Klicewa na Białorusi. Zespół występuje od 1991 r. pod kierownictwem Włodzimierza Vaaksa, a w swoim repertuarze ma najpiękniejsze pieśni Białorusi. Występował na wielu festiwalach, w 2013 i 2014 r. na wiosennym Przeglądzie Folklorystycznym „Piknik Folk 2014” w Jeleniu. Stąd gościnnie z zespołem „Jarzębiny” z Jelenia na prośbę jego kierownika Wojciecha Więckowskiego i organizatorów XVIII DKK 2014 występują po raz drugi w Świdwinie. Publiczność serdecznie przyjęła zespół, nie szczędziła oklasków w czasie prezentacji wspaniałego programu artystycznego zakończonego wspólnym występem z zespołem „Jarzębiny”. Dziękując zespołowi władze samorządowe Miasta i Powiatu Świdwin i organizatorzy wręczyli szczerze podziękowania wraz z upominkami, a prezes Kostur wręczył kosz kwiatów, jako dar od Reginy Jeziornej właścicielki kwiaciarni.

W 3 dniu obchodów ŚDKK 4 czerwca w sali rycerskiej zamku odbyło się spotkanie z mec. Januszem Łukaszewskim z Wejherowa na temat „Ojczyzna poza Ojczyzną – Polski Lwów, Kresy Wschodnie i Polonia Amerykańska w zbiorach i relacji b. Konsula RP we Lwowie i Chicago”.

W spotkaniu uczestniczyły władze samorządowe miasta i powiatu Świdwin, Kresowianie, Lwowianie, Wilnianie i młodzież szkolna ZSR CKP. Na początku z lwowskim programem artystycznym wystąpiła Julia Mazurkiewicz z PSP nr 1 i Aleksandra Hume z ZSR CKP.

Spotkanie z konsulem RP w niepodległej Ukrainie było bardzo poruszające i ciekawe. Dotyczyło głównie

działalności politycznej, ekonomicznej, a także działań na rzecz stowarzyszeń polskich, szkolnictwa i kultury we Lwowie i na Kresach.

Zupełnie innymi doświadczeniami dyplomatycznymi dzielił się omawiając swoją służbę konsularną w Chicago. Wspomnienia dotyczyły działań na rzecz licznie tam zamieszkującej polonii amerykańskiej oraz kombatantów wojskowych, którzy tam osiedli po zakończeniu II wojny światowej w 1945 r.

Na zakończenie spotkania pan Konsul został odznaczony Złotą Odznaką „Zasłużony dla Towarzystwa Mi-



*Mec. Janusz Łukaszewski uhonorowany Złotą Odznaką TMLiKPW przez Zarząd Główny – wręczył M. Kostur.*

łośników Lwowa” przyznana przez Zarząd Główny TMLiKPW Wrocław, a wręczył ją Mieczysław Kostur prezes Klubu TMLiKPW w Świdwinie oraz obdarowany wydawnictwem albumowym „Moje serce zostało we Lwowie” i „Semper Fidelis” nr 3A 2013, folderem XX-lecia Klubu i folderem o Rondzie im. Gen. Romana Abrahama w Świdwinie. Pan Konsul wręczył książkę swojego autorstwa pt. „Przetrawianie” gospodarzom spotkania i przekazał 3 egzemplarze dla MBP Zamek. Organizatorzy podziękowali konsulowi za spotkanie oraz uczestnikom za wspólny udział.

Zespoły i uczestnicy imprezy mieli okazję obejrzyć wystawę „Lwów i Wilno” w grafice Andrzeja Kaczyńskiego, jak również w komnatach muzealnych wystawę „Od placideł do kart bankomatowych” ze zbiorów Muzeum Narodowego w Szczecinie.

Organizatorzy dziękują władzom samorządowym miasta i powiatu Świdwin za wsparcie finansowe, a za wsparcie organizacyjne Burmistrzowi Bornego Sulinowa, Reginie Jeziornej, Barbarze i Krzysztofowi Głowackim, Janowi Jarychowi, Dorocie Wojtanowskiej szefowej Restauracji Zamkowa, kierownicze biblioteki Teresie Ludwikowskiej oraz pracownikom Świdwińskiego Ośrodka Kultury.

Zapraszamy za rok na XIX Dni Kultury Kresowej w Świdwinie! □

Wanda Butowska, Hanna Dobias-Telesińska

## **XVII Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu i jubileusz XXV-lecia poznańskiego Oddziału TMLiKPW**

XVII Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu i obchody jubileuszu XXV-lecia poznańskiego Oddziału TMLiKPW rozpoczęliśmy w czwartek 8 maja 2014 r. otwarciem wystawy w hallu Wielkopolskiego Urzędu Wojewódzkiego pt. „Kresy i Kresowianie”. Autorami wystawy są Janusz Furmaniuk i Marek Szpytko. Plansze eksponowane w dwóch rzędach poprzez zdjęcia, rysunki, mapy itp. przedstawiają historię, ludzi i ważne wydarzenia na obszarze Kresów Południowo-Wschodnich oraz dwudziestopięcioletnią działalność poznańskiego Oddziału TMLiKPW. Prezes Bożena Łączkowska powitała Wojewodę Wielkopolskiego Piotra Floraka oraz zgromadzonych gości. Wojewoda przypomniał, że jest to już kolejna wystawa organizowana w Urzędzie i ma nadzieję, że będą następne. Za wieloletnią dobrą współpracę otrzymał z rąk Bożeny Łączkowskiej medal XXV-lecia poznańskiego Oddziału TMLiKPW oraz książkę „Dwadzieścia pięć lat kultury kresowej w Poznaniu”, wydaną z okazji jubileuszu. Marek Szpytko pokrótce przedstawił tło wystawy, po czym osoby zasłużone, organizatorzy imprez Dni Lwowa i Kresów otrzymali odznakę XXV-lecia TMLiKPW oraz medale XXV-lecia poznańskiego Oddziału. Zebrani z zainteresowaniem oglądali wystawę.

Następnego dnia – w Domu Żołnierza – inauguracja XVII Dni Lwowa i Kresów oraz jubileusz XXV-lecia TMLiKPW zebrały wielu znakomitych gości, wśród



*Bożena Łączkowska wręcza medale XXV-lecia poznańskiego TMLiKPW. Od lewej: Marek Woźniak, Ryszard Grobelny, Emil Legowicz*

nich: Marszałek Województwa Wielkopolskiego Marek Woźniak, Wicewojewoda Przemysław Pacia, Prezydent Poznania Ryszard Grobelny. Goście wieszowali jubileuszu i obdarowali pięknymi pamiątkami. Inauguracja poprzedzona była spotkaniem Marszałka Marka Woźniaka z gośćmi Towarzystwa, którzy przyjechali ze Lwowa, Brzeżan i wielu miast Polski. Była to okazja do przedstawienia organizacji polskich na Ukrainie. Był także urodzinowy tort.

Spotkanie inauguracyjne prowadził Wojciech Habela, aktor z Krakowa, wplatając w części spotkania program poetycki.

Stanisław Łukasiewicz poinformował, że z rąk Wojewody Wielkopolskiego Piotra Florka w dniu 17 grudnia 2013 r. Srebrny Krzyż Zasługi otrzymała Hanna Dobias-Telesińska.

Laureatem naszego dorocznego wyróżnienia Semper Fidelis został ks. prof. Józef Wolczański. Laudację wygłosił Iwo Werschler podkreślając ogromne zasługi



*Ksiądz prof. Józef Wolczański*

Księdza Profesora w dokumentowaniu historii Kresów. Bliżej z kulisami pozyskiwania materiałów archiwalnych, z pracą w archiwach mogliśmy zapoznać się podczas arcyciekawego spotkania z Księdzem Profesorem w niedzielę w „Salonie lwowskim” w Domu Polonii.

W dalszej części wieczoru prezes Zarządu Głównego TMLiKPW Andrzej Kaminski wręczył Złotą Odznakę Towarzystwa Ewie Dobias-Józefiak, Kazimierzowi Górakowi, Zygmunutowi Maławskiemu, Marianowi Osadzie i Krystynie Tokarskiej. Medale XXV-lecia Oddziału otrzymali szacowni Goście oraz grupa członków TMLiKPW. Dyrektorki szkół poznańskich Irena Roemet-Ciomborowska (SP nr 84), Helena Paszkiewicz (Gimn. nr 65 im. Orłąt Lwowskich), Lucyna Białk-Cieślak (Poznańskie Centrum Edukacji Ustawicznej i Praktycznej) i Magdalena Katarzyńska (Zespół Szkół z Oddziałami Integracyjnymi i Specjalnymi nr 2) w uznaniu zasług w organizowaniu akcji charytatywnych otrzymały albumy fotograficzne o Kresach. Prezes Bożena Łączkowska z rąk Marszałka Marka Woźniaka otrzymała odznaczenie „Zasłużony dla Województwa Wielkopolskiego”. Takie samo wyróżnienie otrzymał poznański Oddział TMLiKPW. Prezes Emil Legowicz wręczył Złotą Odznakę Za Zasługi dla Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Bożenie Łączkowskiej, Hannie Dobias-Telesińskiej, Stanisławowi Łukasiewiczowi i Januszowi Furmaniukowi. W części artystycznej wystąpiła młodzież



*Marszałek Województwa Wielkopolskiego Marek Woźniak wręcza Bożenie Łączkowskiej odznaczenie „Zasłużony dla Województwa Wielkopolskiego”*

z Gimnazjum im. Orłąt Lwowskich z ładnie przygotowanym przedstawieniem na temat wolności, w opracowaniu Małgorzaty Głowackiej. Były wiersze Baczyńskiego, Norwida, Asnyka, pieśni patriotyczne i Rota, którą zebrani odśpiewali na stojąco. Wystąpił także zespół "Chawira" z Krakowa z zestawem piosenek lwowskich, piosenek ciągle świeżych i po prostu ślicznych. Bardzo pięknie brzmiał na koniec duet Ewy i Ryszarda Klaniec-kich. Przedłużająca się uroczystość troszkę umęczyła artystów czekających na swój występ, ale ten krótki program był prawdziwą przyjemnością dla słuchaczy. Na zakończenie było coś „dla ciała”. W sąsiednich salach goście częstowali się wspaniałymi przysmakami.



*Obiad ZG TMLiKPW w restauracji*

Trudno się było rozejść, rozmawiano, dyskutowano, oceniano występy i całą imprezę. Wszyscy byli w doskonałych humorach. Powoli sale pustoszały. Była już 22.00.

10.05.2014 r. sobota – to kolejny dzień obchodów. W Bazylice Farnej Msza św. koncelebrowana w intencji Kresowian pod przewodnictwem bpa Zdzisława Fortuniaka. Mszę koncelebrowali: ks. prof. Józef Wolczański, ks. Andrzej Jagielka ze Lwowa, ks. Andrzej Reminec z Brzeżan i ks. kanonik Tadeusz Magas kapelan TMLiKPW i TMWiZW z Poznania. Dr Iwo Werschler przeczytał lekcję z Dziejów Apostolskich. Piękną homilię wygłosił bp senior Zdzisław Fortuniak, który stwierdził, że Lwów to miasto, które zajmuje szczególne miejsce w naszej historii. Przypomnił najważniejsze wydarzenia w historii Lwowa, zaznaczył, że nadanie przez króla Kazimierza Wielkiego dokumentu lokacyjnego miasta w 1356 r. „umożliwiło rozwój tego ośrodka,

a jego mieszkańcy Polacy, Rusini, Ormianie, Żydzi i Tatarzy uzyskali gwarancję zachowania praw, religii oraz obyczajów". Podkreślił też, że król Jan Kazimierz w lwowskiej Katedrze w 1656 r. złożył śluby wybierając Matkę Boską na Królową Polski. Stwierdził, że ludność kresowa trwała w wierności Rzeczypospolitej, a zawołanie „semper fidelis” (zawsze wierny) stało się dewizą Lwowa. Zwrócił też uwagę na to, że Lwów urzekał ludzi przede wszystkim kulturą, „która nadawała temu miastu swoisty klimat i czyniła z niego poważny ośrodek życia kulturalnego i naukowego”. Wymienił nazwiska osób związanych z miastem, które trwale wpisały się w życie naukowe literackie, jak Aleksander Fredro, Juliusz Kleiner, Kazimierz Twardowski czy Stefan Banach. Zwrócił uwagę na bolesne powojenne losy jego mieszkańców, którzy zostali przesiedleni na zachodnie ziemie Polski. „Miasto Semper Fidelis uformowało ludzi, którzy także jemu dochowują wierności w myślach, wspomnieniach i serdecznych uczuciach przechowywanych w kresowych duszach”. Po Mszy św. prezes Bożena Łączkowska podziękowała bp. Zdzisławowi Fortuniakowi za piękną homilię i podarowała mu wydaną przez nasz Oddział książkę „Dwadzieścia pięć lat kultury kresowej w Poznaniu”.

Po Mszy św. w salce parafialnej przy Bazylice Farnej interesujące, jak zawsze, spotkanie z prof. dr. hab. St. Nicieją: „Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych”. Do tej pory wydano już cztery tomy, w przygotowaniu jest piąty. Autor opowiadał o pracy, ciekawych spotkaniach z mieszkańcami „Atlantydy”, podpisywał książki i zawierał nowe kontakty na nieznaną do tej pory historię. Zaprezentował krótki dokumentalny film o Truskawcu. Zebrani zadawali pytania, Profesor podpisywał swoje książki tu i później na Starym Rynku, podczas Pikniku Lwowskiego.

W samo południe, na Starym Rynku, Młodzieżowa Orkiestra Dęta z Tarnowa Podgórnego dała sygnał do



Występy na Rynku

Pikniku Lwowskiego. Zgromadzeni goście mogli posłuchać pięknych lwowskich piosenek w wykonaniu „Chawiry” i zespołu „Wiwaty” z Pobiedzisk.

XVII Dni Lwowa zakończyły się popołudniowym niedzielnym spotkaniem z ks. prof. Józefem Wolczańskim w „Salonie Lwowskim” w Domu Polonii na Starym Rynku. Zebrani z zainteresowaniem słuchali opowiadania, w jaki sposób ks. prof. Wolczański zdobywa dostęp do archiwów we Lwowie, na jakie napotyka trudności i w jaki sposób je pokonuje. Chętnych do wysłuchania było bardzo wielu, temat bardzo interesujący, uczestnicy spotkania nie mogli rozstać się z Księdzem Profesorem. Na spotkanie przybył ks. prałat Jan Stanisławski, który wspominał księży z Kresów, z którymi spotkał się jeszcze jako uczeń i później jako kapłan. Poddał myśl napisania o nich, gdyż były to osobowości nieprzeciętne i wyjątkowe. Podchwyciono pomysł i już są chętni, by się nim zająć.

Tak więc zakończył się XVII Dni Lwowa i Kresów oraz obchody jubileuszu XXV-lecia poznańskiego Oddziału TMLiKPW. Przyszedł czas na podsumowania. □

Hanna Dobias-Telesińska

## Spotkanie w „Salonie Lwowskim”

W niedzielę 22 czerwca w „Salonie Lwowskim” w Domu Polonii na Starym Rynku w Poznaniu, zorganizowanym przez Katarzynę Kwinecką, uczestniczyliśmy w urokliwym spotkaniu z Teresą Tomsią i Mariuszem Olbromskim. W kameralnym saloniku, przy kawie i herbacie wysłuchaliśmy wspaniałej poezji ww. Autorów na temat TOŻSAMOŚCI w powiązaniu z DOMEM.

Na początku Prezes Bożena Łączkowska powitała Gości oraz zebranych. W dalszej części Teresa Tomsia przedstawiła przybysza z Przemysła, wyrecytowała swój wiersz. Wiersz nosi tytuł:

### *Stare domy wędrują za nami*

*Stare domy wędrują za nami,  
są wierne i podobnie bezdomne,  
trudno je odpedzić,  
wloką z sobą starą budę  
z echem ostatniego szczekania.  
Domy, których nie ma,*

*to nasze pomniki  
z odcisniętym na progu  
obcasem chodaka,  
z tobołkiem na strychu  
na czarną godzinę,  
z pękiem nieśmiertelników  
w oknie na werandzie.*

Teresa Tomsia oddała głos Mariuszowi Olbromskiemu. Autor wierszy kresowych, poeta, muzealnik, działacz kultury, organizator spotkań w Krzemieńcu „Dialog dwóch kultur”, w bardzo interesujący sposób, między recytacją wierszy, opowiadał o ludziach, którym swoją poezję poświęcał. Niezwykle ciekawie mówił o Zbigniewie Herbercie, jego siostrze Halinie Herbert-Zebrowskiej, która oprowadzała Mariusza Olbromskiego we Lwowie po miejscach, w których wychowywała się z bratem i gdzie mieszkali. Zbigniew Herbert po ucieczce z rodziną ze Lwowa przed drugą okupacją so-

wiecką, nigdy już do Lwowa nie wrócił. Mariusz Olbromski wspominał także Janusza Wasylkowskiego poetę, pisarza, satyryka, piszącego wiersze, opowiadania, fraszki i aforyzmy, bibliofila zbierającego wszelkie oryginalne dokumenty związane ze Lwowem, dyrektora Instytutu Lwowskiego w Warszawie. Oto wiersz poświęcony Januszowi Wasylkowskiemu:

#### Latarnik

*Gdzie pójdziesz myślą – znowu obraz lwowski,  
choć tamto życie znikło – na nowo się toczy.  
Gdzie sięgniesz ręką – cieszą twoje oczy  
książki znad Pełtwi i z kresów uroczych.  
I żyjesz tutaj – podwójnym istnieniem:  
pogłębiony tęsknotą – uskrzydłony cierpieniem.  
Piller i sławny też Altenberg widzą z dala pewno  
twoje serdeczne dzieło – „Rocznik Lwowski”,  
który jak Feniks wstaje z nieistnienia  
ciągle mocą twej pracy i mądrej miłości.  
Jakżeś się w mowie lwowskiej rozstłonecznił,  
że czas warszawski śpiewnym słowem złocisz.  
I trwasz w wieżowcu sam niczym latarnik,  
kiedy stolica w falach reklam błyska  
i po horyzont szum za oknem toczy.*

sek. Po wojnie pozostała w Krzemieńcu, gdzie nadal działała na rzecz polskiej społeczności. Uczestniczyła w nauczaniu polskich dzieci, dla których opracowała ręcznie pisany i ilustrowany „Elementarz Krzemieniecki”. Po rozpadzie ZSRR była jedną z założycielek Towarzystwa Odrodzenia Kultury Polskiej im. Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu.



Fot. Eugeniusz Tomsia

Od prawej: prezes Bożena Łączkowska, Mariusz Olbromski, Teresa Tomsia



Fot. Eugeniusz Tomsia

Członkowie TMLiKPW z Teresą Tomsią i Mariuszem Olbromskim

Wiele miejsca Mariusz Olbromski poświęcił Mikołajowi Rejowi, urodzonemu w Żurawnie pod Haliczem, na którego cześć, po 500 latach, potomek, ambasador amerykański w Polsce Nicholas Andrew Rey odsłonił tablicę pamiątkową.

Wypowiedzi przeplatane były wierszami z tomiku „Róża i Kamień. Podróż na Kresy”. Także wiele uwagi poświęcił Mariusz Olbromski Juliuszowi Słowackiemu, jego matce, miejscu, w którym się wychował, Krzemieńcowi i Liceum Krzemienieckiemu, z którego wyszło wielu wybitnych Polaków.

Ze wzruszeniem wspominał niezwykłą Polkę Irenę Sandecką. Urodzona w 1912 r. w Humanii w czasie II wojny światowej pracowała w tajnej Delegaturze Rządu Polskiego w Krzemieńcu, w 1943 r. zajmowała się uchodźcami z mordowanych przez banderowców wio-

Wypowiedzi Mariusza Olbromskiego przeplatane były z interesującymi uwagami Teresy Tomsia o sytuacji kultury polskiej, kultury na Ukrainie, o potrzebie przekazywania wiedzy na temat Kresów młodzieży oraz instytucjom. Jest bardzo ważne byśmy my właśnie tę wiedzę przekazywali naszemu otoczeniu, bo nikt za nas tego nie zrobi. Wspaniałym pomysłem Teresy Tomsia jest propozycja utworzenia w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu Działu Kresowego, który gromadziłby kresowiana. Zebrani zaaprobowali wspaniały pomysł. Wywiązała się dyskusja, głos zabrała także Ewa Najwer, która w tym roku w ramach „Dialogu dwóch kultur” pojedzie do Krzemieńca. Obecni zadawali pytania.

Autor przywiózł swoje dwie książki: tomik wierszy „Róża i Kamień. Podróż na Kresy” oraz przepiękny album „Śladami słów skrzydlatych... Pomniki pisarzy i poetów polskich na Kresach Południowych dawnej Rzeczypospolitej” ilustrowany wspaniałymi zdjęciami.

Obie te pozycje są dostępne w naszej siedzibie. Spotkanie było niezwykle interesujące, w miłej atmosferze wysłuchaliśmy wypowiedzi ciekawych osobowości: Teresy Tomsia i Mariusza Olbromskiego.

Kolejny Salon Lwowski odbędzie się już po wakacjach, o czym powiadomimy na naszej stronie internetowej [www.lwowiacy.pl](http://www.lwowiacy.pl) i do którego serdecznie zapraszamy. □

Stanisława Zięcik

## Jubileusz 25-lecia TMLiKPW w Bolesławcu

Uroczystość z okazji XXV-lecia bolesławieckiego Oddziału TMLiKPW pod honorowym patronatem Prezydenta Miasta – Piotra Romana i Prezesa Zarządu Głównego – dr. Andrzeja Kaminskiego, odbyła się w dniu 22 czerwca 2014 r.

Jubileusz rozpoczęto Mszą św. w Bolesławieckiej Bazylice Mniejszej pw. Matki Boskiej Wniebowziętej z udziałem pocztów sztandarowych Związku Sybiraków, Głmnazjum Samorządowego nr 2 oraz naszego sztandaru, który na tej mszy został poświęcony. Oprawę muzyczną mszy zapewniła Miejska Orkiestra Dęta pod batutą pana Chojnickiego oraz pani Michalina Growiec z Akademii Muzycznej w Katowicach. Wykonała ona przepięknie dwa utwory bliskie sercu Lwowiaków: Lwowską Madonnę oraz pieśń o Jurku Bitschaniu.

Po zakończeniu mszy uformował się pochód prowadzony przez orkiestrę. Wielką atrakcją byli „Ułani Kaniowscy”. To gimnazjaliści na pięknych koniach w mundurach ułanów. Po nich pocztu sztandarowe, władze miasta i Zarządu Głównego oraz licznie przybyli Kresowianie.

Wszyscy udali się pod pomnik celem złożenia kwiatów. Pomnik przed Dworcem Kolejowym w Bolesławcu upamiętnia grupy Polaków przybywających po II wojnie światowej do naszego miasta (z Kresów Południowych, Litwy, Białorusi, Jugosławii, Francji, z Syberii i Kazachstanu, powracający z przymusowych robót w Niemczech, ocalałych z obozów koncentracyjnych i łagrów).

Prezydent Miasta – Piotr Roman w swoim wystąpieniu podkreślił wagę zachowania własnej tożsamości. Potrzebę przekazywania młodemu pokoleniu Polaków historii ich rodzin i ziem, na których urodzili się pradziadowie.

Świadomość i znajomość przeszłości jest fundamentem budowania teraźniejszości.

Druga część uroczystości odbyła się w sali Centrum Integracji Kulturalnej „Orzeł” przy ul. F. Chopina.

Michał Wojdyła powitał i przedstawił zaproszonych gości w osobach:

- Prezydenta Miasta Bolesławiec – Piotra Romana,
- Zastępcy prezydenta – Kornel Filipowicz,
- Członków i Prezesa Zarządu Głównego TMLiKPW (przybyłych z Wrocławia, Warszawy, Poznania, Opola, Wałbrzycha, Tych, Koźuchowa),
- Założycielki i pierwszego Prezesa TMLiKPW – Stanisławę Balawender,
- Wójta Gminy Osiecznica – Waldemara Nalazek,
- Wójta Gminy Bolesławiec – Andrzeja Dutkowskiego,
- Prezesa Związku Sybiraków – Marii Niemczuk,
- Zastępcy Starosty – Stanisława Chojnickiego,
- Dyrekcji, nauczycieli orz Dziecięcego Chóru Gimnazjum nr 2,
- Dyrektorki Muzeum Ceramiki – Anny Bober-Tubaj,
- Nauczycielki ZSOiZ, koordynatora Projektu „Mogilę pradiada ocalić od zapomnienia” – Barbary Smoleńskiej

oraz licznie zgromadzonych Kresowian i mieszkańców Bolesławca.



W CIK „Orzeł” odbyło się posiedzenie ZG TMLiKPW, promocja książki oraz wystawa

O historii powstania TMLiKPW w Bolesławcu opowiedziały trzy osoby:

– Stanisława Zięcik: Początki zasiedlania Bolesławca po II wojnie światowej przez Polaków przybywających z różnych stron Europy i świata.



Stanisława Zięcik

– Stanisława Balawender: Jak powstało TMLiKPW w 1989 r. Formy działania w zakresie integracji Kresowian na terenie Bolesławca. Wycieczki do miejsc urodzenia, pól bitew i sanktuariów. Pomoc kościołom na Kresach i wmurowaniu tablicy pamiątkowej w kościele pw. Matki Boskiej Wniebowziętej w Bolesławcu.

– Mieczysław Sulikowski: Przedstawił obecny zakres działań TMLiKPW ze szczególnym uwzględnieniem współpracy z młodzieżą Gimnazjum Samorządowego nr 2 im. „Polaków zesłanych na Sybir” i ZSOiZ im. mjr. H. Sucharskiego.

Staraniem dyrekcji, nauczycieli i młodzieży Gimnazjum nr 2, a także nauczycieli i uczniów innych szkół przy olbrzymim wsparciu Muzeum Ceramiki – Działu Historii Miasta, dzisiaj zaprezentowana zostanie książka zawierająca biogramy 62 osób pt. „Ocalić od zapomnienia – wspomnienia Bolesławieckich Kresowian”.

Od kilku lat młodzież ZSOiZ uczestniczy w Projekcie: „Mogilę pradiada ocalić od zapomnienia”. Jest to

akcja nie tylko porządkowania polskich cmentarzy, ale i zbiórka przyborów szkolnych i polskich książek dla ukraińskich dzieci. To także regularne dostarczanie zniczy na polskie groby pozostawione na Kresach II Rzeczypospolitej.

Jubileusz 25-lecia istnienia TMLiKPW w Bolesławcu był okazją do licznych wystąpień, podziękowań, dyplomów i odznaczeń.

Na zakończenie Prezes Michał Wojdyła powiedział, że to dzięki współpracy i dużemu zaangażowaniu władz miasta, Starosty, Wójtów Gmin, Dyrektora Gimn. nr 2 – Marii Subik, Dyrektora Muzeum Ceramiki – Anny Bober-Tubaj, Dyrektora BOK-MCC – Ewy Lijewskiej-Ma-

łachowskiej, Grzegorza Jankowskiego z Gimn. nr 2, który to był inicjatorem utworzenia z gimnazjalistów „Ułanów Kaniowskich” oraz członkom Zarządu TMLiKPW w Bolesławcu, jubileusz nasz miał bardzo uroczysty charakter, a dla Kresowian był wielkim przeżyciem.

Od godz. 17.00 na Placu ks. J. Popiełuszki rozpoczęły się występy zespołów artystycznych. Na szczególną uwagę zasługiwał Chór z Kędzierzyna-Koźła, laureat licznych konkursów pieśni kresowych. Wystąpił też zespół wokalnoinstrumentalny „Winne grona” z Zielonej Góry oraz młodzieżowe zespoły „Howerla” i „Nadija”. □

## Michał Wojdyła prezes Oddziału Bolesławiec

Michał Wojdyła urodził się 22 listopada 1937 r. w Połonicach, małej wsi koło Lwowa. Był synem Mikolaja Wojdyły i Stanisławy z domu Zawadzkiej, która pochodziła z miejscowości Żurawiki. Mama zajmowała się rodziną. Miał troje rodzeństwa, w 1939 r. urodził się brat Tadeusz, już po wojnie w 1947 r. na świat przyszła siostra Krzysztofa, w 1949 r. brat Roman. Michał Wojdyła naukę rozpoczął jako sześciolatek w Przybysławicach k. Tarnowa. Po przybyciu na Ziemia Zachodnie naukę kontynuował w Przejęsławiu i Żaganii, tam też ukończył szkołę zawodową. Jako nastolatek grał w piłkę nożną w „Stali Ławszowa”. Był wyróżniającym się zawodnikiem. W 1955 r. został wysłany na kurs instruktorów wychowania fizycznego do Przemyśla, a następnie w ramach zgrupowania Służba Polsce skierowano go do Warszawy na uroczystości 22 lipca i do obsługi festiwalu młodzieży i studentów. Wspomina, że wiele tam przeżył, poznał mnóstwo zacnych ludzi. To była dla niego prawdziwa szkoła życia.

Od urodzenia mieszkał z rodzicami w Połonicach, wsi leżącej nad rzeką Pełtew. Połonice liczyły wtedy ok. 1000 mieszkańców (588 Polaków, 317 Ukraińców i 47 Żydów).

Po zmobilizowaniu ojca w 1939 r. pozostał z matką i bratem w nowo wybudowanym domu, który składał się z dwóch izb i sieni. Na Kresach mieszkał do 1943 r. i z tego okresu pamięta kilka tragicznych historii. Wspomina dzień, kiedy matka poszła pożegnać się z uciekającymi przed banderowcami rodzicami ojca. Uciekali do Biłki Królewskiej, gdzie znajdowała się dobrze zorganizowana polska samoobrona. Podczas jej nieobecności doszło we wsi do strzelaniny, banderowcy mordowali przypadkowych mieszkańców. Zginęło dziewięć osób. Michał z młodszym bratem schowali się pod łóżko i z lękiem oczekiwali powrotu mamy. Kiedy w drodze powrotnej przechodziła przez most na rzece Pełtewi, zatrzymał ją banderowiec, który kazał jej się odwrócić i wymierzył w nią broń. Przed wystrzałem powstrzymał go znajomy Ukrainiec. Matka wróciwszy do domu długo płakała, tuląc do siebie synów. Wieczorem do domu przyszedł sąsiad, mówiąc że w nocy upowcy chcą ich wymordować. Ukrył Michała wraz z bra-

tem w swoim domu. Ułożył ich do snu razem z własnymi dziećmi. Mamie kazał spędzić noc poza domem. Kiedy rano wrócili, ich oczom ukazał się przerażający widok. Dom był zdewastowany. Poprzewracane meble leżały na zerwanej podłodze wśród porozbijanych naczyń. Widząc co się stało, matka zabrała dzieci oraz najpotrzebniejsze rzeczy i udała się do Zadwórze do brata kolejarza. Wuj Michał był jednym z organizatorów transportów do Polski.

Michał Wojdyła ze wzruszeniem wspomina, kiedy siostra jego ojca – Józefa wyszła za mąż za Piotra Krawczuka. Był on Ukraińcem. W czasie działań wojennych dostał rozkaz od banderowców, by zabić swoją żonę i dziecko. Mężczyzna nie chciał do tego dopuścić, więc postanowił uciekać. Wiedział, że sprzeciwiając się rozkazowi dowódców, ściągnął wyrok także na siebie. Aby ratować bliskich i siebie, wznicił pożar na torach kolejowych między Zadwórzem a Lwowem. Kiedy, zmuszony do tego, maszynista zatrzymał pociąg, Piotr wprowadził do niego rodzinę. W ten sposób uciekł przed egzekucją do Lwowa. Stamtąd transportem udał się do Polski.

Michał Wojdyła zapamiętał wiele tragicznych wydarzeń z czasów, kiedy był małym chłopcem. W pobliżu jego domu znajdowało się żydowskie getto. Tuż obok niego sad, który graniczył także z jego domem. Oddzielała je jedynie droga, która prowadziła do rzeki. Żydzi każdego ranka zmuszani byli brać kąpiel w Pełtewi. Pewnego dnia, kiedy jego matka była zajęta pracami w ogrodzie, Michał rzucił głęby kapusty przechodzącym obok więźniom. Jeden ze strażników zauważył to i podbiegł do niego z pejczem, zamachnął się. W ostatniej chwili uratowała go matka, osłaniając własnym ciałem. Gdyby nie jej reakcja chłopiec mógłby zginąć. Kobieta długo leczyła głęboką ranę biegnącą przez całe jej plecy. Nie może też zapomnieć dnia, w którym jego matka pokazała mu doszczętnie spalony przez OUN-owców dom. Pamięta, że nienaruszone przez ogień pozostały jedynie komin i krzyż. Przed oczami ma wciąż widok furmanki wiozącej spalone ciała mieszkańców domu. Z dziecięciosobowej rodziny uratowała się tylko najstarsza córka, która w czasie napadu przeżywała poza domem.



*Ewakuacja rodzin z Połonic do Biłki Królewskiej, 1943 r.*

Michał Wojdyła wspomina również historię swojej ciotki, Anieli, która wyszła za mąż za Piotra Bieleckiego. Posiadali duże gospodarstwo. Dobrze im się wiodło. Jednak w 1940 r. nie chcieli oddać dobrowolnie



*Pierwsza Komunia Święta Michała i Tadeusza*

swojego gospodarstwa i wstąpić do kolchozu. Zostali więc wywiezieni do Kazachstanu. Małżeństwo podczas podróży straciło dziecko. Nie mogąc go pochować, rodzice przykryli jego ciało gałęziami. W Kazachstanie Piotr został zatrudniony do pasienia świń, a Aniela pracowała przy hodowli zwierząt. Warunki życia były bardzo ciężkie. Oboje, by przeżyć, kradli paszę, która stanowiła ich jedyne pożywienie. Przy pierwszej okazji Piotr wstąpił do wojska rosyjskiego. Dostał wtedy rosyjskie obywatelstwo i wyjechał na wojnę. Po jej zakończeniu jego żona wraz z drugim dzieckiem pierwszym transportem przyjechała do Polski. Mężczyzna nie wiedząc o tym, wrócił do Kazachstanu. Po pewnym czasie dołączyli do niego ponownie najbliżsi. Rodzina długo walczyła o odzyskanie obywatelstwa polskiego. W tym celu napisali do Stalina wiele listów. Dopiero po pięciu latach starani mogli na stałe osiedlić się w Polsce.

Na ziemi dzisiejszej Polski rodzina Wojdyłów przybyła w lipcu 1943 r. Wyruszając w drogę uczestnicy transportu śpiewali pieśń "Serdeczna Matko". Do dziś Michał Wojdyła ma łzy w oczach, kiedy słyszy ją w kościele. Podróż odbywała się w wagonach bydłowych, w każdym po kilka rodzin oraz bydło. Wojdyłowie jechali wraz z rodziną Basalskich – pięć osób, Orłowskich – cztery osoby, Bąków – dwie osoby. Jazda z Lwowa do Brzeska trwała trzy tygodnie. Następnie rozwiązano ich furmankami po okolicznych wsiach. Rodzina Michała, Basalscy i Orłowscy trafili do wsi Przybysławice. Wraz z mamą i bratem zamieszkali u rodziny państwa Grudniów. Mieszkali tam od 1943 r. do 1946 r.

Po latach, czasie odwiedzin u rodziny Grudniów, ich córka Gienia opowiedziała dwie historie z tamtych czasów. Pierwsza mówiła o tym, jak mały Michałek z wozu konnego jadącego do przeprawy na Dunajcu kradł Niemcom chleb, którym żywiły się trzy rodziny. Druga opowiadała o przenoszeniu przez linie frontu niemieckiego puszek z karbidem, na których, pod naklejonymi gazetami były umieszczane tajne meldunki.

W 1946 r. Stanisława Wojdyła, matka Michała, dowiedziała się, że jej mąż wrócił z niewoli i przebywa w Białej Prudnickiej na Śląsku Opolskim. Pracował tam w PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny). W drodze do męża zatrzymała się wraz z dziećmi na dworcu w Katowicach. Położyła je na ławce dworcowej i sama poszła dowiedzieć się o dalsze połączenie. Tymczasem ojciec, dowiedziawszy się, gdzie przebywa rodzina, jechał do nich. Na dworcu w Katowicach doszło do spotkania. Mało brakowało, a minęliby się. Na szczęście ojciec poznał pleś, którym byli przykryci chłopcy. Dalej już pojechali razem. W 1947 r. Mikołaj Wojdyła został przeniesiony do Przejęśławia, na tereny Dolnego Śląska, gdzie z nadleśniczym, panem Bolsewiczem, zaczęli organizować Lasy Państwowe.

Michał Wojdyła zatrudniony był w przemyśle drzewnym na stanowisku kierowniczym. W 1962 r. przeniósł się do firmy „Transbud”. Pracował tam 29 lat na różnych stanowiskach, począwszy od kontrolera technicznego, poprzez dyspozytora, kierownika działu, do dyrektora oddziału w Jeleniej Górze. W tym czasie ukoń-

czył szkołę średnią i podjął studia ekonomiczne we Wrocławiu. W latach 1972–1973 oddelegowano go z „Transbudu” do firmy „Budimex”, skąd został wysłany do Czechosłowacji, aby nadzorować budowy w Pradze. W 1991 r. Michał przeszedł na emeryturę, mimo to wciąż pracuje i udziela się społecznie. Szkoli operatorów wózków widłowych oraz pracowników w zakresie BHP.

Od 1 stycznia 1994 r. Michał Wojdyła jest członkiem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, od 2010 r. jego prezesem, a od dwóch lat członkiem Zarządu Głównego. Przyczynił się do odbudowy kościoła pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Bolesławcu. Był prezesem Stowarzyszenia Rodzin Katolickich, które powstało z inicjatywy księdza Władysława Rączki, jest przewodniczącym Koła Pomocy Dzieciom i Młodzieży Niepełnosprawnej Intelakualnie w Bolesławcu, w którego ramach organizuje liczne wycieczki i spotkania. W latach 90. XX w. około dziesięć razy współorganizował i uczestniczył w podróżach, których celem było wsparcie mniejszości polskiej żyjącej na Kresach. Odbywało się to w ramach pielgrzymek na Kresy Południowo-Wschodnie. Przyczynił się do renowacji kościoła w Buczaczu.

Michał Wojdyła otrzymał różne odznaczenia za pracę. Złotą Odznakę za zasługi w pracy związkowej i

zawodowej, Odznakę Zasłużony dla Budownictwa i przemysłu Materiałów Budowlanych, Odznakę Zasłużony dla Budownictwa Dolnego Śląska, Złotą Odznakę Zasłużony dla Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

W 1963 r. Michał Wojdyła zawarł związek małżeński z Janiną Hołdyk, która pracowała w Urzędzie Gminy w Osiecznicy, a następnie w Urzędzie Skarbowym w Bolesławcu. W 1963 r. na świat przyszedł jego syn Jarosław, który aktualnie jest żołnierzem zawodowym w stopniu podpułkownika. W 1965 r. urodził się syn Tomasz – nauczyciel wychowania fizycznego. W 1995 r. jego żona Janina zmarła. Aktualnie pozostaje w nowym związku.

Michał Wojdyła bardzo lubił grać w piłkę nożną. Jego pasją było i jest fotografowanie, filmowanie i pielęgnowanie ogrodu. Interesuje się też turystyką, zwiedził niemal całą Europę. Pomaga również materialnie Polakom zamieszkującym na Wschodzie w ramach pielgrzymek na Kresy.

**Opracowały: Daria Chłopicka, Adrianna Gabrych**  
Gimnazjum Samorządowe nr 2  
im. Polaków Zesłanych na Sybir w Bolesławcu

---

Zdzisław Mirecki

## Adam Waclaw Kowalski

Fragment książki „Ocalić od zapomnienia – wspomnienia Bolesławieckich Kresowian”



Adam Kowalski

Adam Waclaw Kowalski urodził się 24 grudnia 1907 r. w Drohobyczu. Pierwsze imię otrzymał po ojcu, ale też nawiązywało ono do biblijnego Adama. Szkołę powszechną ukończył w Borysławiu, a średnią techniczną w Drohobyczu. Aktywność zawodową rozpoczynał w Spółce Akcyjnej GAZOLINA w Borysławiu jako współwłaściciel szybu naftowego. Będąc już członkiem PCK, ukończył kurs ratownictwa ogólnego i przeciwgazowego dla instruktorów drużyn ratowniczych. Dzięki zdobytym umiejętnościom uratował kilku pracowników

szybu naftowego w czasie pożaru. W 1933 r. był delegatem okręgu lwowskiego na Międzynarodowym Zjeździe Działaczy Czerwonego Krzyża we Wrocławiu (wówczas Breslau). W 1937 r. został doceniony przez redakcję miesięcznika PCK, która w 4 numerze tegoż czasopisma umieściła obszerny artykuł na temat jego osiągnięć w szkoleniach drużyn ratowniczych. Adam Kowalski mieszkał w Drohobyczu przy ul. Stryjskiej 127. Był zamożnym człowiekiem. Znał wielu mieszkańców Drohobycza, a wśród nich wybitnego prozaika i grafika Brunona Schulza, autora m.in. „Sklepów cynamonowych”. Utrzymywał przyjazne kontakty z miejscowymi polskimi Żydami. Tuż przed wybuchem II wojny światowej ożenił się z Marią Braczkowską. W Drohobyczu urodzili się synowie Kowalskich – Janusz w 1941 r. i Robert w 1945 r.

Okres okupacji sowieckiej był dla niego bardzo trudny – dwukrotnie przeżył rewizje NKWD. Dzięki pomocy niejakiego Sznyta, Żyda, kolegi z czasów szkolnych, który był we władzach sowieckich, udało mu się uniknąć zsyłki na Sybir.

W czasie okupacji niemieckiej w trakcie poszukiwań żywności został zatrzymany przez tzw. banderowców, którzy wyłapywali Polaków. Uniknął śmierci ponieważ

znał język ukraiński i podał się za Ukraińca. Sam pomagał potrzebującym jako wolontariusz. Kiedy skończyła się wojna, nowa władza sowiecka nie pozwoliła mu wyjechać do Polski, bowiem miał wykształcenie techniczne. Adam Kowalski, przewidując trudności, wcześniej wysłał do kraju żonę z małym Januszem i kilkumiesięcznym Robertem. Nie czekając na zgodę miejscowych władz, uciekł do Polski w ostatnim transporcie odchodzącym z Drohobycza 15 sierpnia 1945 r.



Obelisk poświęcony mieszkańcom przybyłym do Bolesławca w 1945 r.

32 wagony towarowe z ponad setką rodzin dotarły do Bolesławca nad ranem 17 września 1945 r. Na skwerze przed dworcem kolejowym stał fortepian, na którym nauczycielka z transportu, Anna Okoń, zagrała Mazurka Dąbrowskiego i „Boże, coś Polskę”. W mieście byli już inni Polacy, głównie z centralnej Polski oraz powracający z przymusowych robót w Niemczech.

Rodzina Kowalskich zamieszkała przy ul. Kutuzowa, a Adam podjął pracę przy dozorcze bydła w majątku Wojska Polskiego w Brygadowcach Łużyckich (dziś: Suszki).

W 1950 r. zdał egzamin mistrzowski i rozpoczął działalność rzemieślniczą, którą zapoczątkował kilka lat wcześniej, zakładając prowizoryczny warsztat naprawy zegarków. Był jednym z pionierów bolesławieckiego rzemiosła. Między innymi z jego inicjatywy 10 lutego 1946 r. powstało Stowarzyszenie Rzemieślników i Kupców, które wiosną 1946 r. przekształciło się w Cech Rzemiosł Różnych. Działalność rzemieślniczą Adam Kowalski zakończył w 1950 r., a następnie podjął pracę na stanowisku kierownika przy uruchomieniu Spółdzielni Pracy Metalowej – odlewni żeliwa przy ul. Polnej. W tym czasie działał w Stronnictwie Demokratycznym. Jego pasją było fotografowanie, dlatego na początku 1961 r. wraz z żoną zajęli się prowadzeniem sklepu „Foto-optyka”. W 1972 r. Adam Kowalski przeszedł na zasłużoną emeryturę.

W wolnym czasie poświęcał się pasji kolekcjonowania znaczków pocztowych i monet, których zbieranie

rozpoczął jeszcze przed wojną w Drohobyczu. Jego wielkim marzeniem było naprawienie wykonanego w 1885 r. w Głogowie, zniszczonego przez pocisk w 1945 r., zegara z bolesławieckiego ratusza. Okazja do tego nadarzyła się w 1977 r. podczas remontu wieży ratuszowej. Adam Kowalski dokonał gruntownej renowacji ważącego 4 tony zegara, który własnoręcznie nakręcał aż do 2000 r.

Rada Miasta uchwałą z dnia 31 marca 2004 r. nadała temu zegarowi nazwę „Kuranty Pana Adama”. Adam Kowalski zajmował się również renowacją innych czasomierzy – w kościołach i ratuszach, m.in. w Legnicy, Krotoszynie, Krośnie, Złotoryi, a także zabytków sakralnych w kościele parafialnym w Bolesławcu przy ul. Zamkowej. W jego mieszkaniu na wszystkich ścianach wisiały zegary, a na stolikach i komodach stały budziki. Tworzył także nowe, wykorzystując jako cyferblaty stare płyty gramofonowe. Umieszczał na nich swój znak firmowy ADWAKO.

Po wycieczce wspomnieniowej do Drohobycza, w czerwcu 1992 r., znalazł się w gronie założycieli koła Towarzystwa Przyjaciół Drohobycza. Wspierał finansowo i organizacyjnie grupy młodzieży polskiej ze Lwowa i Krzemieńca oraz zespół „Odrodzenie” z Drohobycza, które wielokrotnie gościły w Bolesławcu w latach 1997–2000. Jego największym pragnieniem było upamiętnienie przybycia Kresowiaków w 1945 r. do Bolesławca. Udało się to dzięki wsparciu Towarzystwa Miłośników Bolesławca, dokładnie w 50. rocznicę przybycia pierwszego transportu Polaków z byłych Kresów RP. 17 września 1995 r. na skwerze przed dworcem PKP w Bolesławcu odsłonięto obelisk z tablicą: „50 LAT MI-NEŁO... 17 WRZEŚIEŃ 1945-1995. PRZYBYLIŚMY Z KRESÓW WSCHODNICH – POZOSTALIŚMY TUTAJ. BĘDIEMY. OSADNICZY”.

Za działalność zawodową i społeczną Adam Kowalski otrzymał wiele odznaczeń: Krzyż Laterański w 1930 r., odznakę Za Zasługi dla Dolnego Śląska i Złoty Krzyż Zasługi w 1962 r., Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (Polonia Restituta) w 1972 r., srebrny medal Zasłużonemu Działaczowi Stronnictwa Demokratycznego, odznakę Za Zasługi dla Województwa Jeleniogórskiego, odznakę Zasłużony dla Miasta Bolesławca, złotą odznakę Zasłużony Filatelista w 1986 r., medal papieski, Odznakę Honorową PCK I stopnia (diamentową) w 1999 r. 26 września 2000 r. Rada Miasta Bolesławca w uznaniu pionierskich zasług przy odbudowie miasta, działalności społecznej i kulturalnej na rzecz Ziemi Bolesławieckiej nadała mu Honorowe Obywatelstwo Bolesławca. Podobny tytuł otrzymał w Złotoryi.

W 1984 r. zmarła żona Adama Kowalskiego, Maria, a w 200 r. pierworodny syn – Janusz. W marcu 2001 r. Adam Kowalski ożenił się ponownie, z Marią Chłodziak – Polką pochodzącą z Kresów (z Iwano-Frankiwska, dawnego Stanisławowa). Zmarł 5 grudnia 2003 r. przeżywszy 96 lat. Adam Kowalski nigdy nie mówił dokładnie, ile ma lat. Wiek podawał w milionach minut swojego życia. Był człowiekiem niezwykłym, choć bardzo skromnym. Mieszkańcy Bolesławca zapamiętali go jako statecznego, starszego pana w garniturze i okularach, spacerującego codziennie od ul. Kutuzowa do Rynku, wielkiego pasjonata i społecznika. □

# VI Edycja Konkursu Powiatowego „Lwów – zawsze wierny”

(Przedruk z: „Życie Częstochowy” z dn. 6–8.06.2014 r.)

W Gimnazjum nr 21 im. Orłąt Lwowskich w dniu 22.05.2014 r. odbyła się VI Edycja Konkursu Powiatowego „Lwów – zawsze wierny” pod honorowym patronatem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. W komisji zasiadał prezes Towarzystwa Wacław Baczyński, który zmarł 29 marca 2014 r. Dyrektorka Iwona Zakrzewska przedstawiła jego biografię, mówiła o działalności społecznej i wieloletniej pomocy dla naszej szkoły. Uczestnicy konkursu uczcili pamięć Wacława Baczyńskiego minutą ciszy. Konkurs zaszczyli swoją obecnością członkowie TMLiKPW: Małgorzata Deska Prezes TMLiKPW, Stanisław Gmitruk Dyrektor Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, Jerzy Skibiński wiceprezes, Zbigniew Kliszczak sekretarz Towarzystwa.

Do udziału w konkursie zgłosiły się częstochowskie gimnazja nr 8, 9, 16, 21, 12, 24 oraz gimnazja z Kru-

szyny, Mstowa i Mykanowa. Uczniowie zmierzli się z testem z historii Lwowa oraz z zagadnieniami dotyczącymi zabytków. Mogli się także wykazać znajomością biografii Polaków związanych z Lwowem. I miejsce zdobyli przedstawiciele gimnazjum nr 9 Patryk Brodek, Klaudia Rychter, II miejsce gimnazjum nr 21 Paulina Zembik, Krzysztof Kokoszczak, III miejsce Gimnazjum nr 12 Aleksandra Kożuch i wyróżnienie gimnazjum nr 16 Bartłomiej Kobytkiewicz, Olga Pitula. Nagrody rzeczowe dla zwycięzców w postaci wspaniałych książek ufundowało TMLiKPW i Rada Rodziców przy gimnazjum nr 21. Konkurs został przygotowany przez Panią Bogumiłę Kogut i Panią Bożenę Policińską. Impreza miała na celu zainteresowanie historią Lwowa i propagowanie wśród młodzieży pozytywnych wzorców Orłąt Lwowskich. □

Janusz Sekulski

## Polski Holokaust – Zagłada

W piątek 11 lipca 2014 roku w Gnieźnie obchodzono 71. rocznicę rzezi na Wołyniu i w Polsce Południowo-Wschodniej.

Organizatorami obchodów był gnieźnieński Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wspólnie ze Starostwem Powiatowym w Gnieźnie.

Uroczystość rozpoczęliśmy Mszą św. koncelebrowaną, której przewodniczył ks. prałat dr Krzysztof Stawski w obecności księży kanoników dr. Jana Szreitera i Macieja Ciesielskiego.

Kazanie wygłosił ks. dr Jan Szreiter przypominając ogrom zbrodni dokonanej na Polakach na ziemi, która od wieków należała do Polski. Modlono się za ofiary rzezi, jak i za ich oprawców. Dalsza część uroczystości odbywała się przy Tablicy–Krzyżu Katyńskim, Miejscu Pamięci wielu uroczystości patriotycznych w polskiej historii organizowanych przez nasz oddział.

Obecni byli m.in. prezydent Gniezna Jacek Kowalski ze swoimi zastępcami, przewodnicząca Rady Miasta Maria Kocoń, starosta gnieźnieński Dariusz Pilak, dyrektorzy szkół z młodzieżą, radni miasta i powiatu, senator RP Piotr Gruszczyński. Uroczystości towarzyszyły poczty sztandarowe wojska, żołnierzy Armii Krajowej, Powiatowej Straży Pożarnej, gnieźnieńskich szkół.

Po hejnale wojskowym i odśpiewaniu Hymnu Państwowego głos zabrał prezes gnieźnieńskiego Oddziału TMLiKPW Janusz Sekulski. Powiedział m.in.:

### „Nieukarane ludobójstwo!

Terror ludności polskiej na Wołyniu i południowo-wschodniej części II Rzeczypospolitej rozpoczął się



W Gnieźnie 11 lipca wspominano ofiary rzezi na Wołyniu

w 1942 roku po likwidacji gett dokonanej przez hitlerowców z udziałem policji ukraińskiej i ukraińskich nacjonalistów. Pierwsza masowa zbrodnia miała miejsce w listopadzie 1942 roku w powiecie luckim, w której zamordowano 37 Polaków. Niedługo po tym wydarzeniu nacjonaści ukraińscy przystąpili do eksterminacji ludności polskiej. Na większe skupiska Polaków napadali zbrodniarze UPA i część ludności ukraińskiej... W zagrożonych wsiach i osadach powstawały samorzutnie placówki samoobrony. Były one jednak za słabe, aby skutecznie przeciwstawić się uzbrojonym bandytom... Przykładem heroicznej polskiej obrony była baza w osiedlu Przebraże, w której schronienie znalazło kilka tysięcy osób... 11 lipca 1943 roku był dniem wyjątkowych zbrodni. W ponad stu miejscowościach bandy UPA dokonały masowych mordów. W tym dniu w Porucku podczas Mszy św. uzbrojony oddział UPA zamor-

dował dwustu Polaków, w tym odprawiającego nabożeństwo proboszcza poryckiej parafii ks. Bolestawa Szawłowskiego... Polaków zabijano bez względu na wiek i płeć. Odrąbano głowy, nogi, ręce, wylupywano oczy, podpalano i topiono w studniach... Przed kilkoma dniami przeczytałem relacje 12 Polaków, którzy przeżyli ludobójstwo na Wołyniu, m.in.: Iwony Gajowczyk, Zofii Arenowicz, Młchała Wojczyszyna, Jadwigi Krajewskiej. »Przed domem leżały trupy mężczyzn i kobiet okrutnie porąbanych siekierą, mama upadła i wypuściła z rąk brata Tadzia, ja z przerażenia krzyczałam. Mama czołgając się przygarnęła do siebie płaczącego i zakrwawionego Tadzia, dała mu pierś, podbiegli banderowcy do mojej mamy i poobcinali piersi... Mojej sąsiadce Wasylkowskiej odrąbali na pieńku głowę. Mamie... obcięli skórę na plecach i rzucili jak kota w mrowisko.. Odrąbana i leżąca obok głowa sąsiadki była cała pokryta mrówkami... Nad ranem znalazłem na podwórku zwłoki mojego ojca. Miał poderżnięte gardło. Matkę znalazłem w mieszkaniu, miała na gardle ranę kłutą zadaną bagnetem. Siostra Helena otrzymała głęboki cios siekierą w głowę, morderca pozostawił w niej siekierę, najmłodszy brat Tadzio – lat 2 leżał cały we krwi z rozstrzaskaną główką i wbitym w piersi nożem... Obok leżał 16-letni brat Tomek. Kiedy go oglądałem sprawiał wrażenie bryły zmasakrowanego mięsa... Na Wielkanoc do Ternerówki na rezurekcję poszło 20 chłopaków. Żaden z nich nie wrócił. Wszyscy zostali pomordowani i to w okrutny sposób. Najstarszy miał tylko głowę przekreśloną w drugą stronę. Młodszych Ukraińcy mordowali w bardziej wyrafinowany sposób. Mieli obcięte języki, genitalia, obdzierano ich ze skóry.«

Dalej już nie mogłem czytać.

Szanowni Zebrani!

To właśnie była zagłada Polaków. Polski Holokaust.

Zaczął się spełniać pakt Ribbentrop-Mołotow, dotyczący likwidacji narodu polskiego. Wcześniej był Katyń, Ponary i inne miejsca kaźni i zbrodni. Nazywamy to bez żenady ludobójstwem. Dzień 11 lipca ma zostać uznany Świętem Narodowym Mordu na Wołyniu i w Polsce Południowo-Wschodniej. Od wielu lat pomimo wystąpień nie tylko organizacji kresowych do najwyższych władz nie doczekaliśmy jasnej odpowiedzi. My musimy jako ludzie, jako patrioci zawsze pamiętać, szczególnie o Wołyniu, gdyż ta pamięć była przez długie lata zapomniana przez błędne pojęcie układów politycznych. Prawda jest najważniejsza i tą prawdę trzeba podkreślać... Politycy ukrywają albo nie chcą znać prawdy, a na Ukrainie stawiane są pomniki Stepana Bandery, zbrodniarza, mordercy Polaków. Będziemy dążyć do prawdy i pamiętać o tej strasznej rzezi, o tym ludobójstwie.. Sumienie świata woła o świadectwo prawdzie.»

Następnie głos zabrał starosta Dariusz Pilak. O prawdzie rzezi wołyńskiej, jak powiedział, usłyszał od naocznego świadka tych dramatycznych wydarzeń. Powiedział m.in.: „Jeśli ktoś traci własną matkę, której ktoś wbija topór w plecy, jeśli ktoś przez najbliższego sąsiada zabity, to staje się dramatem na całe życie... Jeśli ma dojść do pewnego porozumienia między narodami polskim i ukraińskim, musimy wziąć przykład, to jest czas wielkiego przemyślenia dla każdego z nas... Współcześnie regulując wzajemną relację obydwu narodów – wziąć przykład z tej trudnej lekcji prawdziwej historii i dojrzałej pokory”.

Po wystąpieniach prezesa i starosty zebrani wysłuchali koncertu skrzypcowego w wykonaniu uczennicy Państwowej Szkoły Muzycznej w Gnieźnie Anny Tanaś wnuczki członka naszego oddziału. Delegacje złożyły kwiaty i znicze przy Tablicy Pamięci.

Na zakończenie zebrani wspólnie odśpiewali Rotę. □

Janusz Sekulski

## Zawsze wierni Polsce

4 lipca br. to 73. rocznica mordu Profesorów wyższych uczelni Lwowa. W tym dniu, a ponadto 12 lipca 1941 roku naukowcy lwowskich wyższych uczelni zostali zamordowani wraz z rodzinami przez hitlerowców na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Oddzielnie 26 lipca 1941 roku rozstrzelany został prof. Kazimierz Bartel pięciokrotny premier rządu II Rzeczypospolitej. Gnieźnieński oddział naszego Towarzystwa w sposób szczególny oddał hołd pomordowanym.

Uroczystość w dniu 4 lipca 2014 roku rozpoczęła się Mszą św. w Kościele Rektorskim św. Jana w Gnieźnie. Mszy św. koncelebrowanej przewodniczył ks. prałat dr Kazimierz Kociński w obecności księży kanoników dr. Jana Szrejtera i ks. dziekana dr. Andrzeja Grzelaka. Obecni byli m.in. Prezydent Gniezna Jacek Kowalski, Starosta Dariusz Pilak, przewodnicząca Rady Miasta Gniezna Maria Kocoń, radni miasta i powiatu, kombataneci.

W wygłoszonym kazaniu ks. dr Andrzej Grzelak przypomniał sylwetki zamordowanych, ich nie tylko polski, ale i światowy dorobek naukowy, okoliczności



*Kwiaty złożył starosta gnieźnieński Dariusz Pilak z członkami Zarządu Powiatu.*

ohydnej zbrodni dokonanej przez hitlerowskich oprawców, stratę jaką poniosła nie tylko polska nauka i kultura, wysiłki oprawców dla zatajenia zbrodni.

Po mszy uczestnicy uroczystości udali się do Kolegium Europejskiej Kultury Uniwersytetu Adama Mickiewicza – Oddział w Gnieźnie, gdzie naszym ogromnym wysiłkiem we wrześniu ub. roku umieszczona jest mar-

murowa tablica W Hołdzie Profesorom Wyższych Uczelni Lwowa Zamordowanych wraz z Rodzinami przez hitlerowców w lipcu 1941 roku na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie.

Przybyłych witał poseł na Sejm RP Paweł Arndt. Do zebranych w krótkich słowach zwrócił się prezes gnieźnieńskiego oddziału TMLiKPW Janusz Sekulski. Podkreślił ogromną wagę, jaką dla kultywowania pamięci dla dzisiejszych i przyszłych pokoleń, przede wszystkim młodzieży ma hołd oddany polskim uczonym, wielkim patriotom. Poświęcili wartość najwyższą, własne życie pozostając zawsze wierni Polsce. U dołu Tablicy Pamięci widnieje napis „FIDELIS SEMPER POLONIAE” – Zawsze wierni Polsce.

Modlitwę za pomordowanych profesorów odmówił ks. dziekan Andrzej Grzelak.

Delegacje złożyły kwiaty pod Tablicą Profesorów.

Na zakończenie uczestnicy uroczystości odśpiewali Rotę.

W gorących słowach prezes naszego oddziału podziękował za tak liczny udział w uroczystości szczególnie władz miasta i powiatu.

Uroczystość filmowana była przez Telewizję Gniezno. Prezes i poseł Arndt udzielili licznych wywiadów. Uroczystości towarzyszył poczet sztandarowy byłych żołnierzy Armii Krajowej. □

---

## 73. rocznica mordu Profesorów Lwowskich

Uroczystość rozpoczęła Msza św. w kościele Serca Pana Jezusa przy moście Grunwaldzkim we Wrocławiu. Na Mszę św. przybyli Kresowianie Lwowiacy i mieszkańcy Wrocławia. Przybyły poczty sztandarowe Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Zarządu Głównego i Zarządu Oddziału i poczty ze szkół. Mszę św. koncelebrowało czterech kapłanów, po zakończeniu której zebrani utworzyli pochód ze sztandarami i wiązkami kwiatów udając się pod pomnik. Pod pomnikiem zebrali się przedstawiciele i członkowie TMLiKPW, delegacje wrocławskich uczelni: Politechniki Wrocławskiej, delegacje wszystkich Rektorów Uniwersytetów Wrocławia oraz przedstawiciele władz miasta i samorządu Województwa Dolno-

śląskiego. Wartę honorową utworzyły poczty sztandarowe TMLiKPW z Wrocławia, Świdnicy, Kłodzka, Bractwo Kurkowe, studenci uczelni wrocławskich oraz młodzież szkół noszących imiona „Polskich Profesorów Lwowskich” i szkół związanych tradycyjnie z imieniem Lwowa. Uroczystość rozpoczęto odegraniem hymnu narodowego przez orkiestrę górniczą, następnie wystąpił z okolicznościowym przemówieniem Rektor Politechniki Wrocławskiej. Po wystąpieniu prowadzący zaproponował składanie wieńców wyczytując kolejność delegacji. Po złożeniu wieńców orkiestra zagrała kilka melodii wojskowych pieśni, natomiast pozostali mieszkańcy indywidualnie składali kwiaty i znicze. □

---

## Bogusława Romaniewska

### Minęło 25 lat – Dni Lwowa w Tarnowie 2014

25 lat działalności organizacji jest okresem, który nie tylko należy podsumować we własnym gronie, ale trzeba wyniki podsumowania przedstawić środowisku, w którym się działa. Jest to również okazja do świętowania. Obchody 25-lecia istnienia Oddziału TMLiKPW w Tarnowie połączono więc z uroczystościami Dni Lwowa w Tarnowie, które od wielu lat stały się corocznie obchodzonym świętem w naszym mieście.

25 lat minęło nam w pracy, w której staraliśmy się sprostać głównym celom statutowym, a przede wszystkim ocaleniu przed zapomnieniem i zniekształceniem historii kresowej, zachowaniu pamięci o polskim Lwowie, strzeżeniu pamiątek materialnych polskiej kultury i kultywowaniu tradycji kresowych oraz wspieraniu Rodaków pozostałych na Kresach, szczególnie dzieci. Zawsze podejmowaliśmy zadania zmierzające do osiągnięcia tych celów, dlatego dorobek naszego 25. rocznicy jest pokaźny.

Uroczystości chcieliśmy obchodzić wraz z naszymi przyjaciółmi z Kresów i z Kraju.

Nasze zaproszenie przyjęły polskie organizacje działające we Lwowie – Federacja Organizacji Polskich

na Ukrainie, z wiceprezes Teresą Dutkiewicz, Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej z Prezesem Emilem Legowiczem, Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie, z prezesem Janem Franczukiem, Towarzystwo Kultury Polskiej w Szczercu, z prezes Heleną Skoczył, a także opiekun polskich grobów, od lat ratujący je przed ruiną Józef Żak ze Lwowa. Przeszkodą w przyjeździe reprezentantów Polskich Szkół było przypadające w tym samym czasie zakończenie roku szkolnego na Ukrainie.

Gośćmi honorowymi uroczystości był prezes dr Andrzej Kaminski i delegacje z TMLiKPW z Krakowa i Kielc.

W wyrazie wdzięczności za wspieranie działalności Towarzystwa – przedstawicielom Urzędu Miasta Tarnowa, Gminy Tarnów i Starostwa Powiatowego, wręczono Medale 25-lecia TMLiKPW. Należy podkreślić, że na pomoc z tej strony Towarzystwo mogło liczyć niezawodnie od Władz wszystkich kadencji. Medal otrzymała również poseł Urszula Augustyn, na którą wspiera naszą organizację już kolejną, drugą kadencję.

Odznakami 25-lecia TMLiKPW odznaczono też poszczególne gości z Kresów, naszych sponsorów, pra-

owników administracji współpracujących od wielu lat z Towarzystwem, nauczycieli szkół z Tarnowa i Brzozówki oraz zasłużonych członków TMLiKPW.



Odznaczenia otrzymują pracownicy Urzędu Miasta Tarnowa, za wiele lat współpracy z Oddziałem.



Orlęta z Brzozówki hulają po Łyczakowie.

Nie było referatu prezentującego działalność Oddziału, ale tę treść zamieszczono w wyeksponowanej wystawie zdjęć, w wydanej folderze okolicznościowym, a przede wszystkim w scenariuszu części artystycznej i towarzyszącej mu emisji slajdów, w których na tle wojennych i powojennych losów kresowian przedstawiono historię powstania i działalności tarnowskiego Oddziału TMLiKPW. W występie uczestniczyli uczniowie szkół współpracujących z Towarzystwem: Szkoły Podstawowej nr 9 im. Orłąt Lwowskich w Tarnowie, pod kierownictwem Renaty Sobkowiak – Zabawy, Szkoły Podstawowej im. Orłąt Lwowskich w Brzozówce, pod kierunkiem Ewy Stępień i Piotra Kity, Chór z Gimnazjum nr 1 w Tarnowie, pod dyrekcją Joanny Stępień, uczniowie – narratorzy z Zespołu Szkół Ekonomiczno-Gastronomicznych w Tarnowie, przygotowani przez Małgorzatę Skrabacz i Małgorzatę Bystrowską i uczniowie VI LO – recytatorzy z Zespołu Kurtyna, przygotowani przez Katarzynę Majkę. Chociaż zamiarem było przedstawienie w scenariuszu faktów, występ zawierał wiele momentów wzruszających, stąd widzowie niejednokrotnie ocierali łzy. A był to taniec Orłąt Lwowskich wg choreografii Renaty Sobkowiak-Zabawy, w którym zdławione przez wroga Orłęta wydobywają zwycięsko biało-czerwone flagi, marsz Sybiraków w wykonaniu Piotra Kity, wspomnienie w narracji i wierszu Krystyny Angielskiej postaci zasłużonego prezesa – śp. inż. Adama Lewickiego, pieśni w wykonaniu Chóru z Gimnazjum nr 1, a także strofy utworów Mariana Hemara, wzruszająco deklamowane przez uczniów Ze-

społu „Kurtyna”. Tak jak w życiu, były też radosne momenty – walczyk lwowski, wykonany przez tarnowskie Orłęta i rewelacyjny występ Orłąt z Brzozówki, które tańczą, śpiewają i posługują się bałakiem tak, jakby pochodziły z Gródka, czy Łyczakowa.

Ćwierć wieku, to długi okres, szczególnie dla nas – osób, które już wiele doświadczyły w swoim życiu, a przeważnie takie zainicjowały działalność Towarzystwa. Wielu z nich, już na zawsze odeszło. Im oddano hołd minutą ciszy i wyświetleniem ich zdjęć po strofach M. Hemara :

*Coraz tu ktoś upada obok.  
Coraz topnieją nasze rzędy  
i dawnej słycać krzyk komendy „SZLUSUJ!”  
I ścieśnia się czworobok  
I zamykają się szeregi,  
bez przyjaciela,  
bez kolegi.*



Pieśń „Harcerska dola radosna” w wykonaniu druhow ze Szkoły Orłąt w Tarnowie



Po wspólnej modlitwie pod Lwowskim Kurhanem na Starym Cmentarzu w Tarnowie

A na zakończenie, przekazane słowami M. Hemara przesłanie:

*Jesteśmy tylko po to  
By pamiętać, pamiętać o mieście zdradzonym  
I cień jego w piosnkę zaklinać –  
I w wiersze ją zaplatać, melodią rozniecić  
I jeśli kto zapomniał – to mu przypominać  
I jeśli kto nie widzi – to mu w oczy świecić –  
I tych co już nie tęsknią – tęsknoty nauczać  
I tych, którzy nie wiedzą – do tej wiedzy zmuszać,  
Tym, co nie chcą pamiętać – pamięcią dokuczać.  
I tych, co już nie płaczą – znowu do łez wzruszać*  
uzasadniło celowość naszych działań.

W kolejnym dniu, odbyły się uroczystości religijne, oddanie hołdu ofiarom II wojny światowej – Rodakom z Kresów Południowo-Wschodnich przy Lwowskim Kurhanie na Cmentarzu Starym w Tarnowie, a wieczorem, koncert reprezentacyjnego Chóru „Jarosław” z Jarosława, dzięki któremu widzowie spędzili wieczór słuchając ballad i pieśni przedwojennej lwowskiej ulicy.

Sądzimy (posługując się znów słowami M. Hemara) iż przekazaliśmy społeczeństwu wyraźną deklarację, że:

*Nasz front,  
na wszystkich świata mapach  
tą samą wykreślony kreską.  
Ale pośrodku czworoboku  
jeszcze chorągiew wieje w mroku,  
a na niej krzyż z czarno – niebieską  
wstążką i Lew na tylnych łapach.*

## Elżbieta Kuśmiderska, Marianna Parczyńska

### 10 lat w TMLiKPW – Klub w Urzędowie

*Ziemi kresowa, ty nieugaszony  
Zniczu, Feniksie wstający z popiołów...*

J. Narbutt

Może ktoś pomyśli, dlaczego taki klub powstał w miejscowości, w której nie ma Kresowian? Żeby to zrozumieć, trzeba sięgnąć pamięcią do czasów, kiedy w świadomości urzędowian żyły tragiczne wydarzenia z obrony Lwowa. Wstrząsające wieści z walk o ukochane miasto przekazali mieszkańcom Urzędowa żołnierze „Kompanii urzędowskiej”, którzy 20 listopada 1918 r. wyruszyli z Lublina na odsiecz Lwowa.

To nie przypadek, że w 1926 r. na historycznych wałach urzędowskich wzniesiono monument, poświęcony Orłętowi Lwowskiemu. Został on ufundowany przez dzieci i nauczycieli Szkoły Powszechnej w Urzędowie. Wykonawcą tego pomnika był Józef Rachwał – pedagog i rzeźbiarz, wywodzący się z Popkovic. Na uwagę zasługuje fakt, że trzon grona pedagogicznego w urzędowskiej szkole stanowili ludzie z Galicji. Ponadto wielu młodych urzędowian uczyło się w technikach rolniczych na Kresach i studiowało we Lwowie.

Trudno nie wspomnieć o tym, że w czasach stalinowskich „niewidzialna ręka”, znana tylko mieszkańcom Urzędowa, na polecenie wiadomych sił, zniszczyła z trudem wzniesiony pomnik, „ideał sięgnął dna farsy”.

A kiedy zaświtała „jutrzienka swobody”, w 1984 r. jako jedno z pierwszych na Lubelszczyźnie, powstało Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej. Prezesem tego stowarzyszenia od 1985 r. był prof. Ignacy Wośko.

W roku 1989 rozpoczęło działalność Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Lublinie, na czele którego stanął prof. Władysław Stążka.

Po renowacji pomnika Orłąt Lwowskich doszło do nawiązania współpracy między Towarzystwami. Przez wiele lat lwowianie z Lublina przyjeżdżali w dniu Święta Niepodległości do Urzędowa, gdzie przy pierwszym w Polsce pomniku Orłąt Lwowskich oddawali hołd dzieciom – obrońcom miasta „Semper Fidelis”. Ich obecność podnosiła rangę uroczystości. „Lwowiacy przyjechali” – dało się słyszeć wśród zebranych. Niewątpliwie był to wyraz sympatii. Równie serdecznie witał ich w kościele ks. kan. Aleksander Baca.

W miarę upływu czasu zacieśniały się więzi między lwowianami a urzędowianami. Spotykali się podczas



*Święto Patrona w Zespole Szkół im. „Orłąt Lwowskich” w Urzędowie. Przy mikrofonie obecny Jan Buraczyński prezes TMLiKPW*

Opłatków Lwowskich w Lublinie. Na jednym z nich, w 2003 r., Zbigniew Wojciechowski, wiceprzewodniczący Rady Miasta Lublin, zaprosił zebranych do udziału w „Opłatku Lwowskim” we Lwowie, organizowanym pod patronatem Prezydenta Lublina i Mera Lwowa. Uczestniczyli w nim: Bogusław Parczyński i Henryk Kowalczyk, dyrektor Szkoły Podstawowej w Skorzcycach. W kolejnych wyjazdach uczestniczyli: Jan Woźniak – wójt gminy Urzędów oraz liczni urzędowianie.

Fascynacja Lwowem i jego historią zaowocowała pomysłem nadania Zespołowi Szkół w Urzędowie imienia Orłąt Lwowskich. W związku z tym doszło do spotkania przedstawicieli Zarządu TMLiKPW z Radą Pedagogiczną Zespołu Szkół. Wówczas Marianna Parczyńska wyraziła wolę wstąpienia do TMLiKPW.

W odpowiedzi Andrzej Michałowski – sekretarz Stowarzyszenia oświadczył, że urzędowanie mogą sobie założyć swój klub.

4 czerwca 2003 r. Zespołowi Szkół prowadzonemu przez dyrektora Andrzeja Rollę nadano imię Orłąt Lwowskich. Nastąpiło to po uroczystej Mszy św. odprawianej przez abp. Józefa Życińskiego, w obecności przedstawicieli TMLiKPW, władz powiatowych, gminnych, pocztów sztandarowych, nauczycieli, rodziców, uczniów i przyjaciół szkoły.

Po uroczystości reprezentant Zarządu TMLiKPW zaprosił kilka osób do udziału w wycieczce „Szlakiem twierdz” po Ukrainie.



Muzeum Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu na Wołyniu. Wycieczka członków TMLiKPW w Lublinie

Wzrost zainteresowania Kresami i ich tradycją sprawił, że w 2004 r. aż pięć osób wyjechało na kolejny „Opłatek Lwowski” do Lwowa.

Staraniem dyrektora Andrzeja Rolli i zainteresowanych Klubem dnia 1 czerwca 2004 r. odbyło się zebranie założycielskie w obecności członków lubelskiego oddziału TMLiKPW i Wójta Gminy Urzędów. Na mocy uchwały TMLiKPW z kwietnia 2004 r. został powołany do życia Klub w Urzędowie z siedzibą w Zespole Szkół im. Orłąt Lwowskich. Wówczas został wybrany pierwszy zarząd, w skład którego weszli:

Bogusław Parczyński – prezes (dwie kadencje)

Andrzej Rolla – wiceprezes

Marianna Parczyńska – sekretarz

Longina Dzikowska – skarbnik

Henryka Paszkowska – członek

Waldemar Rzepecki – członek

Początkowo Klub liczył 15 członków, aktualnie – 36 i wielu sympatyków. W Zarządzie zasiadają:

Irena Sabeł – prezes

Bogusław Parczyński – wiceprezes

Elżbieta Smolińska – sekretarz

Maria Nawrocka – skarbnik

Helena Grzebuła – członek

Jan Surdacki – członek.

W ciągu 10 lat program Klubu był realizowany w oparciu o Statut TMLiKPW we Wrocławiu – Oddział w Lublinie.

– Członkowie gromadzili i utrwalali wiedzę o Kresach, wspomagali okazjonalnie Polaków żyjących na Wschodzie.

– Corocznie 11 listopada brali udział we Mszy św. w Bazylice Metropolitalnej we Lwowie, w ramach akcji „Światelko dla cmentarza Orłąt”, odwiedzali polskie groby na nekropoliach lwowskich, pamiętali również o miejscu straceń polskich profesorów na Wzgórzach Wuleckich.

– Współfinansowali nagrobek śp. Józefy Anny Wójtowicz, uczestniczki walk o Lwów, zasłużonej nauczycielki szkół we Lwowie, Urzędowie i Kraśniku Fabrycznym, spoczywającej na urzędowskim cmentarzu.

– Nawiązywali kontakt z polonią ukraińską, goszcząc w domach Polaków i klasztorach katolickich, uczestnicząc w występach chórów ze Lwowa (chór Katedry Lwowskiej im. Jana Pawła II), Grodna, Sambora i zespołu Lwowska Fala, koncertujących gościnnie w Urzędowie.

– Świętowali Dni Lwowa w Lublinie i Zamościu.

– Nasze Towarzystwo brało udział w poświęceniu urny z ziemią z Cmentarza Obrońców Lwowa w kościele pw. Wniebowzięcia NMP Zwycięskiej w Lublinie.

– Włączali się także w kultywowanie tradycji patriotycznych w środowisku poprzez uczestnictwo w obchodach świąt narodowych i ważnych rocznic: 3 Maja, 11 Listopada, 150 rocznicy wybuchu Powstania Styczniowego, Roku Leona Urlicha, 600-lecia Urzędowa i Święta Wojska Polskiego.

– Organizowali wieczorki, takie jak: andrzejki, ogniska, opłatki, podczas których prezentowane były zdjęcia z wycieczek i imprez klubowych.

– Prowadzili działalność animacyjną, organizując wyjazdy do teatrów, filharmonii, które integrowały ludzi, stwarzały okazję do niepowtarzalnych przeżyć estetycznych.

Organizatorami wycieczek byli: Marianna i Bogusław Parczyńscy, Irena Sabeł, Katarzyna Tomaszewska (sympatyk klubu), Elżbieta Kuśmiderska i Alina Rolla (Akcja Katolicka). Natomiast wyjazdami do Lwowa zajmował się wiceprezes TMLiKPW – Henryk Zięba.

Klub systematycznie współpracował z Zespołem Szkół – Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego im. Orłąt Lwowskich w Urzędowie. Corocznie brał udział w obchodach Dnia Patrona Szkoły, składając wiązanki kwiatów przy pomniku Orłąt w Urzędowie. Uczestniczył w obchodach jubileuszowych 50-lecia i 55-lecia szkoły oraz zjazdach absolwentów szkół rolniczych.

W ramach współpracy z TMLiKPW Oddział w Lublinie brał udział w corocznych spotkaniach opłatkowych we Lwowie, Lublinie i Urzędowie oraz w uroczystościach jubileuszowych. Podczas tych imprez były śpiewane pieśni kresowe i recytowane wiersze poetów wywodzących się z Kresów (grupa literacka „Preludium”).

Kilku członków Klubu prowadziło działalność popularyzatorską, zamieszczając artykuły w lokalnych czasopismach: „Głos Ziemi Urzędowskiej”, „Gazeta Urzędowska”, „Bractwo” (Irena Sabeł, Leszek Gozdalski, Marianna i Bogusław Parczyńscy, Andrzej Rolla, Jolanta Gruchalska, Urszula Lewandowska, Elżbieta Kuśmiderska).

Członkowie – Elżbieta i Kazimierz Smolińscy oraz Marianna i Bogusław Parczyńscy podejmowali pielgrzymów w ramach realizacji programu „Wielkanoc w Pol-

sce”, współpracując ze Stowarzyszeniami „Wspólne Korzenie” i „Wspólnota Polska”.

Marianna Parczyńska zajmowała się kolportażem książek i Kresach, autorstwa ks. ksn. Aleksandra Bacy i Jana Bułki – wysiedleńca z Mościsk na Ukrainie.

Powołany zespół redakcyjny opracował materiał, teksty do strony internetowej i folderu. W jego skład weszli: Irena Sabeł, Elżbieta Kuśmiderska, Marianna i Bogusław Parczyńscy, Andrzej Rolla, Katarzyna Tomaszewska i Lech Dudziński. Irena Sabeł – prezes Klubu oraz Lech Dudziński – pracownik GOK-u w Urzędowie wykonali wystawę odzwierciedlającą działalność Klubu w środowisku oraz odbyte wycieczki na Kresy, do Rosji i do Włoch. Irena Sabeł zajmowała się również prowadzeniem kroniki Klubu.

Członkowie stowarzyszenia uczestniczyli w wycieczkach organizowanych przez TMLiKPW w Lublinie, zachęcając do uczestnictwa mieszkańców Urzędowa i okolic. Naszym duchem przewodnim w podróżach po Kresach i bezkresach był niestrudzony organizator – Henryk Zięba.

W Klubie panuje serdeczna atmosfera, tu znajdzie miejsce każdy, kto odczuwa potrzebę zgłębienia wiedzy o Lwowie i Kresach oraz zdradza chęć integrowania się z ludźmi o podobnych zainteresowaniach. W tym gronie można doznać wielu wzruszeń i miło spędzić czas. Ducha Klubu oddaje limeryk autorstwa Marianny Parczyńskiej.

*Łączy ich miłość do historii Kresów i Lwowa.  
Nie kryją również sympatii do Orłąt z Urzędowa  
Należą do honorowych gości szkolnego Jubileuszu  
Klubowicze! Jesteście ucieleśnieniem intelektu  
i mega animuszu. □*

Elżbieta Kuśmiderska, Marianna Parczyńska

## Jubileusz 10-lecia TMLiKPW. Klub w Urzędowie

W piękne wiosenne popołudnie, dnia 10 maja 2014 r. na cmentarzu urzędowskim odbyła się niecodzienna uroczystość, która rozpoczęła obchody jubileuszowe 10-lecia TMLiKPW Klub w Urzędowie.

Pierwszym punktem programu było poświęcenie nagrobka śp. Anny Wójtowicz, lwowianki, uczestniczki walk o polskość Lwowa, nauczycielki szkół w Urzędowie i Kraśniku Fabrycznym.

Wokół grobu zgromadzili się: ksiądz rektor Dariusz Bondyra – kapelan TMLiKPW Oddział w Lublinie, członkowie Towarzystwa z Lublina, przedstawiciele władz samorządowych z Kraśnika i Urzędowa, pani sekretarz Urzędu Miasta Kraśnik, dyrektor Banku Spółdzielczego Ziemi Kraśnickiej, reprezentanci Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej, dyrektor i nauczyciele Zespołu Szkół – CKZiU im. Orłąt Lwowskich w Urzędowie, uczniowie śp. Józefy Anny Wójtowicz, mieszkańcy, sympatycy i członkowie Klubu. Wagę tej podniosłej uroczystości podkreśliła obecność pocztów sztandarowych: TMLiKPW w Lublinie i Zespołu Szkół CKZiU im. Orłąt Lwowskich. Na wstępie głos zabrał pan Andrzej Rolla, dyrektor Zespołu Szkół im. Orłąt



Nagrobek śp. Józefy Wójtowicz

Lwowskich. Przypomniął zebranyemu zastępcy śp. Józefy Anny Wójtowicz jako Polki i wychowawczynie. Mówca podziękował darczyńcom, którzy sfinansowali nagrobek oraz jego wykonawcy, panu Romanowi Surdackiemu.

Z kolei ksiądz rektor Dariusz Bondyra, kapelan Towarzystwa odmówił wraz z wiernymi modlitwy i poświęcił nagrobek. Zostały odśpiewane pieśni „Boże, coś

Polskę” i „Marsz dzieci lwowskich”. Delegacje zapaliły na grobie znicze i złożyły wiązanki kwiatów.

Następnie wszyscy udali się do Sanktuarium Świętej Otylii, gdzie w pięknej, majowej scenerii zanosili swoje prośby:

„O, Boże! Panie nasz i Ojcze! Zgromadziliśmy się tu, by upamiętnić dziesiątą rocznicę Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Klub w Urzędowie. Dziękujemy Ci za dotychczasowe łaski i prosimy o dalsze błogosławieństwo.

O, Panie! Przyjmij ofiarę życia lwowskich dzieci, młodzieży i Józefy Anny Wójtowicz złożoną na ołtarzu ojczyzny. Ty, który jesteś źródłem pokoju i miłości,



Towarzystwo przy pomniku Orłąt na urzędowskich wałach

spraw, aby Polacy nigdy nie zapomnieli o ich bohaterstwie.

W te majowe piękne dni módlmy się za Kresowian, rozrzuconych po całym świecie, aby nigdy nie zapomnieli o swojej ojczyźnie.

Boże wielki! Uchroń nas od zwątpienia, nienawiści, niezgody i złej woli, a napelnij wiarą, nadzieją i miłością.

Boże Wszechmogący! Orłęta walczyły o wolność i niepodległość ojczyzny. Spraw Panie, aby nie była to daremna ofiara krwi. Módlmy się o pokój na Ukrainie. Módlmy się za nas zgromadzonych u świętej Otylii, abyśmy nie zapomnieli o przeszłości i z ufnością patrzyli w przyszłość. Błogosław Boże naszej ukochanej ojczyźnie, błogosław dawnym Kresom Rzeczypospolitej.”

Kapelan Towarzystwa wygłosił patriotyczną homilię. Po Mszy św. wierni odśpiewali pieśni: „Święta Otylio” i „Barwę”. Przygrywał im na akordeonie Andrzej Jaworski. Potem, w podniosłym nastroju, wszyscy goście udali się na urzędowskie Wały, pod pomnik Orłąt Lwowskich. Tu, w ciszy i spokoju, przy szeleście młodych liści, zostały złożone wiązanki kwiatów przez: reprezentantów Starostwa Powiatowego w Kraśniku, Samorząd Gminy Urzędów, przedstawicielkę Burmistrza Miasta Kraśnik, prezesów Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej, Zarząd TMLiKPW Oddział w Lublinie oraz przez panią prezes i członków naszego Klubu.

Zadumany przy pomniku towarzyszył głos batiara, pana Adama Żurawskiego, który wspinały o drzewo śpiewał rzewną pieśń o Orłętach.

W refleksyjnym nastroju udaliśmy się do sali GOK-u w Urzędowie. Tam, po odśpiewaniu hymnu narodowego, zabrała głos pani Irena Sabel – prezes klubu, która powitała dostojnych gości, zebranych na jubileuszu:

– księdza rektora Dariusza Bondyrę – kapelana Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Lublinie,

– pana Zbigniewa Gawdzika – przewodniczącego Rady Powiatu i dyrektora Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. Władysława Jagiełły w Urzędowie,

– pana Zbigniewa Leziaka – przedstawiciela Starostwa Powiatowego w Kraśniku,

– panią Halinę Wykę – reprezentującą Burmistrza Miasta Kraśnik,

– pana Marka Przywarę – przewodniczącego Rady Gminy Urzędów,

– pana Jana Woźniaka – wójta gminy Urzędów,

– pana Jakuba Wiśniewskiego – dyrektora Banku Spółdzielczego Ziemi Kraśnickiej,

– pana Tomasza Wykę – prezesa Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej,

– pana prof. Mariana Surdackiego – wiceprezesa Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej,

– pana Andrzeja Rollę – dyrektora Zespołu Szkół – SKZiU im. Orłąt Lwowskich,

– pana Eugeniusza Dziobę – reprezentanta Głównego Zarządu TMLiKPW we Wrocławiu,

– panią Ewę Stażkę – córkę prof. Władysława Stażki, wieloletniego prezesa TMLiKPW Oddział w Lublinie,

– pana Henryka Ziębę – wiceprezesa TMLiKPW w Lublinie, niestrudzonego organizatora wycieczek na Ukrainę, Litwę, Łotwę, do Rosji, na Krym i do Włoch.

Kontynuując wypowiedź, pani prezes wyraziła swoją refleksję na temat działalności Klubu. Zaznaczyła, że odgrywa on dużą rolę w środowisku lokalnym. Podziękowała wszystkim, którzy swoim zaangażowaniem przyczynili się do zorganizowania uroczystości.

Później przemawiał wiceprezes, pan Bogusław Parczyński. Rozważał sytuację ludzi wysiedlonych z Kresów i ich potrzebę integrowania się ze sobą w Towarzystwie. Podkreślił, że w stowarzyszeniu skupiają się również ci, którzy pragną poznać miejsca i pamiątki z dawnych dziejów Polski, o których słyszeli, bądź je poznawali, czytając dzieła naszych wspaniałych poetów i pisarzy.

Wiceprezes Klubu zachęcił gości do obejrzenia wystawy zdjęć, dokumentujących działalność Klubu oraz wycieczki na Kresy, Białorusi, Krym, do Rosji, na Litwę i Łotwę oraz do Włoch. Zakomunikował, iż z okazji 10-lecia Klubu został wydany folder, odzwierciedlający działalność Towarzystwa w Urzędowie.

W dalszej części spotkania głos zabrali goście:

– pan Jan Woźniak, wręczając pani prezes kwiaty, złożył gratulacje Klubowi, podkreślając że istnieje on dzięki pasji i zaangażowaniu jego członków,

– pan Zbigniew Gawdzik mówił o roli nauczycieli z Kresów, pracujących w urzędowskiej szkole w okresie międzywojennym i po wojnie. Wymienił nazwisko pana Stefana Paimela – wieloletniego kierownika szkoły, urodzonego w Tarnopolu. Wręczył pani prezes bukiet kwiatów o lwowskich barwach,

– pan Henryk Zięba złożył pani prezes gratulacje i zaprosił zebranych do Lublina na uroczystość rocznicową mordu lwowskich profesorów na Wzgórzach Wuleckich,

– pani Ewa Stażka pogratulowała Klubowi w imieniu swojego ojca, prof. Władysława Stażki, piastującego przez ćwierć wieku zaszczytną funkcję prezesa TMLiKPW w Lublinie i życzyła członkom dalszych sukcesów.

Kolejnym punktem programu był występ „Tyliżentnych Batiarów” czyli Adama Żurawskiego i Andrzeja Jaworskiego z Bytomia, którzy zawsze podkreślają, że:

„Nie urodzili się jak trza,  
Ali pochodzeni majo jak trza”.

Artyści śpiewali piosenki o Lwowie, przepięknie tęsknotą za utraconym miastem, opiewające jego nadzwyczajny klimat i urok. W trakcie koncertu serca i ręce zgromadzonych na sali połączył utwór „Tylko we Lwowie”. Spotkanie zwieńczyła nostalgiczna pieśń kresowa „Sokoły”.

W wesołym nastroju goście udali się na obiad do „Starościanki”, a po godzinnej przerwie, fani Zbigniewa Wodeckiego poszli na jego koncert do sali GOK-u.

Goście zgromadzeni w kawiarni bawili się do świtu przy „Kapeli Janka”. Najwytrwalsi, wracając do domu, duszkiem pili brzask jutrzeńki, wsłuchiwali się w ptasi koncert i upajali się wonią wiosennych kwiatów. □

Elżbieta Kuśmiderska, Marianna Parczyńska

## Wspomnienia po latach



*Członkowie lubelskiego oddziału TMLiKPW w Katyniu w 2008 r.*

W ubogiej powojennej rzeczywistości nasi rodzice z miłością mówili o czasach przedwojennych i o Lwowie. I choć znali to miasto tylko z opowieści, byli nim zachwyceni. Śpiewali piosenki o pannie Franciszce, „Tylko we Lwowie”, „Czerwony pas”, „Za Niemen”, „Polesia czar”, „Na ulicy Kopernika”, „Czerwony kapelusik”, „Sokoły”. Utwory te były również wykonywane na weselach. Jako dzieci słuchaliśmy utalentowanych krewnych, podziwialiśmy ich wykonanie i uczyliśmy się ich na pamięć. Rodzice śpiewali pieśni kresowe do późnej

starości. „Pieśń poranna”, „Pieśń wieczorna” Franciszka Karpińskiego z Pokucia i „Chwalcie łąki umajone” autorstwa księdza ze Lwowa należały do stałego repertuaru naszej Matki.

Ten Lwów i Ukraina długo były w naszej świadomości gdzieś bardzo daleko... Gdzieś, gdzie kończy się świat.

Nasze wyobrażenia o Kresach przerwał wyjazd do Lwowa. Gdy po raz pierwszy ujrzeliśmy miasto, przekonaliśmy się, że jest ono na wskroś przesiąknięte

duchem polskości. Mówią o tym pomniki i cmentarze, kościoły i kamienice. Nic więc dziwnego, że inspirowało ono wielu artystów. Choć wiatr historii wywiał lwowian z miasta, ich serce na zawsze pozostało w tym grodzie. Jego magię opiewa od lat śpiewana pieśń „Tylko we Lwowie”, skomponowana przez Henryka Warsa. Witold Szolginia – poeta i architekt był „opętany Lwowem”.

Jakaż była radość, gdy będąc z Heniem na Huculszczyźnie, moczyliśmy nogi w Czeremoszu. Przejście przez most wiszący nad Prutem (wątpliwej jakości technicznej) do dziś wspominamy z radością i lękiem.

Poznając kiedyś biografię Adama Mickiewicza, podążaliśmy za nim po „suchym oceanie” na Krym. Z niedowierzaniem odwiedzaliśmy miejsca, gdzie przebywał wieszcz, przywołując w pamięci fragmenty lirycznego pamiętnika z podróży – „Sonety krymskie”.

W najśmielszych marzeniach nie przypuszczaliśmy, że zobaczymy Bakczysaraj, opiewaną górę Ajudah i Czatyrdah, wodę Morza Czarnego, rozpryskującą się o skały i fale płynące niczym stado wielorybów. Przepięknie położona Jałta budziła w nas, z racji historii, mieszane uczucia. Dniestr rzeczywiście błyszczał, jak w sonecie poety. Odessa pachniała akacjami i zachwycała urodą najpiękniejszych dziewczyn na świecie. Do niezapomnianych chwil zaliczamy postój na stacji benzynowej w szczerym polu. Pieśń „Stepie szeroki” w na-

szym wykonaniu poniósł wiatr nad Morze czarne, być może usłyszał ją duch „małego rycerza”...

To niesamowite, że stałyśmy przy mogiłach wielkich twórców rosyjskich: Gogola, Czechowa, wykonawczynie piosenki „Mała błękitna chusteczka”. Byłyśmy w Carskim Siole, miejscu urodzenia Aleksandra Puszkina, stałyśmy przy pomniku Okudźawy na Starym Arbacie. Patrzyliśmy na Moskwę oczami Bułhakowa. Spacerowałyśmy po Petersburgu, miejscu urodzenia Fiodora Dostojewskiego. W miastach rosyjskich śpiewaliśmy pieśni wyuczone w szkole „Podmoskiewskie wieczory”, „Białe noce”, „Czarne Morze”. Na zawsze pozostaną w pamięci mosty w Petersburgu, podnoszone nocą, płonące niczym zapalki.

Niezapomniane przeżycia, przepiękne chwile, zawdzięczamy naszemu przywódcy duchowemu po Kresach i bezkresach, Henrykowi Ziębie z TMLiKPW w Lublinie, który zaraził nas swoją pasją i wywołał niezaspokojony głód wiedzy o Wschodzie.

Nie sposób wyrazić wszystkich uczuć, jakie towarzyszyły nam podczas licznych wypraw z Heniem. Z żalem stwierdzamy, że najlepsze to już chyba było i nie wróci więcej ...

Dziękujemy Ci, Heniu, z całego serca

*Ela i Marysia z Urzędowa*

## Abp Andrzej Szeptycki – patron renegatów i ludobójców?

Znana nam dziś polska rodzina Szeptyckich wywodzi się ze szlachty ruskiej wyznania prawosławnego, która mieszkała w polskim województwie ruskim (Ziemia Lwowska). Pierwsza wzmianka o nich pochodzi z 1469 roku, kiedy to król Kazimierz Jagiellończyk potwierdził prawa dla Fiodora oraz jego wnuków Fiodora, Hliba i Sienka do posiadania dóbr Szeptyce w województwie ruskim. Po nabyciu majątku Uherce w powiecie Rudki, część rodziny tytułowała się „na Szeptycach”, część „na Woszczeńcach i Uhercach”. Do XVI w. nazywali się „z Szeptyc”, a później, zgodnie z polską tradycją powstawania nazwisk szlacheckich zaczęli się nazywać Szeptyccy. Wiązało się to także z postępującą w naturalny sposób polonizacją Szeptyckich. Dopełniła ją zmiana wyznania prawosławnego na wyznanie katolickie. I dopiero ta zmiana, która przyniosła ze sobą m.in. możliwość obejmowania wyższych urzędów, podniosła znaczenie rodu, szczególnie w XIX w. Byli to wówczas już tylko i wyłącznie Polacy, należący do znaczących polskich szlacheckich rodów w Galicji. Główną siedzibą rodu były Przyłbice koło Jaworowa (woj. lwowskie, dziś Ukraina).

Jan Kanty Szeptycki (1836–1912) był przedstawicielem XII generacji tego rodu. 1 października 1861 r. ożenił się z hrabianką Zofią Fredro (1837–1904) – córką największego i po dziś dzień popularnego polskiego komediopisarza Aleksandra Fredry. Zofia Fredro była „z krwi i kości” Polką i polską malarką i pisarką. Jej obrazy religijne zdobyły polskie kościoły Lwowa i Krakowa, Żółkwi i Bruchnału; namalowała m.in. obraz polskiego błogosławionego Jana z Dukli dla lwowskiego kościoła Bernardynów. Jako literatka pisała opowiada-

nia i szkice (drukowane we lwowskiej „Gazecie Narodowej” i krakowskim „Przeglądzie Polskim” oraz wydane osobno w Krakowie w 1906–1907 w dwutomowym zbiorze „Pism”) oraz utwory o charakterze pamiętnika rodzinnego, m.in. ciekawe „Wspomnienia z ubiegłych lat”.

Jan i Zofia Szeptyccy mieli sześciu synów, z których pierworodny; Stefan (1862–1864) i Jerzy Piotr (1863–1880) zmarli w dzieciństwie; Aleksander Maria Dominik (1866–1940) i Leon Józef Maria (1877–1939) byli ziemianami polskimi – pierwszy właścicielem majątków w Łabunie i Łaszczów na Zamojszczyźnie, a drugi gospodarzył w Przyłbicach. Stanisław Szeptycki (1867–1950) był wielkim patriotą polskim – generałem odrodzonego Wojska Polskiego, dowódcą oddziałów polskich, które w 1922 r. wkroczyły na Górną Śląsk i w 1923 ministrem spraw wojskowych. Ostatni dwaj synowie to Roman Aleksander Maria (1865–1944) i Kazimierz Maria Klemens (1869–1951), którzy zostali renegatami i wrogami Polski i Polaków – szczególnie ten pierwszy.

Zmiana nie tylko obywatelstwa jest zjawiskiem powszechnym na całym świecie, szczególnie wśród imigrantów. Z biegiem czasu wiąże się to ze zmianą narodowości poprzez asymilację. Natomiast zmiana narodowości na terenie kraju urodzenia i zamieszkania jest zjawiskiem bardzo rzadkim, częstszym na terenach etnicznie mieszanych. Wiąże się ona jednak prawie zawsze z asymilacją. Na przykład Rusini Szeptyccy mieszkając na ziemi należącej do państwa polskiego i etnicznie mieszanej ulegli polonizacji, w konsekwencji czego stali się Polakami. W Galicji w mieszanych małżeństwach polsko-ruskich/ukraińskich było w zwyczaju i zalecała takie rozwiązanie konkordia między Kościo-

łem rzymskokatolickim a Cerkwią unicką z 1853/1863, że synowie byli wychowywani w wierze ojca, a córki w wierze matki.

Rodzice Romana Aleksandra Marii i Kazimierza Marii Klemensa Szeptyckich byli oboje Polakami, ojciec od kilku pokoleń, matka chyba zawsze! Dlatego ich powrót „do korzeni ruskich/ukraińskich” można określić jako dziwactwo. Bowiem czy dziwactwem nie byłoby nazwane, gdyby raptem jakiś kongresman amerykański ruskiego pochodzenia, którego pradziadowie wyemigrowali z Galicji, pewnego dnia oświadczył, że nie jest Amerykaninem, tylko Ukraińcem i – co więcej – zaczął szkodzić Ameryce? Na pewno przyjęte by to było jako dziwactwo, a jego antyamerykańskie działania spotykałyby się ze stanowczym potępieniem.

A tak właśnie się stało z Romanem Aleksandrem Marią Szeptyckim.

Aby zrozumieć lepiej renegactwo Romana Aleksandra Marii Szeptyckiego musimy zrozumieć, w jakich warunkach ono nastąpiło i kto prawdziwie za tym stał.

Otóż prawie cała południowa Polska, wraz ze Lwowem, w 1772 r. znalazła się pod zaborem austriackim jako kraj koronny Galicja. Jej wschodnia część, zwana Galicją Wschodnią, była obszarem etnicznie mieszanym: rusińsko-polsko-żydowskim. Austriacy, aby móc skutecznie rządzić krajem, od samego początku swego panowania stosowali politykę zgodnie ze starorzyską maksymą „dziel i rządź”. Siano więc nienawiść Rusinów do Polaków i Cerkwi unickiej do Polaków i Kościoła katolickiego. Po kilkudziesięciu latach polityka taka zaczęła przynosić owoce. Polak i Rusin/Ukraińiec – katolik i unita-grekokatolik (według nomenklatury austriackiej) przestawali ze sobą harmonijnie współżyć. Jednak Rusini, odpychani przez Wiedeń od Polaków, nie wiedzieli kim właściwie są. Niektórzy uważali się za odrębny naród słowiański, wielu zaś za Rosjan. Bardzo silnym stał się ruch zwany moskalofilskim, a wraz z nim prąd do powrotu do prawosławnych korzeni i zjednoczenia z Rosją. Zagrozało to jednoci terytorialnej Austrii i było widziane z trwogą w Watykanie. Dlatego w 1882 r., z powodu sprzyjania moskalofilstwu, z urzędu unickiego arcybiskupa metropolity lwowskiego został usunięty Józef Sembratowicz. Austria i Watykan postanowiły wzmacniać ruch narodowo-ukraiński w Cerkwi unickiej o wyraźnym obliczu antypolskim. Oboje nie mieli zaufania do Rusinów. Stąd oboje zwrócili uwagę na hr. Romana Aleksandra Marię Szeptyckiego – lojalnego wobec Austrii i Polaka o ruskich korzeniach. Postanowiono wykorzystać te jego „ruskie korzenie” do walki z moskalofilstwem i Polakami.

Polak z ojca i matki, ochrzczony w Kościele katolickim i wychowany w tej wierze oraz na co dzień używający mowy polskiej, wychowany w patriotycznym domu polskim, w którym żywe były jeszcze wspomnienia Powstania Styczniowego 1863–64, który ukończył polskie gimnazjum św. Anny w Krakowie (1883), odbył jednoroczną służbę wojskową w huzarach w Krakowie, wśród których dominowali Polacy, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim i który miał wielu znajomych, kolegów i przyjaciół Polaków i który nie okazywał wówczas żadnego powołania do kapłaństwa, nie czuł wspólnoty krwi z Rusinami/Ukraińcami i Cerkwią unicką i prawdopodobnie nie znał w ogóle, czy dobrze, języka ukraińskiego z dnia na dzień stał się unitą i Rusinem-Ukraińcem.

Przypuszcza się, że za tą dziwną decyzją w życiu Romana Szeptyckiego stał, spokrewniony z Szeptyckimi, rezydujący w Watykanie wpływowy jezuita, hr. Włodzimierz Ledóchowski (późniejszy generał zakonu), oczywiście nie bez wiedzy papieża Leona XIII, oraz inni ludzie Watykanu: jezuita Henryk Jackowski i bernardyn Samuel Piasecki. To oni mieli wpłynąć na matkę – przekonać ją do wielkiej misji religijnej jej syna. Ona z kolei urabiała w tym duchu syna Romana. Bo czego człowiek nie zrobi dla kariery, a matka dla kariery syna?! I rzeczywiście, w 1886 r. Roman Szeptycki wyjeżdża do Rzymu i ma nawet audiencję u papieża Leona XIII. To tam kardynałowi Mieczysławowi Ledóchowskiemu objawił swój zamiar zmiany obrządku i wstąpienia do zakonu bazylianów, co gwarantowało robienie kariery w Cerkwi.

Trzeba także pamiętać, że podczas rozbiorów Polski (1795–1918) Stolica Apostolska nie tylko nie była przyjacielem Polski i Polaków, ale wręcz jej i naszym wrogiem. Również wielu duchownych pochodzenia polskiego pracujących w Rzymie (a także na terenie Polski) wcale nie czuło się Polakami i bardzo często współpracowało z zaborcą i Stolicą Apostolską przeciwko polskim interesom narodowym (wystarczy przeczytać uważnie katolickie książki: biskupa sufragana wrocławskiego Wincentego Urbana „Ostatni etap dziejów Kościoła w Polsce. 1815–1965”, Rzym 1966, czy „Biskupi Kościoła w Polsce”, Warszawa 1992, z przedmową kard. Henryka Gulbinowicza, aby się o tym przekonać). Na przykład kard. Giacomo Antonelli (prawa ręka Piusa IX) czy kard. Mariano Rampolla (watykański sekretarz stanu 1887–1903 za Leona XIII) byli nie mniejszymi wrogami Polaków od Bismarcka czy carów rosyjskich. Stąd prawdziwy patriota polski, biskup krakowski Adam Sapieha podczas pierwszego wspólnego powojennego zjazdu polskich biskupów w Gnieźnie 26–30 sierpnia 1919 r. poprosił watykańskiego wizytatora apostolskiego w Rzeczypospolitej, ks. Achille Rattiego (1922–39 Pius XI), o opuszczenie sali obrad, gdyż, jak twierdził: „Kościół polski chce rozstrzygać swoje sprawy bez (antypolskich) wpływów zewnętrznych” (za co został ukarany tym, że od Piusa XI nie otrzymał kapelusza kardynalskiego).

Stolica Apostolska czyniąc z Romana Szeptyckiego unitę i Ukraińca nie brała pod uwagę polskich interesów narodowych czy nawet harmonijnego – w duchu chrześcijańskim – współżycia Polaków i Rusinów-Ukraińców czyli katolików i unitów w Galicji. Niestety, tym pociągnięciem przyczyniła się walenie – chociaż może i bezwiednie? – do wielkiego zaognienia stosunków polsko-ukraińskich w Galicji – Małopolsce Wschodniej, w wyniku czego podczas II wojny światowej nacjonałiści ukraińscy dokonali wielkiego ludobójstwa na Polakach m.in. w Małopolsce Wschodniej, gdzie wśród Ukraińców królował Kyr Andrej.

Jeśli weźmiemy pod uwagę to, że moralny sprawca tego ludobójstwa (tak widzą to historycy) – szowinista i terrorysta ukraiński Stepan Bandera był synem księdza unickiego (a nie był on jedynym szowinistą ukraińskim spłodzonym przez duchownego unickiego), to uzmysłowimy sobie, do jakiego upadku moralnego doszło wśród bardzo wielu unitów ukraińskich z winy m.in. Watykanu, który, aby zachować unitów przy wierności Stolicy Apostolskiej, poszedł na rękę nacjonalistom, szowinistom i faszystom ukra-

ińskim (w tym duchownych unickich), a potem lekceważył ich zbrodnie.

Od wizyty w Rzymie Romana Szeptyckiego przygotowywano go i Roman sam się przygotowywał do wypełnienia powierzonej mu przez Watykan misji, której szczytowym punktem miało być nawrócenie całej Ukrainy i Rosji na katolicyzm w obrządku unijnym. Wstąpił więc Roman do unickich bazylianów, przyjmując imię Andriej (rosyjskie, bo po ukraińsku to Andrij, aby z początku przypodobać się moskalofilom, a potem podobało się Rosjanom) i zaczął robić błyskawiczną karierę w Cerkwi unickiej w Galicji, którą mu obiecała Stolica Apostolska. Wiadomo że na zachętę obiecała mu nie tylko lwowski tron arcybiskupi, ale także godność patriarchy. W 1890 r., a więc jeszcze przed święceniami kapłańskimi, które otrzymał w 1892 r., został przeorem klasztoru w Krystynopolu. Już w 1899 r., a więc kiedy miał zaledwie 33 lata, papież Leon XIII mianował go biskupem stanisławowskim, a rok później (31.10.1900) arcybiskupem metropolitą lwowskim.

Oczywiście Ukraińcy zrazu byli oburzeni tą nominacją. Jeszcze osiem lat po niej w ukraińskim dzienniku „Dilo” (15.03.1908) wydawanym we Lwowie ksiądz unicki i jego redaktor Longin Cehelskij wytknął Szeptyckiemu jego polskie pochodzenie. Był bardzo długo nazywany „czużńcem” i „perekińczykiem”. Jednak z biegiem lat został zaakceptowany przez nacjonalistów ukraińskich, gdyż stał się szermierzem ich ruchu – wielkim wrogiem Polski, Polaków i polskiego katolicyzmu na Kresach. Doprowadził do prawie całkowitej depolonizacji Cerkwi unickiej. Dążył nie tylko do oderwania Małopolski Wschodniej od Polski, ale także i Chełmszczyzny, o co zabiegał podczas swej podróży po Europie w 1921 r. To głównie z nienawiści do Polski i Polaków pisał listy gratulacyjne do Adolfa Hitlera, a później do Józefa Stalina!

Przyczyny zmiany nie tylko obrządku, ale i narodowości w wypadku Romana Szeptyckiego muszą być więc krytycznie ocenione przez każdą bezstronną osobę, a szczególnie przez chrześcijanina. Bowiem zmiana u niego obrządku nastąpiła w okresie, kiedy oba obrządki w Galicji – Małopolsce Wschodniej były na „ścieżce wojennej” z winy unitów (!) i dopiero po otrzymaniu zapewnienia od zaborcy austriackiego i Watykanu, że zostanie arcybiskupem metropolitą lwowskim, a nawet patriarchą. Z kolei zmiana narodowości nie była pasywna. Jako narodowy neofita – jak to bywa zawsze z neofitami, którzy stają się fanatykami sprawy – Andriej Szeptycki był jednym z głównych filarów nacjonalizmu ukraińskiego w Małopolsce Wschodniej w okresie międzywojennym i podczas II wojny światowej, który zionął nienawiścią do Polski, Polaków i wszystkiego co polskie, co stawiało go w konflikcie z nauką Jezusa Chrystusa! Na przykład na liście pasterskim z 1 lipca 1941 r., nie bacząc na dokonywane od września 1939 r. wielkie zbrodnie Adolfa Hitlera i jego Niemiec, napisał: „Zwycięską Armię Niemiecką witamy jako oswobodzicielkę od wroga”, do uformowanej przez Niemców w 1943 r. ukraińskiej 14 Dywizji Grenadierów SS delegował kapelanów greckokatolickich i nie zdobył się na mocne – jak przystało na duchownego chrześcijańskiego – potępienie ludobójstwa dokonywanego na Polakach przez nacjonalistów ukraińskich (UPA) na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w latach 1943–44.

Jurij Boreć (Paszkowski) ps. Czumak (1922–2006 Sydney), żołdak terrorystycznej Ukraińskiej Powstańczej Armii w stopniu sierżanta (buławnego), czyli żołnierz abpa Andrieja Szeptyckiego – według samych Ukraińców!, a na emigracji w Australii pisarz i publicysta, w swoich wspomnieniach z czasów walk UPA w Polsce pt. „UPA w wirze walki” (wyd. ukraińskie i angielskie) pisze jak ich unicki kapelan z bronią w ręku walczył z Polakami i ich zabijał. A przecież duchowni katolicy, a więc także unicy, nie mają kanonicznego prawa walczyć z bronią w ręku i zabijania kogokolwiek!!! Pisze także, że trzydziestu byłych terrorystów z UPA po przedostaniu się na Zachód wstąpiło do seminarium duchownego. – Dlatego nie dziwny się, że wśród unitów ukraińskich jest ciągle tyle zapiekłej nienawiści do Polaków, chociaż w ich rękach (z woli antychrysta Józefa Stalina; no bo chyba Stalin nie był narzędnikiem w rękach Boga!) jest dzisiaj cała Małopolska Wschodnia wraz z arcybiskupim Lwowem, po wymordowaniu i wypędzeniu stamtąd 1,5 miliona Polaków i 0,5 miliona Żydów.

Jego – jako Polaka z urodzenia! – wrogie stanowisko wobec Polski i Polaków kontrastowało jaskrawo z działalnością takich prawdziwych Ukraińców, a zarazem prawdziwych chrześcijan jak unickiego biskupa stanisławowskiego Grzegorza Chomyszyna, jego sufragana, bpa Jana Latyszewskiego, rektora seminarium duchownego w Stanisławowie, ks. Aksentego Bojczuka czy ks. Stojalowskiego (który był z tego powodu represjonowany przez unicką kurię w Przemyślu!), którzy pracowali na gruncie porozumienia z Polską i Polakami. To, że ci ludzie nie byli narzędnikiem w rękach Polaków dowodzi praca bpa Chomyszyna „Problem ukraiński” (Warszawa 1933), w której nie tylko potępił ukraiński nacjonalizm jako wrogi Kościołowi i religii, ale także skierował ostrzeżenia pod adresem polskiego rządu za niekiedy niewłaściwą politykę wobec Ukraińców w Polsce.

Ukraińcy fałszując biografię Romana Andrieja Szeptyckiego nakręcili film o nim, w którym przedstawiono go jako „Ukraińca z dziada pradziada”! – To chyba i jego rodzony brat, Stanisław Szeptycki, wybitny generał Wojska Polskiego i polski minister spraw wojskowych jest dla nich Ukraińcem (a renegatem trudno go nazwać, gdyż ani on, ani jego rodzice narodowości ani religii nie zmienili). – Czyli Ukraińcom pod Polakami w okresie międzywojennym wcale źle się nie działo – mieli nawet ministrów w polskim rządzie!

Emigracja ukraińska dwukrotnie, w 1958 i 1962 r. podejmowała starania o beatyfikację Andrieja Szeptyckiego, jednak Watykan – jakże słusznie! – odrzucił te wnioski. Ostatnio także Cerkiew unicka na Ukrainie w swym narodowym fanatycznym zaciętrzewieniu stara się w Watykanie o wyniesienie na ołtarze abpa Andrieja Szeptyckiego.

Czy renegat, pseudochrześcijanin, który pisał listy gratulacyjne do największych zbrodniarzy XX w.: Adolfa Hitlera (dwa razy) i Józefa Stalina, który wspierał moralnie ukraińską dywizję SS (SS zostało potępione w Norymberdze jako organizacja zbrodnicza) i z lekceważeniem odnosił się do zbrodni ludobójstwa popełnianych przez nacjonalistów ukraińskich – w tym jego kapłanów! – na Polakach może zostać uznany za osobę świętą?! Chyba że na gwałt Kościołowi potrzebny jest patron renegatów i ludobójców! □

Małgorzata Ziemska

## W służbie pamięci o kresowej Ojczyźnie

### O zielonogórskiej wystawie ze zbiorów Tadeusza Marcinkowskiego

Jedną z cenniejszych inicjatyw zielonogórskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w bieżącym roku była organizacja wystawy „Z Wołynia do Zielonej Góry”. Przygotowana przez Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze w ramach cyklu „My zielonogórzanie, nasz lubuski dom...” ekspozycja w symboliczny sposób pokazywała kolekcjonerski dorobek wieloletniego członka TMLiKPW Tadeusza Marcinkowskiego, znanego zielonogórskiego bibliofila i filokartysty, którego profesor Stanisław Sławomir Nicieja tak pięknie nazwał „strażnikiem pamięci o rodzinnym mieście”.



*Tadeusz Marcinkowski, dawny łuczczanin, wieloletni członek TMLiKPW, znany zielonogórski bibliofil i filokartysta, „strażnik pamięci o rodzinnym Łucku”. Wernisaż wystawy „Z Wołynia do Zielonej Góry”. Muzeum Ziemi Lubuskiej, 18.06.2014 r.*

Tadeusz Marcinkowski urodził się w Łucku na Wołyniu. Po wojnie jak wielu Kresowian przybył na Ziemię Odzyskaną i zamieszkał w Zielonej Górze. Na Ziemię Lubuską w repatriacyjnym bagażu przywiózł miłość do rodzinnych stron. Ze swojego życia uczynił służbę utraczonej kresowej ojczyźnie. Starał się ocalić pamięć o rodzinnej Ziemi Wołyńskiej, ziemi wspaniałych pisarzy i poetów, mężów stanu, naukowców, działaczy społecznych i politycznych, ziemi od wieków mocno związanej z historią Polski. Starał się ustrzec od zapomnienia dorobek wielu pokoleń Wołyniaków. Przez lata, skutkiem niemałych wyrzeczeń, gromadził książki o Wołyniu i publikacje wydane na Wołyniu, grafiki, zdjęcia, pocztówki, mapy, plany, druki, czasopisma i doku-

menty, dotyczące rodzinnej ziemi. W Zielonej Górze stworzył jedną z największych w Polsce kolekcji, poświęconych ukochanej kresowej ojczyźnie. Po okresie przemian w Polsce poprzez publikacje oraz organizowane wystawy stale przypominał o historycznym i kulturowym bogactwie Wołynia. Stał na straży pamięci o pięknej Ziemi Wołyńskiej i pamięci o Wołyniakach.

Symboliczną część kolekcjonerskiego dorobku Tadeusza Marcinkowskiego ukazuje wystawa „Z Wołynia do Zielonej Góry”. Jej wernisaż w Muzeum Ziemi Lubuskiej odbył się 18 czerwca br. Dzięki życzliwości dyrektora placówki, dra Andrzeja Toczewskiego, który poprowadził uroczystość, otwarcie ekspozycji przebiegło w miłej, rodzinnej atmosferze. Na wernisażu nie zabrakło Kresowian, ich bliskich oraz znajomych. Muzeum zadbało o wyjątkową oprawę uroczystości, a na bohatera wydarzenia, który liczy już ponad osiemdziesiąt lat, czekał na podeście iście królewski mebel. O Tadeuszu Marcinkowskim, o jego zbiorach, o Wołyniu oraz o Łucku ze znanostwem, ciekawie, ale i bardzo ciepło opowiadała dr Anitta Maksymowicz, kurator zielonogórskiej wystawy. Zaprezentowała również piękny folder do wystawy „Z Wołynia do Zielonej Góry”. Tę miłą pamiątkę dla wszystkich miłośników Kresów, a także plakat do wystawy i zaproszenie na wernisaż zaprojektował ceniony lubuski plastyk Igor Myszkiwicz. W trakcie uroczystości w imieniu prezydenta Zielonej Góry Janusza Kubickiego zabrał głos doradca prezydenta Zygmunt Stabrowski, który dziękował bohaterowi wydarzenia za jego wieloletnią działalność na rzecz ocalenia pamięci o dawnych mieszkańcach Kresów Wschodnich, z których tak wielu zamieszkało właśnie na Ziemi Lubuskiej. Z kolei Jan Tarnowski, prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, przypomniał wydaną pod patronatem Towarzystwa najnowszą publikację Tadeusza Marcinkowskiego pod tytułem „Skarby pamięci”, która w lutym 2014 roku została uhonorowana dyplomem dla najlepszej książki popularnonaukowej w konkursie „Lubuski Wawrzyn Naukowy 2013”. W trakcie uroczystości w muzeum autor książki ze wzruszeniem wspominał rodzinny dom i ukochany Łuck na Wołyniu oraz serdecznie dziękował tym osobom, dzięki którym mógł opublikować swoje wspomnienia i po raz kolejny zaprezentować swoją wołyńską kolekcję. Wyraził też nadzieję, że licznie przybyli na wystawę Kresowianie odnajdą w trakcie zwiedzania ekspozycji jakąś część swojej rodzinnej opowieści, a z kolei młodzi Lubuszanie o kresowych korzeniach będą dumni ze swego historycznego i kulturowego dziedzictwa.

Przygotowana z artystycznym smakiem przez dr Anittę Maksymowicz wystawa „Z Wołynia do Zielonej Góry” obejmuje trzy duże sale wystawowe, które prezentują kolejno: Wołyń, Łuck oraz losy bohatera wystawy. Pierwsza część ekspozycji przypomina historię Ziemi Wołyńskiej. Ważne wydarzenia, miejsca, postacie,

ale pokazuje też urok tamtych kresowych stron, które póki życia Wołyniacy noszą zapisane w sercu i potrafią o nich opowiadać z chwytającym za serce wzruszeniem. Pokazuje Wołyń jako krainę cienistych kalin i złotych azalii. Ziemię urzekającą swoim pięknem, gdzie wiśniowe sady w głębi jarów, szeroko rozlane wody Styru i bystry nurt Horynia, gdzie kurhany zagubione wśród bezkresnych stepów, królujące na wzniesieniach ruiny zamków, pałace ukryte w zieleni parków, dwory i dworki pod konarami wiekowych lip i dębów, cmentarze na stokach gór, barwne kobierce urodzajnych pól, samotne krzyże na rozstajach dróg, ujęte w ramę szmaragdowych lasów miasta i miasteczka, o wschodzie czy zachodzie słońca połyskujące z oddali płomiennym blaskiem kopuły świątyń różnych wyznań. Pokazuje Wołyń jako miejsce współistnienia wielu narodów, wielu religii, wielu kultur. Ziemię, gdzie zgodnie żyli obok siebie Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Czesi, Niemcy, Rosjanie, Karaimi. Szanowali swoją barwną odmienność, razem pracowali i świętowali, razem budowali swoją małą kresową ojczyznę. Na wystawie każdej z nacji, zamieszkujących Wołyń, poświęcona jest oddzielna plansza, prezentująca zdjęcia, pocztówki i dokumenty.

Dzięki niejednokrotnie unikalnym materiałom wystawa przedstawia wskrzeszone po okresie zaborów w marcu 1921 roku województwo wołyńskie (po województwie poleskim drugie co do wielkości terytorium województwo II Rzeczypospolitej), pod względem administracyjnym podzielone na jedenaście powiatów ze stolicami w Dubnie, Horochowie, Kostopolu, Kowlu, Krzemieńcu, Lubomlu, Łucku, Równem, Sarnach, Włodzimierzu i Zdobunowie. Spośród pięknie położonych i bogatych w historyczne zabytki miast wołyńskich najważniejszą rolę odgrywał Łuck siedziba władz wojewódzkich, samorządowych i kościelnych, centrum życia kulturalnego i naukowego regionu. Dla wielu mieszkańców Polski centralnej wizytówką Ziemi Wołyńskiej był Krzemieniec, miasto Juliusza Słowackiego i słynnej Szkoły Czackiego. Największym miastem Wołynia w okresie międzywojennym było Równe, do którego przeniesiono z Łucka część placówek, między innymi Kuratorium Oświaty. Tu odbywały się również istotne dla gospodarczego rozwoju tych ziem oraz ich promocji znane w całym kraju Targi Wołyńskie. Tu stacjonowała także 13 Rówieńska Dywizja Piechoty. Niegdyś centrum wołyńskiego handlu stanowiło Dubno – miasto słynnych kontraktów dubieńskich. Do historycznie ważnych miast należały: Ostróg, gdzie w XVI wieku wydrukowano Biblię Ostrogską, Ołyka, która stanowiła centrum potężnej Radziwiłłowskiej ordynacji, Wiśniowiec – tu narodził się „kniaź Jarema”, czy Korzec – wyroby dawnej koreckiej fabryki porcelany artystycznym wykonania nie ustępowały porcelanie saskiej. Odwiedzano też pamiętne zwycięstwem z 1651 roku Beresteczko czy Kostiuchnówkę, gdzie podczas I wojny światowej toczyły się walki Legionów. Jedno ze wzgórz, bronionych przez Legiony, nazwano Polską Górą. Miejsce to otaczano szczególnym kultem. Pielgrzymowały tu rzesze Polaków, nie tylko z Wołynia. Atrakcją turystyczną Ziemi Wołyńskiej stanowiły oszałamiająco pachnące w porze kwitnienia złociste pola azaliowe w powiecie kostopolskim. Z kolei w Żurawiczach (pow. łucki) i w Hucie Stepańskiej (pow. kostopolski) funkcjonowały

modne uzdrowiska z kąpielami błotnymi. Ważnym miejscem na mapie województwa był Kowel – główny węzeł kolejowy na Wołyniu, położony na trasie Kijów – Warszawa. W okresie dwudziestolecia międzywojennego województwo miało charakter przede wszystkim rolniczy, ale słynęło też w Polsce z bazaltów wydobywanych w Janowej Dolinie i granitów z Klesowa. Wiele z tych ważnych dla Wołynia miast i miasteczek odnajdziemy na prezentowanych na wystawie zdjęciach, pocztówkach czy rycinach. Z pasją niepowtarzalnie piękno tych miejsc oraz urok wołyńskiego pejzażu utrwalali na zdjęciach zarówno goście: znany wileński fotograf Jan Bułhak i warszawianin Henryk Poddębski, którzy w ramach akcji dokumentowania krajobrazu i zabytków odradzającego się Państwa Polskiego przybyli na Wołyń w latach dwudziestych, jak i fotografowie wołyńscy, między innymi Stanisław Sheybal, Henryk Hermanowicz, Adam Julian Łukaszewski i Edward Augustynowicz.

Kolejna wystawowa sala to zaproszenie do Łucka. Nie było w Polsce do tej pory wystawy, która tak dokładnie, w tak obszernym zakresie prezentowałaby dawną stolicę województwa wołyńskiego, słowa wdzięczności i uznania należą się zatem dyrektorowi zielonogórskiej placówki dr. Andrzejowi Toczewskiemu, który w gościnnych murach Muzeum Ziemi Lubuskiej przyjął tak ważną dla dokumentowania historii Kresów Wschodnich ekspozycję. Wystawowe plansze i gabloty stanowią prawdziwe kompendium wiedzy na temat „Lubartowego grodu”. Malowniczo położony na wzgórzu w zakolu Styru i Głuszcza jest jednym z najstarszych miast Wołynia. Pierwsza wzmianka o osadzie, zwanej wówczas Łuczesk, pochodzi z 1085 roku. Do XIV wieku gród należał do Rusi, a następnie aż do Unii Lubelskiej do Litwy. Szczególne zasługi dla jego rozwoju położyli książęta litewscy: Lubart – budowniczy wspaniałego zamku, i Witold, który w 1429 roku zorganizował słynny zjazd monarchów oraz przeniósł tu metropolię łacińską z Włodzimierza, a także pozwolił osiedlić się Żydom i Karaimom. Od 1569 roku, gdy Łuck stał się stolicą włączoną do Korony województwa wołyńskiego, nastąpił czas jego gospodarczego i kulturalnego rozwoju. Pod zaborami, po przeniesieniu stolicy guberni wołyńskiej do Żytomierza, miasto znacznie podupadło i dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości utworzenie w 1921 roku województwa wołyńskiego ze stolicą w Łucku przywróciło mu dawną świetność. W okresie międzywojennym Łuck był siedzibą władz wojewódzkich i samorządowych. Tu znajdowała się też Kuria Biskupia. Miasto odgrywało ważną rolę centrum naukowego i kulturalnego regionu. Mieściły się tu redakcje lokalnych czasopism, wydawanych przez ugrupowania polityczne i organizacje społeczne oraz Kurię Biskupią. Na wystawie w gablocie wyeksponowano między innymi ciekawe numery: „Przeglądu Wołyńskiego” z mnóstwem oryginalnych reklam na stronie tytułowej, tygodnika „Wołyń” z artykułem Mieczysława Pawlikowskiego, ucznia Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Łucku, a później popularnego odtwórcy roli Zagłoby w „Panu Wołodyjowskim”, czy wydawanej przez Wołyńskie Towarzystwo Krajoznawcze „Ziemi Wołyńskiej”. Na początku lat dwudziestych otwarto w Łucku pierwszą w dziejach Wołynia scenę zawodową – Teatr

Wołyński im. Juliusza Słowackiego. W latach trzydziestych za dyrekcji Aleksandra Rodziewicza zespół teatralny został podzielony na trzy grupy objazdowe, które wystawiały spektakle w 20 miastach na Wołyniu, 12 miastach na Lubelszczyźnie i 5 na Polesiu. Przedstawienia w Łucku odbywały się dwa razy w tygodniu, reszta tygodnia przeznaczona była na objazdy. Aktorzy Wołyńskiego Teatru prowadzili prawdziwie cygański tryb życia. Praktycznie mieszkali w kolejowych wagonach. Ponieważ nie do wszystkich miast i osad można było dotrzeć pociągiem, dyrekcja teatru zakupiła autobus, który mógłby pomieścić aktorów, kostiumy i scenografię. Krzemieniec, Ostróg, Zdobunów, Rożyszczce, Ołyka, Sarny, Włodzimierz, Kowel – wszędzie z niecierpliwością czekano na spektakle Teatru Wołyńskiego, także poza terenem województwa wołyńskiego w Lublinie, Zamościu, Chełmie czy Brześciu. Do sukcesu i popularności placówki przyczynił się niewątpliwie doskonały zespół aktorski, w którego gronie pierwsze kroki na scenie stawiał późniejszy znakomity odtwórca roli Zagłoby w filmie Jerzego Hoffmana – Kazimierz Wichniarz (zdjęcia aktora z okresu występów w Łucku można znaleźć na wystawie), później do zespołu dołączył Kazimierz Rudzki, a tuż przed wybuchem wojny Krystyna Feldman. Na scenie Teatru w Łucku występowały gościnnie takie sławy jak znana z filmów „Trędowata”, „Granica” czy „Dziewczęta z Nowolipek” aktorka Stanisława Wysocka, słynna Wanda Siemaszkowa, tancerka kabaretowa Zula Pogorzelska czy światowej sławy śpiewaczka operowa Ada Sari. W celu organizacji życia naukowego powołano w Łucku Wołyńskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Towarzystwo posiadało i udostępniało czytelnikom bogaty księgozbiór oraz patronowało działalności Muzeum Wołyńskiego. Łuck był także siedzibą Wołyńskiego Towarzystwa Krajoznawczego, zasłużonego w propagowaniu piękna Ziemi Wołyńskiej i jej zabytków. Znaczenie miasta podnosił fakt, iż stacjonował tu garnizon wojskowy. Ton życiu miasta w ważnych chwilach, ale i na co dzień nadawał 24 Pułk Piechoty Strzelców Kresowych. Na wystawie nie sposób przejść obojętnie obok dużej fotografii, przedstawiającej pułkową orkiestrę, bez której nie mogła się obyć żadna poważniejsza uroczystość. Przy dźwiękach tej orkiestry bawiono się w czasie świąt w kasynie 24 pułku piechoty. To były niezapomniane zabawy, które ocalały we wspomnieniach dawnych łucczan. Galowe mundury oficerów, zdobione bukietami kwiatów, koronkami i misternymi kokardkami balowe suknie pań... Nie do wiary, ale właśnie taka suknia pośpiesznie wciśnięta do podróznego tłumocznika pojechała wraz z moją ciotką na Sybir. Dla poganianej przez enkawudzystów panią wytworna suknia z organdy okazała się ważniejsza od ciepłych butów. Stanowiła symbol szczęśliwych, bez trosk, chwil. Bo ileż to było śmiechu i żartów w kasynie 24 pułku piechoty, gdy na balu sylwestrowym w sali o północy zjawiał się bielutki prosiaczek ze wstążeczką i dzwoneczkiem na karku, mający symbolizować szczęście i pomyślność obecnych. Jeśli trącił ryjkiem balową suknię panny, wieszano go szybko zameście, a jeśli kawalera – sukces w różnych dziedzinach życia. A jak udanie na łamach tygodnika „Wołyń” mową wiążaną na swoje zabawy potrafili zapraszać łuccy wojskowi:

*„Witaj, moja Zosiu droga!  
Co nowego jest w Warszawie?”  
„Przyjechałam, bo mi tęskno.  
Chcę być u was na zabawie.”*

*Wszak Warszawa mówi cała,  
Smukły, gruby, duży, mały,  
Że Podchorążacy w Łucku  
Urządzają bal wspaniały.*

*Że orkiestra ma być z Wiednia  
Słynna z „tempa” i z grzeczności,  
A ten cały „luksus” robią  
Dla miejscowej publiczności.*

*Dekoracje zamówili  
Gdzieś na wschodzie, w kraju cudów  
Smukłe palmy, dzikie krzewy,  
Ciemne groty dawnych ludów.*

*Piękne damskie alkierzyki  
Wykropione perfumami,  
Które wprost z Paryża przywiózł  
Coty, lux – samolotami.*

*A dla panów, co nie tańczą,  
Są stoliki. Miejsc tam cztery.  
Na nich burgund, wina, szampan,  
Różne miody i likiery.*

*Zaś na deser tego liku  
Powiem tobie, że panowie  
Żadni tak świetnie nie bawią  
Jak łuccy Podchorążowie.*

*Patrz, to jest ich zaproszenie.  
Czytaj: „Pięknie zapraszamy  
Wszystkich tu mieszkańców Łucka,  
A podwójnie piękne damy!”*

Trudno się dziwić, że tłumy sympatyków witały żołnierzy, wracający z manewrów do koszar. „Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój...” nad dachami domów szybowały słowa ulubionej pieśni 24 pułku piechoty. Wielu służących w jednostce Wołyniaków było obdarzonych dobrym słuchem i pięknym, melodyjnym głosem. Wszystkie pułkowe kompanie lubiły śpiewać i to na głosy. Zresztą na Wołyniu wspólne śpiewanie było tradycją. Zawsze ktoś grał na instrumencie. Śpiewano przy okazji świąt rodzinnych i uroczystości patriotycznych. Przez uchylone okna domów, hen, na łąki nad Styrem niesły się słowa pieśni, raz tęskne i rzewne, innym razem skoczne i wesołe.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego stolica Wołynia przeżywała wiele ważnych wydarzeń. Na wystawie przypomina je seria cennych zdjęć. Wyzwolenie Łucka przez Wojsko Polskie pod dowództwem generała Aleksandra Karnickiego 16 maja 1919 roku. Mieszkańcy witali wówczas polskich żołnierzy chlebem i solą, a nazajutrz na placu Katedralnym odbyła się Msza św. polowa, w trakcie której ksiądz kanonik Szuman pięknie powitał dzielnych wyzwolicieli słowami: „Z nami razem jakże się radują i te mury stare Zamku, Katedry, klasztorów i szkół starodawnych, że się doczekały swoich prawdziwych gospodarzy i opiekunów. Przez wiek cały każdy kamień tutaj wzdychał do ciebie, żołnierzu polski”. Dwukrotnie też odwiedził Łuck (w styczniu 1920

roku i w październiku 1922 roku) Naczelnik Państwa Polskiego i Naczelnny Wódz Józef Piłsudski. Do tej wizyty w wyniszczonym wojną mieście przygotowywano się z igrasą kresową gościnnością. Każdy dawał, co miał najlepszego (meble, pościel czy zastawę stołową), by godnie podjąć dostojnego gościa. W trakcie pierwszej wizyty po uroczystym nabożeństwie w katedrze Józef Piłsudski w sali Urzędu Wojewódzkiego przyjmował delegacje, a wieczorem wziął udział w przygotowanym na jego cześć raucie. Z kolei w 1922 roku Naczelnik



Fot. M. Kowalski

*Pamiątkowe zdjęcie po wernisażu.*

*Od lewej: Małgorzata Ziemska, Tadeusz Marcinkowski, autor książki „Skarby pamięci”, dr Anitta Maksymowicz, kurator wystawy, Mirosława Marcinkowska*

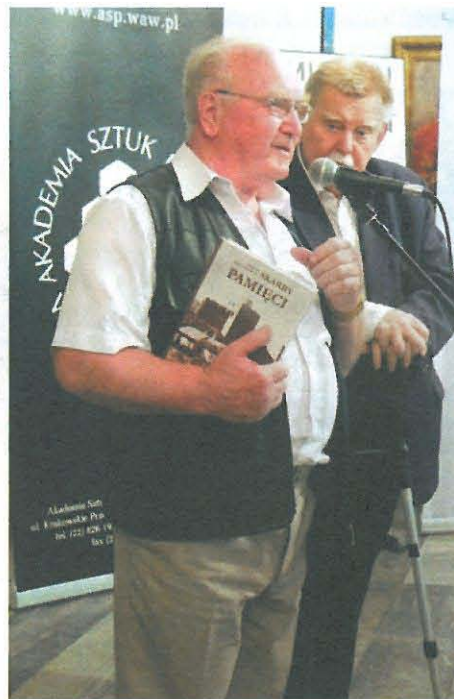
Państwa Polskiego prócz spotkania z władzami miasta, duchowieństwem i przedstawicielami społeczeństwa wziął też udział w zakończonej defiladą kilku kompanii Strzelca uroczystości poświęcenia sztandaru Wołyńskiego Związku Strzeleckiego na placu Katedralnym, a później w ceremonii poświęcenia nowego sztandaru 24 pułku piechoty, która odbyła się na polu za koszarami. Naczelnny Wódz wbił pierwszy złoty gwóźdź w drzewce sztandaru. Tym razem uroczysty raut dla blisko 200 osób odbył się w kasynie oficerskim 24 pułku piechoty. W czerwcu 1929 roku zawitał do Łucka prezydent Ignacy Mościcki, który dokonał otwarcia Muzeum Wołyńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk oraz Lotniska Ligi Obrony Przeciwlotniczej Kraju. Jego pobyt w mieście był ważnym wydarzeniem dla wszystkich łuczczan – nie tylko Polaków, gdyż po mszy w katedrze odwiedził też cerkiew, kościół, synagogę oraz kenesę karaimską. Wszędzie był serdecznie witany przez duchowieństwo oraz wiernych różnych wyznań. W 1938 roku, w związku z wielkimi manewrami na Wołyniu i kończącą je defiladą wojsk w Łucku, do miasta przybył Marszałek Rydz-Śmigły. Wszystkie te wizyty dla wielonarodowościowej i wielowyznaniowej społeczności Łucka stały się okazją do wspólnego świętowania.

Zgromadzone w wołyńskiej kolekcji Tadeusza Marcinkowskiego materiały dają też obraz codzienności miasta. Zbiorowe fotografie pracowników przed gmachami różnych instytucji, ale i indywidualne zdjęcia pamiątkowe. Przyciąga wzrok urocze ujęcie zatytułowane „Mistrz i pomocnik”, które przedstawia małego łuczczanina Zbyszka Komorskiego, pomagającego ojcu obsługiwać stację pomp w Kolonii Urzędniczej. Na zdjęciu Zofii Gindrych maluchy i ich opiekunki z Koła Polek

w Łucku. Na innej planszy Helionida Pikulska, uczennica Szkoły Powszechnej nr 1 im. Królowej Jadwigi w Łucku, dumnie kroczy obok mamy parkową aleją, a nieco dalej państwo Krupscy tuż obok Ogródu Miejskiego wracają po niedzielnej mszy świętej do rodzinnych Lipowiec. Kolejne plansze niczym najlepszy przewodnik oprowadzają po Łucku. A zatem zabytki... Święte miejsce Łucka – katedra z cudownym obrazem Matki Boskiej Łatyczowskiej, ale także świątynie innych wyznań: cerkiew, synagoga, kircha, kenesa. Dalej: historyczne serce Łucka, czyli pamiętny zjazdem monarchów z 1429 roku zamek Lubarta. Na pocztówkach, fotografiach i w reklamach z tygodnika „Wołyń” ulubione miejsca odpoczynku łuczczan: Teatr Wołyński im. Juliusza Słowackiego, kina, kawiarnie, cukiernie, restauracje, Ogród Miejski, plaże czy przystanie nad Styrem. Wiele zdjęć, wykonanych przez fotografów-amatorów, to naprawdę piękne, ciekawe ujęcia. Mały łuczczanin Zenon Paszkowski na progu ślicznego, schludnego dworku z drewnianym, rzeźbionym gankiem. W rozświetlonym słońcem pejzażu rodzeństwo Czesław i Oleńka Dąbkowscy. Z pamiątkami Pierwszej Komunii Świętej na moście Kraśnieńskim dwóch małych urwisów: Kazimierz Zięba z kolegą Bogdanem Żupinas Żupinadze. I wreszcie dwie plansze poświęcone promenadzie eleganckiego Łucka – ulicy Jagiellońskiej. Jeszcze po odzyskaniu niepodległości Jagiellońska ciągnęła się przez całe miasto od dworca kolejowego aż do mostu Bazyliańskiego. Później od placu Narutowicza na północ wiodła już ulica Piłsudskiego. Na ulicy Jagiellońskiej koncentrował się ruch handlowy miasta, stały wszystkie większe hotele czy gmachy użyteczności publicznej. Tu w restauracjach, kawiarenkach i cukierniach spotykała się łucka inteligencja. Urzędnicy z Urzędu Wojewódzkiego, starostwa i magistratu, pracownicy Sądu Okręgowego, Urzędu Ziemskiego, Izby Skarbowej, Dyrekcji Lasów Państwowych i banków, aktorzy z Teatru Wołyńskiego, działacze Wołyńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dziennikarze, pisarze i poeci. Gustownie ubrane panie w szykownych kapeluszach, panowie przy lśniących limuzynach, szczęśliwe, radosne dzieci. Może Barbara i Zbyszek Ślizowscy oraz Grażynka Lenartowiczówna wraz z mamami zmierzają do cukierni Rozaliniego albo „Italii” Urbańskiego? Na zdjęciu z rodzinnego albumu Jadwigi Wejkszner ulicą Jagiellońską wędruje Marian Wiecziński, u jego boku dwie panie: Stanisława Kuźma i Maria Kondratowicz. Nie sposób nie podziwiać elegancji łuczczanek: nienagannie skrojonych, zdobionych kokardkami i rzędami guziczek sukienek, uroczych kapelusików, rękawiczek podkreślających smukłość dłoni, wytwornych bucików. Na innym ujęciu łucki fotograf uchwycił rodzinę Tadeusza Bukowieckiego, naczelnika Kasy Skarbowej w Łucku. Na spalonej skwarem Jagiellońskiej niczym delikatny, piękny motyl pani Helena Bukowiecka w powiewnej, jasnej sukience, pod zdobionym koronką parasolem. Cały ten barwny, tętniący życiem świat uwieczniali łuccy fotografowie: A. Byk, Anani Dossik, Icek Krojn, Zejlik Oks czy Nachman Szyfer. Świat, który niestety powoli odchodzi w zapomnienie i jeśli istnieje pamięć o nim, to właśnie dzięki takim miłośnikom historii kolekcjonerom jak Tadeusz Marcinkowski.

Wystawa opowiada też o tym, jak rodziła się kolekcjonerska pasja znanego zielonogórskiego bibliofila i filokartysty. Może to szczególne miejsce – historyczne serce Łucka, stary zamek Lubarta, gdzie w małym domku rodziny Martyńskich u podnóża wieży Władyczej w 1932 roku przyszedł na świat bohater wystawy. Może to rodzinna tradycja, gdyż dziadek Leon Martyński – na zdjęciu postawny, wysoki mężczyzna z sumiastym wąsem i brodą jako dziewiętnastoletni chłopak brał udział w powstaniu styczniowym i na ulicy Zamkowej w Łucku nazywano go „Powstańcem”. Na pewno bardzo istotna rola ojca Jana Marcinkowskiego, pracownika Sądu Okręgowego w Łucku, ale też komendanta powiatowego Związku Strzeleckiego, członka Zarządu Stowarzyszenia Urzędników Państwowych i sekretarza Związku Szlachty Zagrodowej, który – jak wielu kresowych Polaków całym sercem uczył syna miłości do Ojczyzny. Była w tych lekcjach jakaś tajemnica wiary, szlachetności i pasji, gdyż kiedy w grudniu 1939 roku NKWD aresztowało Jana Marcinkowskiego, jego syn Tadeusz miał zaledwie siedem lat, a przecież przejął tak wiele: miłość do Ojczyzny i zainteresowanie historią, mocne przekonanie, że trzeba pamiętać, zaangażowanie, wytrwałość i cierpliwość w dążeniu do celu oraz cechy specyficzne dla ludzi Kresów: pogodę ducha i poczucie humoru, życzliwość, szacunek i tolerancję dla cudzej odmienności, serdeczność i otwartość w stosunku do drugiego człowieka. Zapamiętał opowieści o wielkiej Polsce i sławnych Polakach, które towarzyszyły wyświetlaniu przeźroczy na epidiaskopie. Zapamiętał wspólne zabawy wycinanymi żołnierzykami, które przypominały ważne bitwy z dziejów Polski. Zapamiętał defilady, które pokazywały siłę oręża polskiego, i te, gdzie ojciec ulicą Jagiellońską przy wiwatach tłumów prowadził swój oddział Strzelca. Zapamiętał pierwsze lektury – o Tadeuszu Kościuszcze, na cześć którego nosił imię, i o dzielnym marszałku Józefie Piłsudskim. Zapamiętał piękny most Bazyliański z popiersiami sławnych Polaków: Tadeusza Czackiego, Juliusza Słowackiego, Józefa Ignacego Kraszewskiego i Henryka Sienkiewicza, o których tak ciekawie opowiadał ojciec. Wywożony na Sybir jak świętość zabrał powieść „Orli Szpon” Bolesława Zielińskiego, prezydenta Łucka, prawnika, publicysty i pisarza, niegdyś w Nowym Jorku oficera rekrutacyjnego Armii Polskiej. Książka zawierała dedykację od prezydenta Bolesława Zielińskiego dla jego mamy Olimpii Marcinkowskiej z domu Martyńskiej, w okresie dwudziestolecia międzywojennego pracownicy Zarządu Miejskiego w Łucku. Na zesłanie w krainę wielkich mrozów, do Okoniesznikowa w omskiej obłosti, Tadeusz Marcinkowski pojechał w letnich bucikach, ale z ulubioną powieścią o Indianach w podróżnym worku. Na Syberii książkę Bolesława Zielińskiego dosłownie wyczytał na pamięć. Było w niej to, o czym wśród syberyjskich śniegów marzyły małe chłopiec: wielka przygoda, szlachetni bohaterowie i coś bardzo ważnego – duma z bycia Polakiem. Słowa: „ale od czego młodość i twarda polska natura” na zesłaniu nabierały nowego znaczenia. „Polaczok” jak nazywali go rówieśnicy wymykał się ponurej syberyjskiej rzeczywistości. Uciekał w świat wyobraźni. Zdolny szybko nauczył się czytać po rosyjsku i spenetrował zasoby rejonowej biblioteki. Tworzył swój własny, od-

rębny świat, znacznie lepszy i piękniejszy od otaczającego. Miał tajemny, dobrze ukryty zeszyt, do którego wklejał obrazki. Kolekcjonował je z upodobaniem i czasem z narażeniem na poważne konsekwencje. Cały swój zbiór i ukochaną książkę Zielińskiego stracił w drodze powrotnej z zesłania. W Kremieńczugu Rosjanie okradli wracających z Syberii biedaków, bo też kto miał stanąć w obronie kobiety z dwojgiem dzieci.



Fot. M. Kowalski, A. Błażyńska

*Podczas wernisażu w Muzeum Ziemi Lubuskiej Jan Tarnowski, prezes zielonogórskiego oddziału TMLiKPW, prezentuje książkę Tadeusza Marcinkowskiego, opublikowaną pod patronatem Towarzystwa.*

Niemal zaraz po powrocie do rodzinnego Łucka trzeba było wyruszyć w dalszą podróż – na Ziemię Odzyskane. W tym samym transporcie, w którym stolicę Wołynia opuściła Kuria Biskupia z cudownym obrazem Matki Boskiej Latyczowskiej, w sierpniu 1945 roku wyjechały między innymi rodziny: Bulik Kozakiewiczów, Pruszyńskich, Podolskich, Majewskich, Rodziewiczów. Wyjechała też Adelina Zaykowska, zasłużona działaczka Polskiej Macierzy Szkolnej w Łucku, oraz dr Walerian Ramlau z Olyki, lekarz Radziwiłłów. Kolejne wystawowe plansze: „Repatriacja”, „Zielona Góra po wyzwoleniu” oraz „Zielonogórzanie z Wołynia” przypominają, iż podobny los spotkał wielu kresowych Polaków, którzy znaleźli swój nowy dom na Ziemi Lubuskiej. Po wojnie w Zielonej Górze działał pracownik Urzędu Wojewódzkiego w Łucku Jan Klementowski – pierwszy starosta zielonogórski. Na zdjęciach odnajdziemy także scenografa Teatru Wołyńskiego im. Juliusza Słowackiego, a później znanego zielonogórskiego artystę plastyka Stefana Słockiego. W Szpitalu Miejskim w Łucku rozpoczął pracę ceniony zielonogórski chirurg dr Tadeusz Staniewicz. Z kolei z Kowla na Wołyniu do Zielonej Góry przyjechał dr Zbysław Kopyś, ordynator Oddziału Dziecięcego Zielonogórskiego Szpitala Wojewódzkiego. W Zielonej Górze znaleźli swój nowy dom:

Tadeusz Bukowiecki, w latach 1929–1935 naczelnik Kasy Skarbowej w Łucku, a następnie kierownik oddziału kontroli podatkowej Izby Skarbowej w Łucku, oraz inspektor Czesław Wdziękoński, komendant Straży Pożarnej w Kowlu, a później w Łucku, a także Stanisław Szafiński, w latach 1932–1938 dowódca czwartego szwadronu 19 Pułku Ułanów Wołyńskich w Ostrogu, od stycznia 1939 r. dowódca plutonu zwiadowców konnych 13. Dywizji Piechoty w Dubnie, który w czasie kampanii wrześniowej brał udział w obronie Warszawy i Góry Kalwarii oraz w bitwie pod Kutnem, natomiast po ucieczce z niewoli niemieckiej służył w 1. Baonie Zmotoryzowanego Wojska Polskiego utworzonego przy Armii USA. W Łucku pełnił służbę Mieczysław Jeleński, ojciec cenionej zielonogórskiej historyk sztuki Eweliny Jeleńskiej Felchnerowskiej, aresztowany przez NKWD w grudniu 1939 roku i rozstrzelany w Kijowie. Z tragicznym okresem wojny i okupacji wiąże się też historia Zofii Sadowskiej pseudonim „Zulejka”, łączniczki Armii Krajowej skazanej za działalność na pobyt w najcięższych tagrach Norylska, której matka wraz z bratem po wojnie przyjechała z Łucka do Zielonej Góry. Jak dziwnie splatają się ludzkie losy. Listy, które stęskniona, chora matka „Zulejki” kierowała do zesłanej do łagru córki, były pisane ręką obecnej zielonogórzanki pani

Kaliny Zub z domu Chruckiej. Doktor Tadeusz Staniewicz zabierał ze sobą Kalinę na wizyty do starszej pani Sadowskiej, a delikatna, wrażliwa dziewczynka pod dyktando mamy „Zulejki” zapełniała kolejne kartki papieru słowami pełnymi matczynej miłości i troski. Z Wołynia na Ziemię Lubuską przyjechali też Waldemar Stefan Kirkor, obecnie zielonogórzanin, i Stanisław Kirkor, organizator oraz kierownik Zakładu Chorób Pszczół Państwowego Instytutu Weterynaryjnego w Gorzowie Wielkopolskim. W Zarządzie Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry działała dawna łucczanka Ludmiła Waszkowska, krewna tak cenionego w Łucku wieloletniego komendanta Straży Pożarnej Wacława Mensnera. Nie sposób wymienić wszystkich osób, które w zaufaniu powierzyły cenne rodzinne pamiątki, wzbogacając wołyńską kolekcję Tadeusza Marcinkowskiego.

Wystawa „Z Wołynia do Zielonej Góry” to ilustrowana przebogatym materiałem ikonograficznym opowieść o Wołyniu i o wielkiej pasji człowieka, który całym sercem ukochał swoją małą kresową Ojczyznę, który w Zielonej Górze stworzył prawdziwy skarbiec wołyńskich pamiątek, i który z każdym jak chlebem gotowy jest dzielić się tą niezwykłą miłością do rodzinnej Ziemi Wołyńskiej. □

Tadeusz Józków

## Michał Citków – żołnierz spod Zadwórze

### Rok 1920 – Polskie Termopile

Michał Citków to mojej Mamy najstarszy brat po Ojcu – Janie Citków.

Michał Citków ur. 21.10.1888 r. w Chorostkowie, ówczesny powiat Husiatyn, po 1926 roku Kopyczyńce, woj. Tarnopol, zmarł w dniu 29.07.1958 roku w Krakowie i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, kwatera XXXIX, rząd 6, grób 10. Syn Anny z d. Poleszczuk i Jana Citków. Jan Citków po śmierci swojej pierwszej żony w roku 1903/1904, w roku 1905 zeni się po raz drugi z Józefą Wojtowicz z Chłopówki koło Chorostkowa i to są moi dziadkowie po Mamie, dziadek Jan Citków zginął na I wojnie światowej jako żołnierz armii austriackiej.

Michał Citków w roku 1914 miał już ukończone cztery klasy gimnazjum typu austriackiego w Trembowli, w roku 1915 zostaje aresztowany przez Rosjan i wiewiezony w głąb Rosji, wraca w 1917 roku i zostaje wcielony do armii austriackiej, w roku 1918 przyjechał do Chorostkowa na urlop i został aresztowany przez Ukraińców. W roku 1919 po wejściu Wojska Polskiego do Chorostkowa wstępuje ochotniczo do Oddziału rtm. Abrahama, bierze udział we wszystkich walkach tego Oddziału, zostaje dwukrotnie ranny: w dniu 12.08.1919 roku pod Tarnopolem i w dniu 25.08.1920 roku pod Zadwórzem koło Lwowa – słynne Polskie Termopile.

Po rozwiązaniu Oddziału Abrahama zostaje wcielony do 40 pp. – 12 kmp. w stopniu kaprała. Po ukończeniu szkoły podoficerskiej zostaje awansowany do stopnia plutonowego i wraz z 40 pp. odchodzi na front, bierze

udział we wszystkich walkach 40 pp., w sierpniu 1920 roku zostaje ciężko ranny (postrzał płuca), odchodzi do szpitala awansowany do stopnia sierżanta. Po wyzdrowieniu w 1921 roku zostaje zdemobilizowany, wraca do Chorostkowa, z dniem 1 stycznia 1926 roku zostaje powołany do służby zawodowej w 40 pp. we Lwowie.

Służba w armii austriackiej od 8.09.1917 roku do 31.10.1918 roku w 115 pp. w stopniu kaprała.

Odznaczenia:

1. Krzyż Walecznych, w 1920 roku za walki pod Zadwórzem k. Lwowa,
2. Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918–1921,
3. Medal 10-lecia Odzyskania Niepodległości,
4. Medal Łotewski,
5. Brązowy Krzyż Zasługi.

W roku 1939 awansowany do stopnia chorążego.

We wrześniu 1939 roku wyrusza na front wraz z 40 pp. i bierze udział we wszystkich walkach tego pułku, wraca w przebraniu do Lwowa, działa w Armii Krajowej.

Jestem jedynym posiadaczem dokumentów archiwalnych dotychczas niepublikowanych na temat Michała Citków oraz jego dwóch młodszych braci po ojcu: Józefie Citków ur. w 1912 roku i Stanisławie Citków ur. w 1914 roku, którzy w swoim czasie też jako ochotnicy walczyli o wolną Polskę. A oto kilka fragmentów dotychczas niepublikowanych o przebiegu ochotniczej służby wojskowej mego najstarszego wujka Michała Citków, a jest tego ponad 20 stron, a oto niektóre z nich:

„Pod Zadwórzem 24–25 VIII 1920 roku brał udział w czterech atakach jako dowódca plutonu prowadząc swoich ludzi z ogromną brawurą, zostaje niedaleko dworca kolejowego ciężko ranny”. Odwiedziłem to miejsce w czerwcu 2013 roku. (...) „Podczas ataków bolszewickich na Kulików z 17 na 18 VIII 1920 roku wytrwał ze swą placówką na stanowisku, pomimo że wszystkie inne placówki na prawym skrzydle wycofały się”.

„Odznaczył się w obronie Nowej Siemianki, kiedy będąc plutonowym jako pisarz kancelaryjny zgłosił się jako ochotnik 25 III 1920 roku do pierwszej linii, gdzie

objawszy 1. pluton 12. kompanii odparł bardzo krwawo trzykrotny atak bolszewików”.

„16 VI 1920 roku będąc dowódcą placówki na folwarku Sawczenki nad Dźwiną, podczas silnego ataku bolszewickiego na lewe skrzydło (9 komp.) wyskoczył ze swoim plutonem z okopów i silnym ogniem flankowym zmusił nieprzyjaciela do cofnięcia się. Akcję powyższą podjął sierżant Citków samorzutnie bez niczyjego rozkazu”.

*Z Zabuzzańskim Pozdrowieniem  
Tadeusz Jóźków*

*Ekspatriant z Tarnopolsko-Husiatynńskiego Podola*

## Bogusława Romaniewska

### Ratujemy groby zasłużonych

Cmentarze są miejscami, które pozwalają zachować w pamięci postaci z minionych lat. Upływ czasu działa na nie niekorzystnie. Szczególnie w połączeniu z brakiem możliwości dbania o nie, a nawet celowym skazaniem na zniszczenie prowadzi do ruiny i zatarcia ważnych śladów. Taki los dotyka polskie cmentarze na Ukrainie.

Aby choć w drobnej części przeciwdziałać temu zjawisku, tarnowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, niemal od początku swego istnienia, które trwa już 25 lat, ratuje polskie groby i miejsca pamięci narodowej na Kresach Wschodnich. Środki na ten cel uzyskuje poprzez organizowanie kwest w dniu Wszystkich Świętych na tarnowskich cmentarzach, a ofiarodawcy swą hojnością potwierdzają zarówno zrozumienie głębokiego sensu tych akcji, jak też zaufanie do organizatorów zbiórek.

Przez szereg lat wspierano odbudowę zdewastowanego Cmentarza Obrońców Lwowa, odrestaurowano szereg grobów wybitnych Polaków na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, odnowiono groby legionistów i wykonano trwałe mogiły w miejscach spoczynku żołnierzy z II wojny światowej w rejonie Mościsk, zainicjowano budowę i ufundowano tablice do Groty Pamięci w Wolicy k. Mościsk, miejscu kaźni dokonanej na cywilnej ludności, przez batalion „Nachtigall” w 1941 r., przekazuje się także fundusze na utrzymanie Mauzoleum Zagłady Stanisławowskiej Inteligencji w Czarnym Lesie k. wsi Pawełcze.

Wspólne zwiedzanie Cmentarza Łyczakowskiego przez członków TMLiKPW z Tarnowa z grupą uczestników obchodów jubileuszu 650 lat Katedry Ormiańskiej we Lwowie (2013 r.) poskutkowało podjęciem remontów dwóch grobowców, w których spoczywają znakomite postaci o korzeniach ormiańskich: Gertrudy Teodorowiczowej – matki arcybiskupa Józefa Teodorowicza oraz Antoniego Stefanowicza, wybitnego malarza i pedagoga.

Grób Gertrudy Teodorowiczowej wymagał podjęcia szybkiego remontu, aby uchronić ten obiekt przed znacznie rozleglejszym uszkodzeniem ze względu na występujące liczne szczeliny i zakorzenione w nich samosiejki. Na grobowcu wyłamany był krzyż cementowy i metalowe uchwyty. Koszt całości remontu sfinansowało tarnowskie Towarzystwo.

W grobowcu Antoniego Stefanowicza konieczny był demontaż wierzchniej części, z powodu wykruszenia



*Grób Gertrudy Teodorowiczowej przed remontem*



*Grób Gertrudy Teodorowiczowej po remoncie*

się spoin i wykonanie powtórnego zespolenia elementów. Część kosztów pokryło Towarzystwo, część rodzina mieszkająca w Polsce.

Towarzystwo uważa tę działalność za obowiązek wynikający z celów statutowych i jednocześnie za zaszczyt, że chociaż w ten sposób może oddać cześć zasłużonym ludziom, a także przyczynić się do zachowania na przyszłość pamięci o nich. □

Bogusława Romaniewska

## Pomogliśmy dzieciom Rodaków spędzić beztroski czas



*Smok Wawelski nikomu nie straszny*

Wiadomo że sytuacja gospodarcza i polityczna na Ukrainie Stwarza ludziom szereg poważnych uciążliwości, które skutkują niepokojem, trudnościami ekonomicznymi u szeregiem ograniczeń. Dodatkowo, liczne rodziny dotknęły i nadal dotyczą wielkie tragedie. Uwzględniając fakt, że wielu naszych Rodaków zamieszkuje na Ukrainie i nawet w warunkach spokojnych nie wiodło się im najlepiej, można poważnie obawiać się o ich los. Smutne, ale prawdziwe jest także to, że wobec trudów dnia codziennego inne sprawy, jak dbanie o tożsamość narodową, pielęgnowanie tradycji narodowej wschodzą na dalszy plan.

W tej sytuacji zadania publiczne występujące w programach Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego i Urzędu Miasta Tarnowa, zmierzające do pielęgnowania polskości i wspierania Polaków ze Wschodu, mają ogromne znaczenie.

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich O. Tarnów skorzystało (w wyniku konkursu ofert) z możliwości uzyskania dotacji na dofinansowanie zadania pt. „Edukacyjna kolonia letnia dla dzieci pochodzenia polskiego z Ukrainy” i jak co roku w lipcu zorganizowano w Tarnowie tak koloni.

Miasto Tarnów jest odpowiednim miejscem do wykonania programu edukacyjnego i aktywnego wypoczynku, posiada szereg zabytków, śladów ważnych wydarzeń historycznych. Położone jest w malowniczym

terenie i, co ważne, w pobliżu Królewskiego Krakowa i innych ciekawych miejsc. Dysponuje także dostępnymi obiektami sportowymi i rekreacyjnymi.

Na kolonię przyjechało 43 dzieci i 4 wychowawców z Sambora, Strzelczysk, Stanisławowa, Obertyna i Szczerca. Wspólne przebywanie dzieci z różnych miejscowości sprzyjało integracji w gronie młodych Polaków i nawiązaniu przyjaźni w całej grupie. Rekrutacją uczestników zajęły się polskie organizacje działające w wyżej wymienionych miejscowościach.

Program kolonii był bardzo bogaty i urozmaicony, nie było chwili na nudzenie się, a uczestnicy, charakteryzujący się dużą aktywnością i ciekawością świata, korzystali z niego z dużym zainteresowaniem. Poznali więc miasto Tarnów i jego zabytki, zorganizowano im wycieczkę do Karpackiej Troi w Trzcinicy k. Jasła i Dobiecza, do Krakowa, z lekcją muzealną na Zamku Królewskim. W związku z obchodami 100. rocznicy wybuchu I wojny światowej odbyli też historyczną wycieczkę do Łowczówka – miejsca wielkiej bitwy.

Kilkakrotnie korzystali z obiektów sportowych TOSiR, spotykali się z tarnowską młodzieżą, w tym z harcerzami 26 Starszoharcerskiej Drużyny, zaproszeni byli na zajęcia do Biblioteki Pedagogicznej i do Gimnazjum nr 1 w Tarnowie.

Zadbano też o przeprowadzenie, w atrakcyjnej formie, lekcji języka polskiego, dostarczenie wiedzy na



*Tarnowianin, generał Józef Bem, to postać znana uczestnikom kolonii.*

temat wojennych losów Polaków na Kresach, narodzin polskiego skautingu.

Odbyło się spotkanie z lekarzem weterynarii na temat opieki nad zwierzętami. Przeprowadzono liczne konkursy i wspólne zabawy.

Zapewniono opiekę medyczną świadczoną przez lekarzkę pediatrę – członkinię Towarzystwa. Dzieci otrzymały upominki i nagrody konkursowe, głównie w postaci książek. Uczniowie ze Szkoły im. Orłąt Lwowskich w Tarnowie i Gimnazjum nr 1 w Tarnowie zebrali i przekazali uczniom Polskiej Szkoły Niedzielnej w Szczercu podręczniki do nauk języka polskiego

Podkreślić należy, że duże wsparcie finansowe uzyskaliśmy od sponsorów, firm: Bruk-Bet z Niecieczy i Mega z Tarnowa oraz osób prywatnych.

Towarzystwo składa gorące podziękowania jednostkom administracji: Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Małopolskiego i Urzędowi Miasta Tarnowa oraz wyżej wymienionym firmom i wszystkim Darczyńcom za udzielenie dotacji i darowizn. Dzięki nim zrealizowano pomyślnie zadanie edukacyjne ważne dla ratowania polskości wśród naszych młodych Rodaków.

Pobyt w Tarnowie dla wielu uczestników był czasem beztróskim, jakże odmiennym od aktualnie istniejących realiów życia w miejscach ich zamieszkania.

Wszyscy uczestnicy potwierdzili chęć przyjazdu do Tarnowa w przyszłym roku, co będzie uwzględnione w planach Towarzystwa i oby rozwój wydarzeń tego zamiaru nie udaremnił. □

## Prośba

Nazywam się Witek Mirosław, mieszkam w Poznaniu. Jestem synem Marii Witek z d. Pacholak ur. 22.01.1922 w Nozdybach (ew. Bięgowiec), pow. Sambor. Mamy rodzice to Andrzej Pacholak i Katarzyna Ratusz. Bardzo mi zależy na poznaniu Mamy rodzeństwa i ich rodzin. Mama bardzo mało mówiła o swym życiu. Sprawdzając dokumenty z Urzędu Stanu Cywilnego, Mama podpisała się Maria Miłyk z domu Pacholak, to znaczy, że Mama przed wojną była już mężatką. Proszę Towarzystwo o pomoc w odnalezieniu rodziny Kochanej Mamy ze strony Pacholaków, Miłyków, Ratusz

Pozdrawiam

Witek Mirosław  
tel. 506-203-782, ul. Narcyzowa 31  
60-340 Poznań

## Poszukiwania

Poszukuję osoby (lub osób), która mieszkała we Lwowie przed wybuchem II wojny światowej (1.09.1939 r.) i mogła znać moją cioteczną babkę **Marię Daszkiewicz** mieszkającą przy ul. Pijarów 23 we Lwowie.

Osobę tę proszę o kontakt: tel. 663 966 632 lub 42 673 84 51.

Dane osobowe:

Maria Daszkiewicz ur. 30.11.1879 r. w Krakowie, córka Piotra Kucia i Katarzyny Vogel, zamężna, mąż Roman (zmarł przed wojną), bezdzietna.

# Tadeusz Zbigniew Nowogrodzki

## Życie na morzu (IX)

### Fragment książki „Ze Lwowa na morza i oceany”

W PLO biegł mi urlop, a dla rozrywki chodziłem pieszo bulwarem do Szkoły na Skwerze Kościuszki, gdzie starałem się z przyszłych nawigatorów „zrobić mechaników”. Na zakończenie roku akademickiego w indeksach „moich” studentów wpisując zaliczenie przedmiotu. „zaistniałem” jako nauczyciel w Wyższej Szkole Morskiej.

Pracę tę traktowałem jako wstęp do planowanego przeze mnie w przyszłości zatrudnienia na statku szkolno-towarowym o nazwie Antoni Garmuszewski.

W tym czasie oczekiwałem z wielkim niepokojem na obowiązkową wymianę Książeczki Żeglarskiej (Prześladało mnie zawsze wspomnienie tak niezwykłego otrzymania tej pierwszej zawodowej Książeczki Żeglarskiej).

Szczęśliwie dla mnie zakończył się okres oczekiwania na nowy typ książeczki żeglarskiej.

W pierwszych dniach czerwca zostałem wezwany do Działu Okrętowania Polskich Linii Oceanicznych, gdzie zaproponowano mi zatrudnienie na statku Śniadecki w charakterze mechanika chłodniczego. Statek pływa do portów Ameryki Południowej. Jest to linia bardzo atrakcyjna. Ale jest małe ALE. Urządzenie chłodnicze jest starego typu, gdzie czynnikiem chłodniczym jest AMONIAK i istnieje możliwość uszczerbku na zdrowiu, a nawet utraty życia i dlatego nie ma chętnych do okrętowania. Wyjaśniła się więc przyczyna dlaczego proponują mi taką dobrą linię. Nawet nie myślałem, że kiedykolwiek tam popłynę. Aktualnie statek przechodzi remont w Gdańskiej Stoczni Remontowej (sytuacja podobna jak na Zygmuncie Starym).

Dla mnie to jedyna szansa; był czas na zapoznanie się z chłodnią. Wyraziłem zgodę.

Dnia 14 czerwca 1973 roku zostałem zaokrętowany w charakterze III Mechanika chłodniczego na M/S ŚNIADECKI.

Na statek wybrałem się jeszcze w czasie mojego urlopu wypoczynkowego. Po przedstawieniu się Starszemu mechanikowi panu Tadeuszowi T. zapytałem czy mogę uczestniczyć podczas prób mechanizmów na zakończenie remontu stocznioowego, oczywiście deklarując moje uczestnictwo jeszcze w czasie mojego urlopu. Widząc Jego zdziwienie wyjaśniłem, że tych kilka dni, które dodatkowo spędzę na statku w okresie końcowych prac stocznioowych na pewno przyniesie pozytywne rezultaty podczas rejsu.

Dnia 21 czerwca 1973 roku wypłynęliśmy w rejs do portów Morza Karaibskiego i następnie przez Kanał Panamski do portów Zachodniego Wybrzeża Ameryki Południowej.

Na wstępie przedstawię dane statystyczne dotyczące mojego zaokrętowania bez urlopu (1 rok 9 miesięcy i 20 dni). Dopiero po tym „troszku” opowieści marynar-skich.

Czy potrzebne są jeszcze opisy przeżyć autora? Czytelniku, włącz tylko wyobraźnię oraz przeczytaj wykaz portów, które odwiedziłem w ciągu tych prawie dwóch lat!

#### Czas trwania rejsów

- I. 21.06.73 do 23.09.73 – razem 101 dni
- II. 27.10.73 do 07.03.74 – razem 132 dni
- III. 26.03.74 do 01.07.74 – razem 98 dni

- IV. 21.09.74 do 11.12.74 – razem 82 dni
  - V. 01.01.75 do 24.03.75 – razem 83 dni.
- Na moją prośbę zostałem wyokrętowany 4 kwietnia 1975 roku.

#### Moje nowe porty i państwa, do których zawiąłem na pokładzie m/s Śniadecki:

Porty	Państwa
1. Leixoles	Portugalia
2. Lizbona	Portugalia
3. Guanta	Wenezuela
4. La Guaira	Wenezuela
5. Maracaibo	Wenezuela
6. Puerto Cabello	Wenezuela
7. Caracas (zwiedzanie podczas postoju w La Guaira)	Wenezuela
8. Santa Marta	Kolumbia
9. Barranquilla	Kolumbia
10. Cartagena	Kolumbia
11. Buenaventura	Kolumbia
12. Colon	Panama
13. Guayaquil	Ekwador
14. Paita	Peru
15. Trujillo	Peru
16. Chimbote	Peru
17. Callao	Peru
18. Lima (autobusem z Callao)	Peru
19. Matarani	Peru
20. Pisco	Peru
21. Molendo (wycieczki taksówkami do Arequipa)	Peru
22. Arequipa	Peru
23. Arica	Chile
24. Valparaiso (wycieczka do Santiago de Chile)	Chile
25. San Salvador	El Salvador
26. Mazatlan	Meksyk
27. Puerto Cabezas	Nikaragua
28. Puerto Cortez	Honduras
29. Puerto Limon	Kostaryka
30. Kingston	Jamajka

(c.d.n.)

#### Komunikat

Zarząd Główny TMLiKPW informuje,  
że wydany został

### **Kalendarz Lwowski 2015 r.**

Temat kalendarza:

**Wybitni ludzie muzyki**

Cena 12 zł.

#### Informacja

Informujemy, że prenumerata pisma „Semper Fidelis” w 2015 r. nadal wynosi 36.- zł



TOWARZYSTWO KULTURY POLSKIEJ  
ZIEMI LWOWSKIEJ  
Zarząd Główny we Lwowie

L. oz. ....

data .....

Sz.P. Andrzej Kamiński  
Prezes TMLKPW  
50-011 Wrocław  
ul. Kościuszki 35/B/E

*Szanowny(a) Panie(i) Prezesie!*

We Lwowie oprócz historycznego Cmentarza Łyczakowskiego, na którym przeprowadza się renowację zabytkowego historycznego polskiego cmentarza, dzięki Waszej pomocy i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, również funkcjonuje do dziś duży stary polski cmentarz- Janowski, założony w 1883 r.

Cmentarz Łyczakowski i Janowski uległy destryktównemu działaniu czasu i ludzi. Pozostali we Lwowie Polacy nie są w stanie godnie zaopiekować się wszystkimi mogiłami przodków. Dzięki Waszej pomocy możemy odrodzić historyczną pamięć.

Konsulat RP we Lwowie już od kilku lat organizuje 1 Listopada akcję „Światelko Pamięci dla Cmentarza Łyczakowskiego”. W ubiegłym roku było zorganizowano około 40 tys. zniczy.

Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej chciałoby z podobną akcją wystąpić na Dzień Zadusznych, 2 Listopada, na Cmentarzu Janowskim. Dlatego zwracamy się z prośbą do Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich o pomoc w zbieraniu zniczy celowo dla Cmentarza Janowskiego. Zniczy można przekazywać do Kościoła św. Antoniego lub do Konsulatu Generalnego RP we Lwowie z dopiskiem – „na Cmentarz Janowski”.

Będzie to wspaniała akcja i sprawiedliwość dla drugiego tak ważnego cmentarza polskiego we Lwowie.

Z góry dziękujemy za pomoc.

Z wyrazami szacunku i serdecznymi pozdrowieniami  
W imieniu Zarządu Głównego TKPZL

PREZES  
Towarzystwa Kultury Polskiej  
Ziemi Lwowskiej  
*Emil Legowicz*

Przewodniczący Sekcji Odbudowy Cmentarza Janowskiego  
Członek Zarządu Głównego TKPZL

*S. Małdziński* /S. Małdziński/

## Lista Ofiarodawców za miesiące V–VIII 2014 r. (w zł)

1. Barbara Borkowska, Łomianki ..... 300.-
2. Stanisław Witek ..... 100.-
3. TMLiKPW Nysa, na pomoc świąteczną ..... 200.-

**Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.**

## Contents

Helena Wiewiórska i Weronika Pukrop – Borderlanders Abroad. The youngest soldier of gen. Anders – American with Polish heart .....	1
Stanisław Materniak – In remembrance and admonition! .....	4
Jerzy Duda – Defence of Lwów in the years 1918–1919. The city fighting for freedom .....	7
Małgorzata Ziemska – To the readers of Bolesław Zieliński's novel .....	10
Aleksander Smoliński – Mounted artillery of the Polish Army in their flights for Lwów and the East Little Poland from December 1918 to early spring 1919 (II) .....	13
Zdzisław J. Zieliński – The history of Lwów tramways (III) .....	16
Jerzy Duda – Lieutenant-colonel Władysław Gawdyn .....	19
Jarosław Tadeusz Leszczyński – In the river Hnizdeczny valley .....	22
Jarosław Tadeusz Leszczyński – VIIIth Pilgrimage of the Lwów Lovers Society from Kielce to Stopnica .....	24
Jerzy Duda – The Opole Odyssey's Table .....	25
Stanisława Potaczek – a poem .....	26
Jerzy Duda – Vth Borderland Days in Opole, June 2014 .....	27
Danuta Śliwińska – June 2014 at the Lwów Lovers Society in Bydgoszcz .....	28
Antoni Wilgusiewicz – XXV years of the Lwów Lovers Section activity in Katowice .....	31
Mieczysław Kostur – XVIIIth Days of Borderland Culture – Świdwin 2014 .....	32
Wanda Butowska, Hanna Dobias-Telesińska – XVIIth Days of Lwów and Borderland and XXVth jubilee of Lwów Lovers Society Section in Poznań .....	33
Hanna Dobias-Telesińska – A meeting in the "Lwów salon" .....	35
Stanisława Zięcik – XXVth Jubilee of Lwów Lovers Society at Bolesławiec .....	37
Daria Chłopicka, Adrianna Gabrych – Michał Wojdyła – from Połonice near Lwów to Bolesławiec .....	38
Zdzisław Mirecki – Adam Waclaw Kowalski (A fragment of the book "To rescue from oblivion") .....	40
Janusz Sekulski – In remembrance of savage extermination of Poles by Ukrainians in the Volhynia .....	42
Janusz Sekulski – 73rd Anniversary of the cruel murder of Professors in Lwów .....	43
73rd Anniversary of the cruel murder of Professors in Lwów .....	44
Bogusława Romaniewska – XXV years of the Lwów Lovers Section activity in Tarnów .....	44
Elżbieta Kuśmiderska, Marianna Parczyńska – Tenth anniversary jubilee of the Lwów Lovers Society Club at Urzędów .....	48
Abp Andrzej Szeptycki – patron of renegates and genociders? .....	51
Małgorzata Ziemska – In remembrance of our Borderland Country. Exposition of Tadeusz Marcinkowski's collections from South East Borderland at the Museum of Zielona Góra .....	54
Tadeusz Józków – Michał Ciłków – a soldier from Zadwórze .....	59
Tadeusz Zbigniew Nowogrodzki – From Lwów to seas and oceans. Part IX .....	63



*Jerzy Klepacki z krewną z USA oraz przedstawiciele TMLiKPW w Bydgoszczy wchodzą na salę w Szpitalu Wojskowym, gdzie odbywała się uroczystość 100-lecia Jerzego Klepackiego.*